

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KASZUBSKA MADONNA

Opracował i do druku podał
Jerzy LIMON

Być może niezupełnie przypadkowo Dyrekcja Biblioteki Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk zwróciła się do mnie z propozycją opracowania i przygotowania do druku dość nietypowego rękopisu (nr kat. Ms 240550). Nietypowość ta, ba, pewna nawet zagadkowość, wynika z faktu, iż rękopis ten, liczący około 200 luźnych i przeważnie nie ponumerowanych kartek formatu A-4, pokrytych drobnym i często nieczytelnym pismem, znaleziono któregoś letniego dnia 1985 roku w Czytelni Naukowej (na miejscu numer 19). Dla bibliotekarzy czy archiwistów znaleziska tego typu to nie nowina, szkopał jednak w tym, że jak wynika z jego pobieżnej choćby lektury, jest to rękopis współczesny, a ponadto nie został on zdeponowany w Bibliotece, lecz pozostawiony w Czytelni czy to na skutek roztargnienia autora (do dziś nie udało się jego tożsamości ustalić), czy też celowo przez niego tam porzucony. Jedno nie ulega wątpliwości: materiał ten sprawia wrażenie skończonego bądź prawie skończonego (w paru miejscach tekst się gwałtownie urywa); nasuwa się przypuszczenie, że parę kartek gdzieś się zawieruszyło. Ponieważ w ostatnim rozdziale jest również i o mnie mowa, co było przyznać muszę niemałym dla mnie zaskoczeniem, postanowiłem pozostawić odnośne fragmenty bez jakiegokolwiek komentarza. Mogę tylko dodać, że byłoby to w wielu miejscach konieczne, gdyż –dla przykładu – nigdy opowiadania pod tytułem „Kaszubska Madonna” nie napisałem (natomiast wykorzystałem ten tytuł dla całości, autor bowiem zapewne przez niedopatrzenie – pozostawił swe dzieło bez tytułu). Innych nieścisłości nie prostuję, gdyż ingerencja wydawcy w tekst byłaby zbyt duża. Dla łatwiejszej lektury postanowiłem też ograniczyć liczbę przypisów do niezbędnego minimum, pozostawiając je – za autorem – w tekście głównym.

Korzystając z okazji, pragnę bardzo serdecznie podziękować za życzliwość i pomoc pracownikom Czytelni Naukowej, a także prof. prof. Andrzejowi Kopcewiczowi i Tomaszowi Krzeszowskiemu, których cenne uwagi umożliwiły ukończenie tej żmudnej pracy. Dziękuję także markizowi Orii, który osobiście patronował całemu przedsięwzięciu.

J.L.

Gdańsk, sierpień 1986

I

Kiedy w ostatniej ćwierci dwudziestego wieku co bardziej rozsądni historycy sztuki przestali się już rozpisywać na temat polskości czy niemieckości Gdańska, a miasto nie po raz pierwszy w swych burzliwych dziejach stało się głośnie na świecie, choć może po raz pierwszy jako Gdańsk właśnie, a nie Danzig, więc kiedy z prac historyków sztuki dotyczących Gdańska i regionu zaczęły znikać wątki nacjonalistyczne, czy też jak niektórzy wolą – patriotyczne (co oczywiście zależy od narodowości danego badacza), natrafiono wówczas ponownie na ślad Piękną Madonny z okolic Rozewia, która zafascynowała swoją innością wszystkich, którzy jej historię próbowali zgłębić. Niestety, od razu należy wyjaśnić, że rzeźba ta nie zachowała się do naszych czasów, gdyż ślad po niej zaginął gdzieś pod koniec osiemnastego wieku i jedynie należy sobie życzyć, by odnalazła się kiedyś w zbiorach jakiegoś bogaczakolekcjonera w Dallas albo w Singapurze. Nie można bowiem poważnie traktować lokalnej legendy, żywej do dziś, wedle której owa Piękna Madonna ma w cudowny sposób powrócić w okolice Rozewia, że ma wypłynąć z morza, by ponownie wziąć pod opiekę swój wybrany lud, wystawiony również i w ostatnim czasie na kolejną wielką próbę wiary i wierności. Tak więc dzieło to znamy tylko z paru zdawkowych opisów oraz z wielu innych przekazów tylko pośrednio z nim związanych. Ale i tak nie doczekały się one do tej pory syntetycznego opracowania i tę lukę niniejsze studium ma uzupełnić. Znakomita większość zachowanych źródeł znajduje się w Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk, instytucji szacownej i znanej w świecie naukowym z bezcennych zbiorów starodruków i rękopisów, a założonej przed czterema wiekami – jako Biblioteka Senatu Gdańskiego – przez pewnego włoskiego arystokratę, którego olejny portret z 1597 roku wisi do dziś w Czytelni Naukowej tejże biblioteki. Świadczy to niewątpliwie o wdzięczności, jaką gdańszczanie czują dla fundatora tak ważnej dla kultury miasta placówki, wdzięczności przez czas i obyczaje nie zatartej. Zaskarbił ten człowiek i naszą wdzięczną pamięć, gdyż bez niego nie natrafiono by na ślad kaszubskiej Madonny, i to z dwóch przynajmniej powodów: po pierwsze, założył on bibliotekę w Gdańsku, a bez niej nie mielibyśmy dostępu do źródeł historycznych dotyczących tej unikatowej na ziemiach Polski rzeźby; a po drugie, pewien epizod w jego życiu, o którym dowiadujemy się właśnie z owych źródeł, złączył go na wieki nie tylko z biblioteką czy Gdańskiem, ale i z samą Madonną. Można dodać i po trzecie, że bez markiza z wielu względów napisanie tej pracy byłoby niemożliwe. Jest w tym nieco ironii losu, włoski arystokrata był bowiem heretykiem, przynajmniej z punktu widzenia katolików (na przykład dzisiejszych gdańszczan), choć – trzeba to przyznać – był też człowiekiem bogobojnym i prawowiernym z punktu widzenia wyznawców Kościoła zreformowanego (na przykład ówczesnych gdańszczan).

Zanim jednak Jan Bernard Bonifacio, markiz Orii – bo o nim tu właśnie mowa – ofiarował swój cenny księgozbiór Radzie Miejskiej w Królewskim Mieście Gdańsku (a było to we wrześniu 1591 roku), dając tym samym dowód wdzięczności za gościnne przyjęcie i stwarzając załączek Biblioteki Miejskiej, musiał on przeżyć chwile niezwyklej grozy i tylko cudem wyrwano tego cnotliwego człeka z objęć lubieżnej śmierci. Wyprzedzając nieco te fakty, należy przypomnieć, że markiz był świetnie wykształconym humanistą, ale ponieważ jego ciągoty w kierunku protestantyzmu stały się zbyt znane w jego ciepłej i kolorowej ojczyźnie, by ująć uwadze czujnej Świętej Inkwizycji, troskliwie dbającej o ludzkie dusze; musiał on ruszyć na tułaczkę po świecie, by w końcu; znużony peregrynacją, na stare lata wybrać dość chłodną i przez połowę roku szarą Polskę, gdzie miałyby spocząć jego zmęczone kości. Jak przystało na humanistę, od spalenia wolał rozkład naturalny. Polska słyndła (wówczas) z tolerancji, stawiana przez wielu za wzór do naśladowania, a złota wolność szlachecka – później tak bardzo niesławna – trzymała w ryzach wszelkie zakusy Inkwizycji, na temat bowiem duszy szlachcica tylko on sam mógł się wypowiadać, przez co był to kraj bez stosów, czym się do dziś Polacy chlubią, a co najwyżej mordować można było bezkarnie katolickich czy prawosławnych chłopów, z tym że nie

czyniono tego z pobudek religijnych. Wybór Polski był przeto wyborem rozsądnym i szczęśliwym, gdyż po pierwsze – markiz chłopem nie był, a po drugie – będąc człowiekiem doświadczonego, a przez to przezornym i nieco nieufnym, dla większej pewności postanowił w głąb kraju się nie zapuszczać i osiąść na stałe w luteranśkim naówczas Gdańsku. Zanim jednak dowiózł tam swoje uczone księgi (a było ich ponad tysiąc!), przeżył – jak już wyżej wspomniano – chwile tak wielkiej grozy, że je z dreszczem przerażenia do końca życia wspominał, tak jak i rozmyślał ustawicznie o niecodziennym, cudownym właściwie wydarzeniu, które mu życie ocaliło.

Zachowane źródła pozwalają nam na odtworzenie wypadków. A było to tak: kiedy w sierpniu 1591 roku markiz z paroma towarzyszami poniewierki płynął statkiem bandery genueńskiej z Lubeki do Gdańska i kiedy byli już prawie u kresu spokojnej podróży, zerwał się gwałtowny sztorm, potężne poddmuchy wichury porwały na strzępy żagle, a bezwładny statek (karawela) uniesiony został przez silny prąd morski, obrócony parokrotnie wokół swej osi i niczym dziecinna zabawka rzucony z impetem na przybrzeżną mieliznę. Siła uderzenia była tak wielka, że kadłub pękł niczym gliniany dzban, do wnętrza wdarła się woda, a po chwili olbrzymie fale rozbiły całą konstrukcję na drobne kawałki. To wydarzenie, o którym markiz jeszcze wielokrotnie z przejęciem opowiadał i w listach szczegółowo i poetycko opisywał, miało miejsce w pobliżu przylądka Rozewie, gdzie silne prądy i wiry do dziś są utrapieniem przybrzeżnych rybaków, żeglarzy, a także korzystających z kąpieli letników. Według relacji markiza, statek „drżący, rozkołysany ciosami fal, które opadły go na mieliznie jak sfera dzikich, zgłodniałych psów, bronił się jeszcze, niczym tonący człowiek, machając rozpaczliwie masztami, jakby starając się utrzymać równowagę na chybotliwej linii, lecz wkrótce, gdy już kadłub zachłysnął się całym wnętrzem i osiadł głębiej, również i maszty padły łupem groźnych grzywaczy i z potężnym, przeciągłym jak jęk trzaskiem runęły w żarłoczne, spienione morze. Straciwszy równowagę, kadłub – a właściwie jego zakośne resztki, wystające nadal nad wodą, jeszcze przez chwilę stawały rozpaczliwy już opór, lecz zaraz i one – przy świetle bezradnej latarni morskiej – padły pastwą ciężkich bałwanów, które z dziecinną łatwością miażdżyły wszystko, co śmiało im stawić czoło...”

Jak sam w którymś liście przyznaje, markiz nie umiał pływać, więc niechybnie utonąłby szybciej od innych w kotłującej, huczącej kipieli, gdyby nie niespodziewana pomoc okolicznych mieszkańców, którzy jakby w odpowiedzi na błagalne modlitwy tonących, nie bacząc na nawałnicę i olbrzymie bałwany, z narażeniem życia podплыnęli na swych niezwykłych, bo jakby niezatapialnych łodziach do rozbitego statku i z wielkim poświęceniem, ba, nadludzkim wysiłkiem, ratować zaczęli tonących i tych, którym udało się jeszcze szczęśliwie uchwycić jakichś drewnianych elementów statku. I w ten to niecodzienny sposób markiz i jego towarzysze, którym już śmierć zajrzała w oczy, zostali bezpiecznie przewiezieni na ląd, gdzie czekały już na nich troskliwe kobiety, które wnet zaprowadziły zziębniętą, zmokniętą i na wpół przytomną z przerażenia gromadkę do ciepłej i przytulnej chaty wiejskiej. Okazało się bowiem, że wieś leży w pobliżu wysokiej, klifowej skarpy, tworzącej właśnie przylądek o nazwie Rozewie. [Obecny przylądek jest cofnięty o dobre kilkaset metrów w stosunku do tego, o którym tu mowa – przyp. aut.]. Tam ich przebrano, okryto wełnianymi [sic!] kocami i dano ciepłą strawę oraz po szklanicy gorącego miodu. Byli jeszcze zbyt oszołomieni, by zauważyć, jak zaskakująco sprawnie wszystko związane z niesieniem pomocy było zorganizowane, jak bardzo było rutynowe, dopracowane do ostatniego szczegółu; nie zauważyli więc, że ubrania leżały w skrzyniach, jakby na nich czekając, że koce leżały ułożone w równą stertę, że ogień w piecu ponad potrzebę był rozpalony, a ciepłego jedzenia starczyłoby dla jeszcze raz tylu rozbitków. Nawet legowiska dla nich były przygotowane i wcale nie sprawiały wrażenia prowizorycznych; było ich nawet więcej niż rozbitków. Kobiety, kiedy zorientowały się, że niektórzy z nich to Włosi, zaczęły zagadywać do nich używając paru słów i zwrotów włoskich, jakie znały. Markiza Orii, kiedy już przyszedł do siebie, bardzo zdumiało, gdy jedna wieśniaczka zapytała go w jego ojczystym języku: „Skąd płynęliście?” „Z Lubeki” – odpowiedział machinalnie, choć czuł, jak mu się oczy ze zdziwienia rozszerzają, no bo niby skąd ta prosta wieśniaczka na jakimś odludziu mogła znać włoski. „A kapitan jest z wami?” – pytała dalej. „Jest” – markiz nie mógł opanować zdumienia i odpowiadał jakby z namysłem, wolno, szczypiąc się zarazem pod kocem, żeby sprawdzić, czy aby nie śni. „No to chwała Przenajświętszej Pani” – odrzekła, przeżegnawszy się pobożnie, a na odchodnym dodała: „Nie bójcie się, nic wam tu nie grozi, ani waszym towarom”. Po chwili markiz słyszał, jak w podobny sposób rozmawiała z marynarzem, z tym że rozmowa toczyła się już po hiszpańsku. Lecz jeszcze dziwniejszy był fakt, iż mimo upływu co najmniej paru godzin mężczyźni jeszcze nie powrócili do domów. Zapytane kobiety spokojnie wyjaśniły, że są jeszcze zajęci, że jeszcze

dużo pracy i mokołu ich czeka, gdyż próbują uratować co się tylko da z towarów wiezionych przez statek oraz dobytek nieszczęsnych pasażerów. Tego już nikt z rozbitków pojąć nie mógł. Każde poświęcenie ma swoje granice, których przekroczenie świadczy o braku rozsądku. „To wasi mężowie – pytano wokół z niedowierzaniem – dla naszego dobytku życie narażają?!” Kobiety uśmiechały się tylko z wyższością osób, które pytane są o rzeczy oczywiste, ale przyczyn tego niezrozumiałego poświęcenia nie chciały albo nie umiały wytłumaczyć. Przeto niektórych strach zdjął, słyszeli bowiem niejedną straszną opowieść o przybrzeżnych rabusiach, co to korzystając z nieszczęścia innych, albo podstępem sami je powodując, rabują towary z rozbitych statków, a pasażerów – nie wyłączając dzieci – najczęściej bezwzględnie mordują, by nie mieć świadków i w razie dochodzenia twierdzić, że był to statek saraceński. [Jedynie za rabunek statku chrześcijańskiego groziła kara, a nawet klątwa kościelna – przyp. J.L.]. Te nieczne praktyki miały wielowiekową niesławną tradycję, a ich źródeł należy upatrywać w zachłanności ludzkiej oraz w tak zwanym prawie nabrzeżnym (łac. *naufragium*; niem. *Strandrecht*; ang. *the right of shipwreck*; włos. *diritto di naufragio*). W tym jednak przypadku markiz Orii i jego towarzysze nie mieli się czego obawiać.

„Powiadam ci, dobry przyjacielu, że dopiero teraz, kiedy po paru tygodniach spędzonych na samych przyjemnościach w Gdańsku, ochłonąłem nieco z tych strasznych przeżyć, o których nawet starałem się nie myśleć, przez co wspomnienie o nich nękało mnie tylko we śnie, jak powracający koszmar (i z tego powodu nieraz budziłem się zlany potem i odretwiąły z obezwładniającego przerażenia), więc dopiero teraz jestem w stanie wrócić bez strachu do tamtej strasznej nocy i do cudownego naszego ocalenia, i czym wyraźniej je widzę, tym większym napawa mnie to wszystko zdumieniem, by nie rzec – osłupieniem. Nie ulega wątpliwości, że ocalenie zawdzięczaliśmy wszyscy nadzwyczajnemu poświęceniu miejscowych wieśniaków, poświęceniu, o jakim nigdy nie słyszałem, chyba że w jakichś legendach, co, jak wiadomo, w dużej części utkane są z fałszu i wydarzeń fikcyjnych. Do tej pory właściwie nie umiem sobie tego wytłumaczyć, a sądzę, że wielkim błędem byłoby twierdzić, że ich nadludzkie wprost poświęcenie jest skutkiem fanatycznego uwielbienia Matki Boskiej, za której wybrany naród się uważają. Tak jak czasem niezrozumiałe są przejawy okrucieństwa u ludzi, nawet u tych, co mieniają się szlachetnymi, zwłaszcza jeśli jest to okrucieństwo bez wyraźnej przyczyny, nawet bez gniewu, tylko dla przyjemności, jaką taki zwyrodnialec z okrucieństwa czerpie, tak i potrafi nas zdumiewać nadzwyczajne miłosierdzie, dobroć czy poświęcenie dla drugiego człowieka, zwłaszcza jeśli są one bezinteresowne. Tak już widocznie złem przesiąknięliśmy, że widząc przejawy jego zaprzeczenia, stajemy jak osłupiali, przecierając w zdumieniu oczy, jakby wierząc skrycie, że dobro – na tym zdegenerowanym świecie – może już być tylko fatamorganą. Również i ja dziwiłem się postępowaniu tych ludzi i...”

Zachowany odpis pamiętnika włoskiego arystokraty zawiera dalsze szczegóły jego pobytu we wsi. Dopiero następnego dnia dowiedział się dociekliwy markiz, że poświęcenie wieśniaków nie było czymś wyjątkowym i że niesienie pomocy rozbitkom jest niejako wielowiekową już miejscową tradycją. Mówił mu o tym ksiądz, którego spotkał przy niewielkim kościółku z czerwonej cegły, stojącym najbliżej skarpy. Dobrotliwy księżulo, przecierający co chwila łzawiące ze starości oczy, wziął z początku markiza za katolika i najprzód wylał przed nim cały leżący mu na sercu żal, którego źródłem była panosząca się po świecie herezja. „To wszystko przez te miasta – mówił z przekonaniem – całe zło stamtąd płynie. A jak się rozrastają! Obsiadły świat jak wrzody i teraz jątrzą się, rozrastają, niekiedy pękają, rozsadzane ropą grzechu”. Z dalszej rozmowy markiz dowiedział się, że mieszkańcy wioski otrzymali przed wiekami przywilej od księcia pomorskiego czy króla polskiego i w myśl jego postanowień mieli prawo zatrzymać bez podatku wszystkie „dary”, jakie morze na brzeg wyrzuci, pod warunkiem że to, co można, sami uratują i oddadzą bez żadnego uszczerbku prawowitym właścicielom. „Mają też obowiązek ratować za wszelką cenę ludzi i jak sami tego doświadczyliście – z miłym uśmiechem kończył wyjaśnienia ksiądz – wywiązują się z tego prawdziwie po chrześcijańsku”. Markiza bardzo ta opowieść zdumiała i choć był człowiekiem, który niejedno na świecie widział i niejednego doświadczył, lecz o czymś takim jeszcze nie słyszał.

„To znaczy – zapytał księdzę – że ratując dobytek innym, i to z narażeniem życia, działają niejako na swoją szkodę. Przecież mogliby nie ratować i nikt rozsądny nie miałby do nich żalu czy pretensji. I z pewnością większe zyski by czerpali z tego, co morze wyrzuci na brzeg. To przecież logiczne: im więcej uratują, tym mniej zostanie dla nich”.

„To się tylko tak wydaje, szlachetny panie – ksiądz nie był zaskoczony takim postawieniem sprawy – lecz w opatrzonym pieczęcią królewską przywileju jest to jego podstawowy warunek”:

„A czy ktoś ich pilnuje?” – pytał dalej markiz.

„Widać, szlachetny panie – ksiądz mrużył oczy, zostawiając wesołe wilgotne szparki – że z jakiegoś wielkiego miasta przybywacie. Tu na tym odludziu nie trzeba nikogo pilnować. Bo i jak? Człowieka, pewnie, można oszukać, nawet i tego, co pilnuje. Ale Przenajświętszej Panienci nie da się oszukać. A Ona tu jest z nami, o, w tym kościółku pod wezwaniem świętej Barbary. Fundatorem kościoła był sam książę Świętopełk, który – jak mówią – za jakiś ciężki grzech wobec rozbitków chciał w ten sposób winę zmazać. I Ona «pilnuje», jeśli już koniecznie musimy tego słowa użyć. Tak jak i Ona decyduje o tym, kto będzie topielcem, a kto nie, kto majątek straci, a kto długów już nie będzie musiał spłacać. Decyduje, co morze zachowa na wieki, a co na brzeg wyrzuci. A ponieważ temu ludowi nie raz się Ona objawiła, więc Jej nakazów przestrzegają z wielką gorliwością, i to sami z siebie, bez «pilnowania». Bo musi pan wiedzieć, szlachetny panie, że ludzie ci wierzą, iż są wybranym ludem Matki Boskiej i pod Jej specjalną opieką. Prosty to ludek, po swojemu rozumiejący przykazania wiary. Ale dobrzy są, uczciwi. Od pokoleń są tacy, i tacy pozostaną, chyba że im miasta tu wybudujecie i zaczną myśleć bardziej po kupiecku i złem się zarażą, od którego zginą”.

Pożegnawszy się z księdzem, markiz odruchowo pomyślał o katolickim fanatyzmie, z drugiej jednak strony nie mógł zaprzeczyć najważniejszym faktom, a mianowicie, że nie kto inny, a właśnie sfinansowani katolicy jemu i jego towarzyszom uratowali życie. Idąc tokiem tych myśli poruszonych rozmową z księdzem, markiz doszedł do wniosku, że faktycznie uratowała go wiara prostych wieśniaków w „boską” naturę Matki Boskiej, a więc *eo ipso* i Ona sama. Odrzucił jednak ten wniosek jako sylogizm i pozostał wierny swoim poglądom na tę zasadniczą wówczas kwestię. A trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że dotąd markiz wielokrotnie zabierał w tej sprawie głos, w licznych uczonych rozprawach podważając świętą naturę Marii i wyśmiewając Jej kult. Tak się złożyło, że już więcej na ten temat nie pisał i mamy wszelkie podstawy sądzić, że bezpośrednia przyczyna tego to jego cudowne ocalenie na przyładku Rozewie, którego jednak ceną była postępująca szybko ślepotą.

W każdym razie, jeszcze tego samego dnia wysłano posłańca do Gdańska, gdzie na markiza czekali uczeni przyjaciele, a może nawet już go oplakiwali. Natomiast późnym popołudniem, kiedy wszyscy rozbitkowie przyszli już do siebie, udali się gromadą na plażę, by przejrzeć uratowane przez wieśniaków rzeczy, a markiz ze ściskającą za gardło radością spostrzegł, wśród innych tobołów, pak, skrzyń i stert przeróżnych przedmiotów, dwa należące do niego kufrы z książkami. Niewysłowionej radości towarzyszył podziw, graniczący ze zdumieniem, jak też udało się taki ciężar do łodzi wciągnąć podczas sztormu i przywieźć na brzeg. [W wydanym w 1976 roku w Genewie dziele poświęconym tułaczce markiza, jego autor, Manfred Edwin Welti, oblicza, że księgozbiór ważył około 900 kilogramów, przy założeniu średniej wagi książki wynoszącej 855 gramów – przyp. aut.]. Tłumaczono mu, że to niezupełnie tak było, że podczas sztormu to oni tych kufrów nawet nie widzieli i dopiero rano znaleźli je na dnie morza. „Jak to na dnie?” – zdziwił się nie po raz pierwszy markiz. Tłumaczono mu dalej, lecz z powodu bardzo słabej u wieśniaków znajomości łaciny, zastępowanej raczej międzynarodowym językiem „na migi”, markiz niewiele z tego zrozumiał, ale z wdzięczności ofiarował im piękny złoty sygnet z rubinem. Dopiero później, już w Gdańsku, dowiedział się, że mieszkańcy tej dziwnej wioski posiadli mało gdzie indziej znaną sztukę chodzenia po morskim dnie i nawet sprowadzano ich do odległych portów, by wydobyli jakieś cenne przedmioty z zatopionych na redzie czy przy brzegu statków.

„No i wyobraź sobie, drogi przyjacielu, że książki moje uratowała nadzwyczajna zdolność tych ludzi, którą opanowali – jak mówią – przed wiekami, a mianowicie ich umiejętność chodzenia po dnie morskim. Brzmi to zupełnie jak z jakichś fantastycznych opowieści o czarach czy pogańskich bogach, czy herosach i wiem, że temu trudno dać wiarę, dopóki samemu się na własne oczy nie zobaczy, ale znasz mnie przecież dobrze i wiesz, że nigdy nie był skory do przesady i przy najmniejszych wątpliwościach wołałem milczeć niż wypowiadać nierozważne sądy. W tym jednak przypadku wątpliwości żadnych nie ma, choć przyznam, że sam tego nie widziałem, ale mówił mi człek zaufany, że w Gdańsku taki nurek wydobył ostatnio z Motławy kufer, jaki przez nieuwagę tragarzy wpadł ze statku do wody. Stało się to zresztą przyczyną karygodnej bójki między polskimi flisakami, co tu barkami zboże przywożą, a miejscowymi robotnikami, gdyż widząc popisy nurka, ci pierwsi zaczęli sobie pokpiwać w bezczelny sposób mówiąc, że to pewnie chrzest luteranski, na co ci drudzy, do żywego poruszeni, rzucili się na nich z pięściami i kijami. Tumult się podniósł niesamowity i dopiero straż miejska, a są to rosłe pacholki, zaprowadziła porządek, a winni czekają sądu. Ale wracając do moich książek, to nie ulega

wątpliwości, że to Opatrzność nad nimi czuwała, dwukrotnie bowiem w ciągu doby uratowała je przed bezpowrotnym zniszczeniem. Otóż, drogi przyjacielu, następnego dnia po tej upiornej nocy...”

W oczekiwaniu na powrót posłańca z Gdańska, markiz suszył na słońcu swe uczone księgi, rozłożywszy je przed chatą, gdzie wraz z innymi znalazł schronienie. Niektóre woluminy były do cna przemoczone i zachodziła obawa, że już się ich nie da uratować, lecz jeszcze większym od wody morskiej zagrożeniem okazał się przyjazny dotąd ksiądz z miejscowego kościółka, który poczuwszy jakimś szóstym zmysłem unoszący się w powietrzu zapach suszonej herezji, przydreptał w te pędy. Udając niewinne zaciekawienie bibliofila, najprzód z daleka oglądał rozłożone księgi, później jednak zbliżywszy się, pochylił się i zaczął przewracać zmoknięte karty, czytając uważnie tytuły. Przesuwał się od tomu do tomu z coraz bardziej gorączkowym pośpiechem, w coraz większych ukłonach, aż wreszcie na kolanach. W końcu zerwał się gwałtownie, blady, z drżącymi ustami i zakrzyknął zaskakująco donośnym, tubalnym głosem, w którego brzmieniu można było odczytać to, czego markiz w obcym mu języku nie zrozumiał. „Mamy ptaszka! Toż to diabeł! Wiecie, co to za księgi?! – krzyczał księżulo do zgromadzonych przed suszącymi się w słońcu księgami wieśniaków. – To heretyk, powiadam wam! Najlepiej te książki spalić! Tak, spalcie je raz dwa!” I tu po raz drugi szczęśliwa gwiazda markiza zamrugała łaskawym dla niego okiem, kiedy bowiem poruszeni do żywego wieśniacy zabrali się z wawo do dzieła i nie zważając na błagania, a później historyczne wprost krzyki i pogrózki markiza, który do tej pory uważał się za kontynuatora tradycji stoickiej, brali się do ułożenia uczonych ksiąg na stos i do ich podpalenia (co z przyczyn oczywistych wcale nie było łatwe), zjawiała się niespodziewanie wcześniej pomoc z Gdańska. Odsiecz właściwie, pod wodzą trzech dzielnych profesorów Gimnazjum Akademickiego, którzy władali językiem zbliżonym do miejscowego, co znacznie ułatwiło żmudne pertraktacje. Argumentem nie do zbitia nie okazało się jednak wcale kilka złotych dukatów ofiarowanych na kościół i drugie tyle na „biednych”: po krótkiej naradzie z księdzem wieśniacy oświadczyli, że biednych u nich nie ma, a kościół złota nie potrzebuje, oraz że sami doszli do wniosku, że jeśli herezję się z ich wioski wywiezie, to Matka Boska nie będzie zagniewana. A dużemu miastu, jakim jest Gdańsk, i tak już, nic nie może zaszkodzić. Zażądali jedynie pozostawienia tych ksiąg, w których łona jest Przenajświętsza Panienska. Ponieważ markiz dał im słowo, że niczego takiego w jego zbiorach nie ma (skłamał, oczywiście, choć moralnie czuł się usprawiedliwiony), pozwolono mu wszystko zabrać, co markiza niezwykle uradowało i przed wybuchem radości powstrzymał go tylko niepokojący ból oczu, połączony z rozmazywaniem się konturów wszystkiego.

No i na skutek takiego obrotu rzeczy można do dziś ten podwójnym cudem uratowany przed wodą i ogniem księgozbiór oglądać i czytać w Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk, co świadczy o nie słabnącej w tym mieście tolerancji. Ma się rozumieć, jak wszystkie starodruki, można je czytać tylko w Czytelni Naukowej, pod czujnym okiem markiza, który spod przymkniętych powiek zdaje się spoglądać na czytających z olejnego portretu (65 cm x 55 cm), oprawionego w skromną ramę; „spogląda” to może niezbyt właściwe słowo, gdyż historycy sztuki są zgodni co do tego, że jest to portret „na łożu śmierci” i oczy markiza są całkowicie przymknięte powiekami o kolorze spękanych oliwek. Można zatem przypuszczać, że jego twórca, „mistrz Herman”, o którym w dalszym ciągu niewiele wiemy, namalował go w dniu (?) śmierci markiza w 1597 roku. Wiemy również, że uczony Włoch jakiś czas przed śmiercią zupełnie stracił wzrok, co – jak sam przyznaje w korespondencji – było bezpośrednim skutkiem katastrofy. Był już wtedy człowiekiem leciwym (74 lata) i straszne przeżycia musiały być dla niego ogromnym wstrząsem, tym bardziej że w katastrofie zaprzepaszczone zostały chowane – jak się zdaje – na czarną godzinę, czy na stare lata, oszczędności. Pomijając wszelkie inne względy, to ostanie było przypuszczalnie bezpośrednią przyczyną ofiarowania uratowanych ksiązek miastu – od światłych rajców markiz otrzymał za nie mieszkanie i skromną pensję.

Jest w tym portrecie jednak coś dziwnego: chociaż oczy markiza, których koloru nie znamy, skrywają bladooliwkowe powieki, to siedząc w Czytelni Naukowej można odnieść wrażenie, że jednak te oczy widzą, że patrzą na czytających i z uwagą śledzą to, co inni czytają lub piszą. Stali bywalcy – a przeważają wśród nich pisarze, dziennikarze i uczeni – mówią nawet, że markiz czasem podpowie coś, podsunie jakiś pomysł czy słowo, którego brakuje (co młodzi uczeni w swej naiwności biorą za natchnienie); jeśli się nie zna języków obcych, to markiz podpowie również po polsku, choć z okropnym niemieckim akcentem. Lubi też – jak mówią – figle płatać: a to za rękaw pociągnie i kleksa naumyślnie zrobi, to znów podsuwa głupie myśli, na ogół bardzo nieobyczajne, przez co skoncentrować się nie można i robota idzie jak po grudzie, czy też niekiedy gwizdże do ucha jakąś natrętną, melodyjkę i

wówczas o pracy w ogóle nie ma mowy, i lepiej wszystkie papiery zapakować do teczki i pójść do domu. Jest to oczywiście forma kontroli tego wszystkiego, co się w Czytelni Naukowej dzieje i powszechnie wiadomo, że jeśli markiz się na kogoś uweźmie, to taki pechowiec pracy tam nigdy nie skończy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że do dziś markiz roztacza pieczę nad swoją biblioteką i nic jego czujnemu oku umknąć nie zdoła. Któż to ustali, ile prac naukowych dzięki jego przychyłności sprawnie napisano, a ilu – na skutek jego stanowczej interwencji – nie napisano w ogóle? Tak, stali bywalcy dobrze wiedzą, że sposobów na ingerencję w sprawy nauki posiada markiz bogaty wachlarz. I tak, korzystając – dla przykładu – z okazji, że któryś z uczonych się zdrzemnie albo – znudzony – zamyśli się o niebieskich migdałach, albo też o czym innym, markiz w niezauważalny sposób dopisuje coś w rękopisie, przez co ich autorzy nadziei się później nie mogą, skąd im taka właśnie myśl przyszła do głowy. Czasem są to dopiski prawie genialne (niejeden zawdzięcza im ukończenie pracy), czasem jednak są tak złośliwe, że ich adresat na swoje i nauki szczęście danej pracy nie kończy i zabiera się do czego innego; kiedy indziej są żartem, zazwyczaj bardzo dowcipnym, choć i sztubackie się trafiają. Kiedy więc w poważnej, pełnej uczonego skupienia atmosferze Czytelni Naukowej nagle, ni z tego, ni z owego, któryś z dostojnych uczonych wybucha śmiechem, to tylko nowicjusze patrzą na niego z naganną odrazą; stali bywalcy patrzą ze zrozumieniem, wiedząc, że to znowu markiz Orii...

Ponieważ portret zawieszony jest w głębi, centralnie, prawie na wprost wejścia, na ślepej balustradzie chroniącej płytką galeryjkę, do której prowadzą kręcone schody, markiz ma wgląd na całą czytelnię [z wyjątkiem miejsca 19 i 20 – przyp. J.L.], a korzystający z niej siedzą do niego tyłem. Tylko dyżurny bibliotekarz ma swoje stanowisko na wprost portretu i stąd też – obok uczonych – bibliotekarze z pokolenia na pokolenie przekazują sobie różne, czasem fantastyczne opowieści związane z osobą markiza i z jego portretem. Podobnie jak Biała Dama w Kórniku, tak i markiz Orii, a właściwie to jego duch ma niby „straszyć” wśród długich, mrocznych korytarzy, zakurzonych półek z książkami. Czasem wyskoczy z piskiem z jakiejś starej księgi, czasem zaskrzypią jego kroki na pustym parkiecie w czytelni, czasem przemknie zimnym przeciągiem, gdy okna i drzwi są szczelnie zamknięte, niekiedy zadudni w kominie, a czasem – jak powiadają – to i ożyje na portrecie. Na oczach wszystkich. Markiz otwiera wówczas sklezione farbą powieki, mruga podrażnionymi werniksem oczyma, a z ich kącików wyciera okruchy pigmentu, nos marszczy światłocieniem jakby chciał kichnąć, porusza spękaniem głowy, przeciąga się, trzeszcząc ramą i przytrzymuje ostrożnie brodę, by mu przypadkiem nie odprysła. Potem ziewnie przeciągle, odsłaniając przy tym zamiast podniebienia gipsowy grunt, a kiedy już dojdzie do siebie, to rozgląda się z zaciekawieniem po czytelni, przenika wszystko rozbudzonym olejnym wzrokiem, w którym błyskają żywe punkciki światła, przebiega po nagłówkach gazet i czasopism, przewraca wzrokiem kartki w katalogu, przegląda listę nowych nabytków (z powodu chronicznego kryzysu co roku krótszą), zerka z łękiem połączonym z nostalgią za okno, po czym szepcząc sinymi wargami niesłyszalne słowa modlitwy (?), albo po prostu mruczając coś do siebie, coś, co jednak grzęźnie w farbie, ponownie zamyka oczy, ręce składa jak do pacierza i powoli wraca do pozy, w jakiej utrwalił go anonimowy artysta („mistrz Herman”) w 1597 roku, do zawilej konfiguracji spękań obrazu. Mówią, że portret ożywa nieregularnie i nie zdołano do tej pory w sposób bezdyskusyjny ustalić okoliczności, w jakich to ma miejsce. Interpretacje są bardzo różne. Niektórzy zdają się przeceniać wpływ markiza na działalność naukową w bibliotece. Inni znów pozornie ją zupełnie bagatelizują.

Tak się bowiem składa, że biblioteka znajduje się w punkcie strategicznym; w pobliżu najważniejszych punktów miasta: stoczni, kościołów, ratusza i komitetu partii. [To ostatnie jest, oczywiście, dzisiaj nieaktualne. W czasie, kiedy przygotowuję ostateczną redakcję maszynopisu do druku (pocz. 1991 r.), komitetu PZPR już nie ma. Natomiast w pobliżu stoczni, a więc i biblioteki, pojawił się nowy ośrodek władzy siedziba NSZZ „Solidarność”, co zdaje się potwierdzać powyższą uwagę autora – przyp. J.L.] Łatwo zgadnąć, że każda z tych instytucji stara się o jak największe wpływy w mieście, w tym także w bibliotece, od wieków strzeżonej przez markiza Orii. Jednak na temat markiza eksperci, zarówno partyjni jak, i kościelni, niechętnie się wypowiadają. Dla jednych cała ta sprawa to wysrane z palca mrzonki sprzeczne z naukowym światopoglądem; dla drugich cuda, zwłaszcza protestanckie, pachną herezją. Są to jednak opinie wypowiedane oficjalnie. Prywatnie wszyscy w mieście wiedzą, że w bibliotece „straszy”, natomiast starzy bibliotekarze i bywalcy Czytelni Naukowej nie mają najmniejszej wątpliwości, że portret markiza posiada wiele osobliwych cech. Zresztą, również i ta grupa społeczności gdańskiej nie jest ot – taka sobie zwyczajna. Większą część życia spędza przecież w bibliotece, co nie może być bez wpływu na widzenie świata, a także, niestety, na zdrowie.

O ile przez wieki Gdańsk uznawany był za „okno na świat”, dla Polski, to dla bibliotekarzy i stałych bywalców Czytelnia Naukowa była zawsze oknem, przez które można było spojrzeć w głąb porządku rzeczy i świata. Można to rozumieć dosłownie i metaforycznie. Tylko pozornie okna, te prawdziwe, zmieniano w czytelni w zależności od epoki i stylu. Zaś stali bywalcy zawsze przez nie patrzyli na świat i to bez względu na to, czy były to okna renesansowe, czy barokowe, rokokowe, klasycystyczne, czy też, jak teraz, neogotyckie. Ich oczy zdawały się sięgać dalej, niż oczy przeciętnych ludzi, przenikać przez wszelkie przeszkody i sięgać aż hen za morze, jakby tam właśnie kryły się tajemne treści, jakaś głęboka, dostępna tylko dla wybranych wiedza o świecie i ludziach. Wprawdzie droga do tej wiedzy prowadziła przez książki, to jednak wiedzieli, że poprzestać na tym, co piśmem, można wyrazić, znaczyłoby ledwie musnąć to, co kryje się znacznie głębiej. Podobnie patrząc na morze, na jego powierzchnię, przeciętny człowiek nie jest w stanie przeniknąć całego bogactwa podwodnego świata.

Tak jak ich postrzeganie i rozumienie otaczającej rzeczywistości było inne, tak i skłonni byli zapadać na choroby gdzie indziej nieznaną. Nazwać to chorobą zawodową nie byłoby od rzeczy. Zarówno dla bibliotekarzy jak i stałych bywalców biblioteka stawała się, nie tylko wielką księgą życia, ale i życiem samym. Dni mijają tam niczym prze wracane karty uczonych woluminów. Niestety, stały kontakt ze starym kurzem, osiadłym na księgach i rękopisach, z bakteriami i wirusami, których gdzie indziej napotkać nie można, nie może pozostać bez uszczerbku dla zdrowia: Szczególnie dokuczliwa, ba, niebezpieczna, jest jedna z chorób, której przebieg jest powolny, ledwie zauważalny, lecz prowadzący do nieuchronnego końca. Jej pierwsze objawy pojawiają się dopiero po latach pracy w bibliotece. Najpierw atakowane są dłonie, które stają się woskowate, prawie przezroczyste, pergaminowe, lecz potem matowieją, schną, luszcząc się i krusząc niczym stary papier. Zarażony taką chorobą najpierw stara się ją ukryć przed innymi, co jest jednak możliwe tylko przez pewien czas. Potem od dłoni zarażają się ramiona, tułów, nogi, co jeszcze można ukryć pod ubraniem, choć w zaawansowanym stadium choroby nie sposób już poruszać się bez charakterystycznego szelestu. A kiedy spod kołnierzyka koszuli wyłaniać się zaczynają wyraźnie widoczne, bladeżółte, papierowe liszaje, wówczas nie można już nikogo zmylić. Wszyscy bywalcy i bibliotekarze od razu wiedzą: kolejny, smutny przypadek choroby, której, niestety, nie można wyleczyć, ani też której nie sposób zapobiec. Bez zbędnych komentarzy patrzą, jak się biedak męczy, jak coraz trudniej jest mu chodzić, poruszać się, a nawet pisać. Szeleszczący oddech słabnie coraz bardziej. Papierowo blade twarz powoli zatracą swe wyraziste rysy, resztki włosów wypadają, jedynie oczy jaśnieją jeszcze czas jakiś, niczym znaki wodne, lecz potem gasną i one. Koniec następuje przeważnie nocą, pod nieobecność innych. Zmarły po prostu znika, a dzieło jego życia oprawiane jest w mniej czy bardziej ozdobną okładkę (dziś są one wyjątkowo tandetne) i odstawiane na półkę, co oczywiście odnotowane zostaje w katalogu. I stoją tak rzędem.

Wracając jednak do głównego toku naszych rozważań, nie należy się dziwić temu, że wieśniacy spod Rozewia z taką zaciętą determinacją zareagowali na podjudzenia księdza i nabrawszy – słusznego zresztą – podejrzenia, że księgi markiza Orii zawierają obelgi przeciwko Najświętszej Pani, zamierzali je spalić.

Byli bowiem na to szczególnie uciążliwi i ich łagodna dobrotliwość mogła w jednej chwili przerodzić się w gniew, a nawet w okrucieństwo. Niejeden się o tym przekonał, i to bez względu na swą narodowość czy wyznanie. Wystarczyło, żeby Ją obraził, a stawał się wrogiem numer jeden, nie mówiąc już o tych zwyrodniałcach, którzy rękę śmieli podnieść na miejscową Madonnię, tę słynną z cudów rzeźbę stojącą od dawien dawna w kościółku. Przekonał się o tym, na przykład, pewien kaznodzieja-reformator, który jako rozbitek, uratowany (razem z pierwszymi w tych stronach indykami) w sierpniu 1525 roku przez miejscowych, próbował w swej nadgorliwości nawracać wszystkich (jak tylko doszedł do siebie i gdy wypompowano mu z brzucha z pół wiadra wody). Był to Niemiec z Wittenbergi i błędnie sądząc, że trafił tu na bratnie i życzliwe mu dusze, w długim kazaniu, jakie wygłosił przy wiejskiej studni, otwierał przed słuchającymi go z uwagą wieśniakami otchłanie rzymskiej herezji. Kiedy jednak zaczął kalumnie rzucać na sprzeczny jakoby z Piśmem Świętym kult obrazów i Matki Boskiej, nie dano mu dokończyć, schwymano za ręce i nogi, wrzucono do łodzi, wywieziono w głąb morza i dokładnie w miejscu, z którego go wyciągnięto z topieli, oddano na powrót wodzie. Jego przypadek opisuje dokładnie w swej „Księdze męczenników” niestrudzony badacz protestanckiej martyrologii, a także twórca protestanckiej hagiografii – John Foxe, podając go jako przykład wrodzonego okrucieństwa katolików. Píše Foxe między innymi: „a któż nie słyszał o tym nieszczęsnym kaznodziei niemieckim, uczniu i towarzyszu samego Lutra, Johanie Becherze, którego nieszczęściem było, że nie dano mu zginąć od razu. Kiedy okręt, którym

płynął, nazwany «Gideon» roztrzaskał się na mieliźnie przy miejscu, co go zwą Rozewiem, wyłowili go z wody katolicycy oprawcy, lecz nie przez litość czy miłość i bliźniego, lecz by śmierć jego jeszcze okrutniejszą uczynić. Becher, wierząc w ich dobre intencje, cieszył się jak dziecko z uratowanego życia, tym bardziej że pragnął przez swą działalność jeszcze wiele dusz przywrócić prawdziwemu Kościołowi, wyrывая je ze szponów antychrysta, objęć babilońskiej nierządniczy. Daremna to była radość, gdyż nie minęło parę godzin, a ci podli ludzie, widząc jego radość, pojмали go znienacka, niczym szarańcza egipska, pęta na ręce i nogi założyli, po czym go na powrót do morza, wciąż jeszcze wzburzonego, wrzucili”.

Przekonał się również o tym pewien żołnierz szwedzki, w czasie kiedy w 1656 roku wojska jego króla bezskutecznie próbowały zdobyć Gdańsk – obok Jasnej Góry jedynej wyspy niepodległości w kraju zalanym szwedzkim potopem. Otóż oddział jego – a byli to rajtarzy – stacjonował latem tegoż roku w Żarnowcu, gdzie, poza zgwałceniem mniszek z klasztoru, niewiele było dla żołnierzy rozrywek. Ot, ukrzyżowano jeszcze kiedyś dla zabawy schwytanego katolickiego księdza i wbito na pal miejscową wiedźmę-czarownicę. Żołnierze lubili więc wypadły do okolicznych wiosek, gdyż zawsze dostarczało to jakichś wrażeń ich nudnemu – jak przystało na prowincję – życiu. Nasz rajtar – którego imienia ani nazwisku nie znamy – przejeżdżając kiedyś samotnie w poszukiwaniu wrażeń przez leżącą na uboczu wioskę, wstąpił do kościołka, by sprawdzić, czy jest on protestancki czy też heretycki, no i czy przypadkiem nie schroniły się tam jakieś wiejskie dziewczuchy, co to w swej naiwnej głupocie wierzyły, iż ciemne i święte wnętrze ocali ich cnotę przed gwałtem. Ujrawszy bogato rzeźbiony ołtarz, obrazy na ścianach, świece i prawie naturalnej wielkości rzeźbę, przedstawiającą Matkę Boską, wzburzył się nasz rajtar wielce, tym bardziej że jego podniecone widokiem kościoła chucie doznały wielkiego zawodu: żadnych kobiet w środku. nie było. Zaklął szpetnie, po czym nie namyślając się wiele, wyciągnął pistolet i strzelił prosto w serce alabastrowej Madonny. I wtedy stała się rzecz dziwna: kula przeszła rzeźbę na wylot, lecz zupełnie nie jak kamień, obłok pary – nie zostawiając najmniejszego śladu, wbijając się za to z impetem w mur absydy, gdzie pozostała jako dowód kolejnego cudu. Szwed wybiegł z kościoła z przeraźliwym krzykiem. Legenda głosi – innego źródła niestety nie ma – że zwariował i zamieszkał w nieprzebytych lasach ze zwierzętami, tylko na rocznicę tego przedziwnego wydarzenia zbliżając się nocą do wsi, by wyć przeraźliwie do świtu: Nękał podobno stacjonujące w okolicy oddziały swoich rodaków, nie dając im spać wyciem lub piekielnym śmiechem, przez co niewątpliwie osłabiał w nich bojowego ducha i przyczynił się poniekąd do wygnania najeźdźcy. Podobno jakiś obrotny człowiek schwytał kiedyś nieboraka i obwoził później w klatce po jarmarkach, wmawiając ludziom, że jest to prawdziwy wilkołak. W archiwum miejskim w Rydze jeszcze do niedawna znajdowała się kopia zezwolenia, wydanego przez Radę Miejską w grudniu 1662 roku, na pokaz publiczny z okazji świąt „leśnego potwora”, którego z Gdańska przywiózł niejaki Frantz Straszeck. Czy to był właśnie ów Szwed – trudno powiedzieć. W każdym razie, pamięć tego do końca nie wyjaśnionego zdarzenia przetrwała do dzisiaj w tańcach ludowych tańczonych na Kaszubach każdego sierpnia: beztróskie pąsy i przyspiewki dziewcząt przerywa pojawienie się „dzikiego człowieka”, który goni je ujadając jak pies, wyjąc upiornie jak potępiona dusza.

Przekonał się o tym również pewien żołnierz napoleoński, były rewolucjonista z 1789 roku, który – jeśli wierzyć dość mglistym relacjom jego kompanów – w tymże kościółku, pijany mocno, sądził bezecznie, iż Madonna jest żywą, piękną kobietą i szepcząc jej do ucha miłosne słówka, wpychając srebrną monetę do kamiennej dłoni, zaczął lubieżnie Ją obejmować. Trudno powiedzieć, co się dalej działo, tylko nad ranem znaleźli go koledzy na kościelnej posadzce, pokręconego w jakimś potwornym paraliżu. Jego ręce i nogi w dziwnych, nieludzkich wprost splotach obejmowały własny tułów i żadną siłą nie dało się ich już rozczepić. Pisane mu jeszcze były długie lata męki i nigdy nie wyleczony z tej katalepsji zakończył swój obmierzły żywot. Ponieważ jeszcze za życia rodzina sprzedała jego ciało Akademii Francuskiej, po śmierci nieszczęśnika umieszczono w specjalnym naczyniu w gabinecie osobowości. Przetrwał tam aż do drugiej wojny światowej, kiedy to przypadkowa bomba sprawiła, że wszystkie potwory wypłynęły na wolność.

Przekonał się o tym również pewien pruski pastor, który wmówił lokalnym władzom administracji państwowej, że najlepszy sposób na wykorzenie rodzimych tradycji kaszubskich to nawrócenie Kaszubów na prawdziwą wiarę, ponieważ w katolicyzmie o polskiej proveniencji tkwi element antyniemiecki i utrwalone jest poczucie odrębności narodowej. W związku z tym – a było to w pierwszych latach zaborów –władze wydały nakaz przejścia mocno już przez czas nadgryzionego

kościół przez konsystorz i przekazanie go protestantom, których jeszcze w okolicy nie było. Owszem, mieszkali od dawna po okolicznych miastach i miasteczkach, ale na wsi nie. I właśnie o to, żeby i wsi stały się protestanckie, miał ów pastor zadbać. Przyjeżdżał on do wsi w każdą niedzielę w towarzystwie czterech policjantów z Pucka i do zgonionych do kościoła wieśniaków wygłaszał płomienne kazania. Będąc człowiekiem bystrym, szybko się zorientował, że jego wysiłki oratorskie na niewiele się zdały, gdyż on gadał swoje, a wieśniacy po swojemu modlili się do Najświętszej Pani. Jakiegokolwiek próby oczyszczenia kościoła z katolickich pozostałości spełzały na niczym, co z czasem doprowadziło do tego, że pastor zaczął nienawidzić nie tylko miejscowy fanatyzm, ale i jego bezpośrednią przyczynę – alabastrową Madonnę. Nienawiść i zacierzenie podsuwają jednak zgubne pomysły, a do takich z pewnością zaliczyć można... [W tym miejscu tekst się urywa – przyp. J.L.]

Można jeszcze na koniec napomknąć o przypadku bardziej nam współczesnym, który świadczyć będzie, że cudowność miejsca nie należy wyłącznie do zamierzchłej czy też legendarnej przeszłości i rozciąga się terytorialnie znacznie poza okolice Rozewia. Przekonał się bowiem o tym pewien żołnierz rosyjski, rewolucjonista z 1917 roku, uczestnik wojny domowej, świadek cudu nad Wisłą, obrońca Moskwy, który przewodząc z oddziałem przez tę okolicę – a było to wczesną wiosną 1945 roku – zaszedł do kościoła, by sprawdzić, czy aby jakieś miejscowe kobiety się tam nie ukryły (a był to już inny kościół, jako że ten stary pochłonęło morze). Zamiast nich ujrzał... nie, nie wspomnianą już tyle razy rzeźbę – bo po tej ślad zginął, lecz Matkę Boską, która mu się objawiła – tę samą, którą widział pod Warszawą. Ujrawszy Ją, chciał paść na kolana, lecz w połowie drogi skamieniał i w tej pozycji już pozostał na zawsze. Stał tak w kościele przez kilka dni, pozostawiony przez kolegów, którzy wprawdzie w poszukiwaniu zaginionego przeszukali i kościół, to jednak w zbyt pośpiechu zrobili to pobieżnie i nie przypatrzywszy się dobrze, wzięli go za figurę świętego. Miejscowi przenieśli go później na cmentarz, gdzie po dziś dzień stoi jako pomnik. Dzieci co roku składają kwiaty na grobie żołnierza radzieckiego, który jest pod stałą opieką Szkoły Podstawowej im: Władysława IV, której urządzono również izbę pamięci. W okolicy nikt nie wątpi jednak, że w dniu zmartwychwstania padnie on na kolana i dostąpi zbawienia. [Warto nadmienić, że i dzisiaj, pomimo zmian politycznych w kraju, dzieci nadal składają kwiaty na tym grobie. Dla wielu jest to dziwne, ale nie dla tych, którzy znają miejscową tradycję – przyp. J.L.]

Bolesnie przekonał się również o tym pewien młody agitator partyjny, który latem 1949 roku, w towarzystwie funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, przyjechał w te strony, by zbadać sytuację na froncie rolnym, a także przeprowadzić agitację na rzecz założenia spółdzielni i przy okazji sprawdzić, czy aby jaki kulak się tu na odludziu nie ukrył. Wieśniaków zgoniono przed dom sołtysa, a młodzieniec wygłosił płomienne przemówienie, w którym nakreślił historię sojuszu robotniczo-chłopskiego, po czym przeszedł do walki z zacofaniem i o lepsze jutro, czego do pewnego momentu słuchano uważnie. Kiedy jednak widząc – jak sądził – wdzięczny odzew, zaczął gromy ciskać na ostatni bastion ciemnoty, czyli Kościół katolicki, który pod płaszczykiem religijności skrywa jadowne żądło reakcji i sanacji i którego fałszywe macki tłumia – jak to określił – zdrowe instynkty ludu pracującego, kiedy zaczął pomstować na zabobony, których najlepszym przykładem są odpusty, wiara w cuda (nie zauważył przy tym, że na jego retoryczne pytanie: „Czy widzieliście kiedyś cud na własne oczy?”, całe zgromadzenie zgodnie przytaknęło skinieniem głowy) i kult Matki Boskiej, wówczas tłumek zaszemrał, zafalował... [W tym miejscu tekst się urywa – przyp. J.L.]

Wszystkie te przykłady mają świadczyć o tym, że nie powinno nas dziwić zachowanie wieśniaków w 1591 roku, którzy podejrzewając, iż księgi markiza Orii zawierają obelgi przeciwko Najświętszej Panience, zamierzali je spalić. Tym bardziej że w ich kościółku stała słynna z cudów alabastrowa rzeźba. Z dokumentów zachowanych w Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk (a także z innych źródeł) wynika; że nie została ona wykonana przez żaden rodzimy warsztat, lecz znalazła się w tych stronach na skutek dziwnego splotu okoliczności. Oczywiście, okoliczni mieszkańcy nigdy nie upatrywali w tym przypadkowości, a wręcz przeciwnie: Opatrzność i spełnienie obietnicy danej jeszcze przez świętego Wojciecha: Bowiem kaszubska Madonna pochodziła – jak łatwo się można domyślić – z jeszcze jednego rozbitego okrętu. Wyprzedzając nieco fakty, o których będzie zaraz mowa, możemy wstępnie napomknąć; że był to okręt, który w sierpniu 1390 roku wiozł księcia angielskiego, przyszłego króla Henryka IV i przyszłego ojca Filipy, żony Eryka Pomorskiego, który to młodzieniec udawał się przez Gdańsk do Malborka; by wziąć udział w wyprawie połączonych sił krzyżackich i kniazia Witolda na Wilno, pozostające w rękach Jagiełły. Dla Wielkiego Mistrza wiozł Henryk wspaniały dar od swego

nieżyjącego już dziadka: była to piękna alabastrowa rzeźba, naturalnej pono wielkości, czyli właśnie owa wspomniana już wielokrotnie piękna Madonna, która w zamiśle ofiarodawcy miała być krzyżacka, a nie kaszubska. Podobnie jak markiz Orii, również i królewicz Henryk był urodzony pod szczęśliwą gwiazdą, kiedy bowiem jego okręt rozbił się w pobliżu Rozewia, uratował się nie tylko on, ale i znaczna część jego znamienitej świty, włączając w to muzykantów i błazna. Miejscowi wieśniacy; przodkowie tych, którzy ratowali markiza Orii, zajęli się troskliwie wszystkimi rozbitkami, umieszczając ich na noc w młynie, gdzie jeszcze wieczorem uczczono cudowne ocalenie winem i piwem oraz tańcami przy angielskiej muzyce. Powodów do szczęścia było więcej, gdyż pośród porzuconych na brzeg resztek okrętu znaleziono część kosztowności, a także i alabastrową rzeźbę przedstawiającą Matkę Boską. Ta ostatnia była jednak trochę uszkodzona: odpadła jej dłoń, która błogosławiła wiernych i mimo wysiłków nigdzie nie można jej było odnaleźć. W każdym razie w encyklopedycznym skrócie można powiedzieć, że Henryk – wdzięczny za cudowne ocalenie i wzruszony mszą świętą w miejscowym ubogim kościółku – postanowił ofiarować tę rzeźbę kościołowi; tym bardziej że Ona taką właśnie wolę wyraziła. Tak się przynajmniej wszystkim wydawało.

Należy podkreślić, że zanim jeszcze Henryk się urodził, jego waleczny dziad – również Henryk – wyruszył z zamiarem zdobycia sławy do Francji, gdzie jeszcze nadarzała się coraz w tych czasach rzadsza szansa zabicia lub okaleczenia kogoś z równie jak on żądnym sławy rycerzy. Właśnie od dziadka należy zacząć, bowiem bez niego – jak można sądzić – nie byłoby kaszubskiej Madonny. Kiedy jednak w 1351 roku zawarto czasowe zawieszenie broni między Francuzami i Anglikami w wojnie; bez której rycerze obu stron tracili sens życia i gnuśnieli w dłużącym się ponad granice rycerskiej wytrzymałości oczekiwaniu, aż się coś wydarzy, Henryk – hrabia Derby i książę Lankastru w jednej osobie; praprawnuk Henryka III – postanowił wyruszyć do dalekich Prus, by tam wywiązać się ze swych rycerskich obowiązków, a także i z przysięgi danej Matce Boskiej, wedle której miał pokaźnie zmniejszyć liczbę pogan na świecie. Jak podaje nam współczesny kronikarz niemiecki, Henricus de Hervordia, dominikanin urodzony w Westfalii, kiedy w lipcu tego roku angielski hrabia i książę na czele dość licznego, barwnego orszaku, w którym nie brakowało dzielnych rycerzy, przekraczał ziemie biskupa Paderbornu, napadli na niego zbójcy, a ściślej mówiąc – banda rycerzy westfalskich, którzy nie tylko zabili i poranili co poniektórych Angielczyków stawiających opór, ale i pozostałych okradli dosłownie ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Tak też łupem ich padła pokaźnych rozmiarów, pięknie rzeźbiona szkatuła, w której znajdowała się znaczna część majątku Henryka, nie mając bowiem pewności, czy z wyprawy wróci żywy, książę postanowił wspomóc piędziemi Zakon Krzyżacki. Bezwzględni łotrzykowie posunęli się nawet dalej i nie bacząc na wysokie urodzenie pojmanego Henryka, odarli go ze zbroi; układając przy tym dla zabawy kijami jak pospolitego przestępcę. Na jego protesty nie zważali wcale, a na zaiste śmieszne w danej sytuacji groźby odpowiedzieli groźbami niesmacznie grubiańskimi: „Zamknij się ty świński ryju, bo ci jaja utniemy!” Ponieważ wyglądało na to, że groźbę tę gotowi są spełnić, książę – jak przystało na syna narodu bodaj najbardziej ze wszystkich racjonalnego – milczał flegmatycznie po łacinie, a w duchu przeklinał ich po angielsku.

Żmudne dociekania historyków ujawniły parę interesujących szczegółów, które rzucają nieco więcej światła na tę w gruncie rzeczy dość przykrą przygodę hrabiego Derby. Otóż, istnieją poszlaki, wedle których można mniemać, iż napad westfalskich rzezimieszków (bo rycerzami nie godzi się ich nazwać) nie był tak zupełnie przypadkowy, nie był jakimś pechowym zrządzeniem losu, lecz był w istocie następstwem nieporozumienia między bogobojnym Anglikiem a Ottonem, księciem Brunszwiku. Konflikt ten wybuchł podczas obfite zakrapianej winem biesiady połączonej z uczoną dysputą na tematy teologiczne, jaka odbyła się parę dni wcześniej na zamku tego ostatniego. Ponieważ hrabia zamierzał zasilić wojska krzyżackie w wyprawach przeciw pogańskim jeszcze wówczas Żmudzinom i Litwinom, a jak wiadomo Zakon był pod wezwaniem Przenajświętszej Pani, Ją też obrał sobie za Patronkę niebezpiecznej wyprawy i cześć Jej największą oddawał. Książę Otton, natomiast, człek dość pospolitej natury i takiegoż umysłu, nie okazał podczas dysputy należytej Maryi rewerencji – być może za przyczyną skołowaciałego od wina języka – co spowodowało na ogół spokojnego Henryka do paru ostrych i zjadliwych, może nawet obelżywych słów pod adresem zaskoczonego obrotem spraw, podchmielonego – jak chce tego kronikarz – gospodarza. Straciwszy wiarę w angielską flegmę, Otton poszedł spać, jak gdyby nigdy nic, nazajutrz uprzejmie pożegnał gościa, po czym nastąpił na niego zabójców. To by tłumaczyło fakt, dlaczego Henryk – jako jedyny z orszaku – został obity kijami.

Choć z opresji wyszedł hrabia cało, to jednak z wielkim wstydem, i pomimo że modlił się żarliwie do swej Patronki, to jednak nieszczęście go nadal nie opuszczało. Dotarł wprawdzie aż do Szczecina, z determinacją pokonując wszelkie bezpieczeństwa i przeciwności losu, lecz tam czekała nań wieść istic hiobowa: otóż, okazało się, że właśnie podpisano zawieszenie broni między Krzyżakami a poganami. Co gorsza, bezmiaru nieszczęścia dopełniał fakt, że byli to bodaj ostatni poganie, jacy się jeszcze ostali w już ucywilizowanej w pełni Europie. Z tego też względu nie było sensu dalej jechać. Ponieważ ugodę podpisano na kilka lat, zapewne dla nabrania czegoś oddechu przed ostatecznym rozstrzygnięciem, hrabia poczuł się oszukany przez los, zawiedziony i rozgoryczony, pewnym pocieszeniem w bezsilnej rozpacz, jaka go ogarnęła, była myśl, że to być może Najświętsza Panienska nie dała mu dotrzeć na pole walki, nawet w jego pobliżu, a że niezbadane są i Jej wyroki, więc tak po prostu stać się musiało. Podzielił się tymi przemyśleniami ze swym gospodarzem, księciem szczecińskim Bogusławem V, który przy szklanicy wina wysłuchał wszystkiego z uwagą, po czym całkowicie zgodził się z takim postawieniem sprawy. Poszli później pomodlić się razem do zamkowej kaplicy: jak można się domyślać, Henryk dziękował Matce Boskiej, że zaoszczędziła mu trudów i niebezpieczeństw dalszej podróży i – być może – uchroniła od daremnej śmierci, chcąc go – jak przypuszczał – przy życiu zachować dla jakichś większych i dla losów świata ważniejszych celów; natomiast Bogusław za to, że rozejm na czas podpisano i że nie musiał okazać się nietaktowny wobec dostojnego gościa, królewskiej w końcu krwi, któremu nawet nie miał potrzeby wyjawiać, iż parę lat wcześniej zawarł przymierze z królem polskim Kazimierzem, zwanym Wielkim, a przy tym jego teściem i nieustrasczonym wrogiem Krzyżaków. Głównym punktem przymierza było to, że przez swe ziemie nie przepuści żadnego człowieka, niezależnie od godności, religii, pozycji lub stanu, zmierzającego ku Zakonowi. Jest zatem rzeczą jasną, że gdyby Krzyżacy nie zawiesili w porę wojny ze Żmudzinami i Litwinami, to chcąc dotrzymać danego teściowi słowa i nie chcąc narazić się swej nad wyraz energicznej w sprawach rodzinno-politycznych żonie, Bogusław musiałby wojowniczo Anglika siłą zatrzymać, odprawić z kwitkiem poza zachodnią granicę księstwa albo w ostateczności wtrącić do lochu. W każdym przypadku naraziłby się całemu rycerstwu, które z braku innego zajęcia – i mając nie spełnione śluby – coraz liczniej podążało w te odległe strony. Tak więc, obaj rycerze mieli za co Przenajświętszej Paniencie dziękować. W pewien dziwny do uchwycenia sposób bardzo to ich zbliżyło, tak że można nawet mówić o nowej przyjaźni, czego dowodem nad potrzebę długi pobyt Henryka w Szczecinie.

Można w tym miejscu napomknąć; iż pewien osiemnastowieczny historyk-amator, Arnold von Fredenberg, wysunął śmiałą hipotezę, w myśl której przyczyna dłuższego pobytu w Szczecinie była zupełnie inna. Otóż, w zaginionym dziś pamiętniku jednego z rajców szczecińskich, który Fredenberg – jak zapewnia – cytuje z autografu, jest wzmianka o donosie, jaki wpłynął na niejaką Hedwigę Konrad, z oskarżeniem o udostępnianie swego domu dla grzesznych celów. Autor donosu podaje wiele przykładów wszetecznych praktyk rzeczonoj mieszczyki, a wśród nich wspomina o wołającym o pomstę do nieba grzechu; w jakim pławiła się tam do cna zepsuta Barbara z przyjezdnym księciem, którego imienia nie śmie jednak nawet wspomnieć. Zgodność dat, a także i pewne poszlaki sugerowane przez badaczy angielskich, zdają się potwierdzać hipotezę Fredenberga; ponieważ jednak jest on znanym historykiem błagierem, fantastą i zwykłym fałszerzem, całość spuścizny stawia jego wiarogodność pod wielkim znakiem zapytania. Co więcej, w swych rozważaniach posuwa się on jeszcze dalej: twierdzi mianowicie, że książę Henryk zakochał się bez pamięci w pięknej Pomorzance o imieniu Barbara (której pochodzenie – na podstawie sobie tylko znanych dokumentów – ustala precyzyjnie: miała to być córka rybaka z jakiejś wioski „na północny wschód od Żarnowca”), a ponieważ groził jej proces za uprawianie nierządu, wywiózł ją z sobą do Anglii. W każdym razie, jedno w tej historii jest pewne: po zaskakująco długim pobycie w Szczecinie, hrabia i książę w jednej osobie wrócił do ojczyzny, wybierając drogę morską, oraz to, że na skutek kaprysu losu, a może i wyroków boskich, nie dane mu było ubroczyć miecza krwią pogańską, przez co zmarł w wielkiej zgryzocie, stając się jeszcze za życia pośmiewiskiem, takim wczesnym Don Kichotem średniowiecza.

Tak więc, przenosimy się wraz z nim do Anglii, przeskakując po drodze kilkanaście lat. Córkę Henryka, Blanche, wydano za męża za księcia Lankastru, jej krewniaka, co zwał się John of Gaunt i był czwartym synem króla Edwarda III, a więc z nikłymi szansami na koronę. Z tego małżeństwa zrodził się w 1367 roku zdrowy – i jak to zawsze kroniki notują – piękny potomek płci męskiej, którego na cześć rycerskiego dziadka po kądzieli ochrzczono imieniem Henryk. W tym samym roku urodził się jego kuzyn Ryszard, późniejszy Ryszard II, którego Henryk – jak dorośnie – zamorduje i po którym przejmie

koronę jako Henryk IV. Między innymi pisze o tym William Shakespeare. Jak to w rodzinach królewskich bywa, Edward nie mógł poświęcić wnukom tyle czasu, ile by pragnął, i z tego też powodu mały Henryk o wiele więcej przebywał ze swym ukochanym dziadkiem Henrykiem, który za cel swego niezbyt dotąd udanego życia wyznaczył sobie przygotowanie malca do przyszłej rycerskiej wyprawy na Prusy. Z tego też powodu, wielokrotnie i szczegółowo opowiadał wnukowi o swych zamorskich przygodach, o niefortunnej wyprawie do Francji, o równie pechowej podróży na wschodnie rubieże świata, o księciu Ottonie-bezbożniku, o niecnym zbójcach, na których (bądź ich potomkach) trzeba się jeszcze zemścić, o dzikich zwierzętach i równie dzikich ludziach, co w puszczech nieprzebranych mieszkają, o księciu Bogusławie-przyjacielu, o nieustępliwych w tępieniu pogan Krzyżakach i o wielu, wielu innych sprawach.

Najczęściej jednak opowiadał o tym, czego sam nie widział ani nie doświadczył, to znaczy o uciążliwych i krwawych walkach z poganami, z dzikimi Żmudzinami i z okrutnymi Litwinami. I te opowieści najbardziej chłopca wciągały: słuchał ich z rozszerzonymi oczyma, wyobrażając sobie później przed zaśnięciem, jak to sam kładzie trupem barbarzyńskie zastępy, które na jego widok, wyjąc nieludzko – bo przecież ludzkiego języka nie znają – pierzchają na wszystkie strony, pozostawiając na polu bitwy stopy zakrwawionych trupów, zagrabione wcześniej łupy i wyzwolonych jeńców: księży, zakonników, rycerzy ze wszystkich stron chrześcijańskiego świata, piękne dziewice i małych jak on rycerzyków. Kiedy Henryk nieco podrosł, wyobrażenia te nadal go nawiedzały, z tym że łupy jawiły mu się bardziej konkretnie, a skład uwolnionych jeńców był nieco inny: zniknęli księża i zakonnicy oraz piękne dziewice, a pozostali jedynie dzielni rycerze i małe rycerzyki o głowach aniołków, uzupełnieni o jeńców strony przeciwnej: byli to młodzi, atletyczni, dzicy wojownicy o błyszczących nienawiścią błękitnych oczach, o nagich, porośniętych gęstą szczeciną torsach i drgających przy każdym ruchu mięśniach. Henryk – ich nowy pan i władca w drodze wyjątkowej łaski dawał im do wyboru krzyż albo nóż. Tak się składało, że w tych półsennych marzeniach większość mocarnych dzikusów wybierała krzyż i – nawrócona – z wielkim oddaniem służyła Henrykowi jako najwierniejsza gwardia przyboczna, najbliżsi towarzysze walki, z którymi dzielił wszystkie niewygody i niebezpieczeństwa dalszych wypraw przeciw poganom; zasypiając marzył o ciepłe ich wielkich ciał.

Nie ulega wątpliwości, że prawie od początku, to znaczy od jego niespodziewanego powrotu ze Szczecina, po cichu z dziadka Henryka się naśmiewano, bo nie dość, że stracił prawie cały majątek, zrabowany przez łotrzyków księcia Ottona, to jeszcze nie nawojował się wiele i sławy ni łutu nie zdobył. Ba, powiadano nawet, że i do Francji trafił tuż przed zawieszeniem broni, więc tak po prawdzie miecza z pochwy nie wyciągnął. Złośliwie mówiono, że raz jeden widziano tylko, jak po miecz sięgnął – a było to podczas owego niefortunnego napadu zbójców – lecz zanim dobył oręża; powalono go na ziemię, zdarto zeń zbroję i obłożono bezlitośnie sękatymi kijami, jak jakiegoś opryszka. Urosło to w końcu do rodzinnej legendy; że gdziekolwiek tylko dziadek Henryk się pojawiał, tam zaprzestawano natychmiast walk i nawet najdzikszy poganie, najbardziej zajadli wrogowie Matki Boskiej – którą obrał sobie przecież za patronkę – z inaczej niewytłumaczalnych powodów rezygnowali z dalszych walk, podpisując rozejm albo znikając nagle w nieprzebranych puszczech, które zamieszkiwali wraz ze swymi pogańskimi bogami. Ni z tego, ni z owego opuszczała ich ochota do walki. Mówiono też z przekąsem, że nie zabił w swym życiu nikogo i jego przewagi rycerskie, o których tak szczegółowo opowiadał wnukowi, były wysane z palca. Nikt też, prócz wnuka, mu nie wierzył, no może tylko Geoffrey Chaucer, który jako nadworny poeta tej właśnie rodziny, też był niczym dziecko. Oczywiście, wnuczek wierzył w dziadkowe historyjki, dopóki nie podrosł; Chaucer, natomiast, wierzył im do śmierci, czego liczne dowody pozostawił w swojej twórczości.

Niektórzy posuwali się do tego, że pomawiali biednego Henryka o złą wolę, rozpuszczając plotki, jakoby mógł się pośpieszyć należycie, nie zabawiając się po drodze po książęcych zamkach, a wówczas zdążyłby na ostatnią przed zawieszeniem broni wyprawę przeciw Litwinom. W związku z tym powiadano także, że książę Bogusław, nie chcąc przepuścić Henryka przez swoje ziemie – zgodnie z tajemną ugodą z polskim królem – i nie chcąc zarazem go obrazić, tak gościnnie zamorskiego gościa podejmował, że ten w ogóle o poganach zapomniał, oddając się zabawom, pijaństwu, a nawet i rozpuście. Wedle tych pogłosek, dopiero kiedy wieść o rozejmie nadeszła do Szczecina, książę Bogusław odprawił czym prędzej niepożądanego gościa do domu. „Całe szczęście”, mówili szydercy, „że stary Henryk nie brał udziału w żadnej wyprawie krzyżowej. Daleko by nie dotarli, he, he. I nie nawojowaliby

się, oj, nie”. Z początku, kiedy te okrutne słowa dochodziły do młodego Henryka, oburzał się bardzo, w samotności płacząc później z bezsilnej złości.

Bez względu na wszystko, kochał przecież szczerze swego dziadka, więc w miarę jak podrastał, coraz większy wstyd go palił z powodu pogardy, z jaką się odnoszono do dokonań rycerskich starego Henryka, a więc i jego przodka, przez co poprzysiął własną sławą zmyć choć częściowo hańbę drugiego. Tym bardziej że jego ojciec tego nie zrobił, oddając cały czas i energię intrygom w domu i na dworze królewskim, by jeśli nie sobie, to chociaż synowi – którego uważa za zniewieściałego niedołęgę – zapewnić koronę. Zresztą już jako mały chłopak wielokrotnie przysięgał przed wzruszonym dziadkiem – za każdym razem, gdy ten opowiadał o swych przygodach i nie dokończonych misjach chrześcijańskiej rycerstwa – że jak tylko dorośnie, natychmiast wyruszy przeciwko poganom. Dziadek brał wówczas jego rozpaloną twarz w swoje wielkie ręce i przybliżywszy ją do swojej, patrzył z dumą w oczy, powtarzając: „Tak, ty im jeszcze pokażesz, ty im jeszcze pokażesz...” Z początku Henryk sądził, że to „im” oznacza barbarzyńców, lecz po latach doszedł do wniosku, że równie dobrze zaimek ten mógł się odnosić do tych wszystkich prześmiewców, których dziadek zdawał się nie zauważać, gdyż istnienia ich nigdy nie potwierdził ani słowem, ani gniewem. Zdawał się głuchy na wszelkie, coraz bezczelniejsze docinki, przyjmując je w dobrej wierze, chociaż o głupią naiwność trudno go było posądzić. Kiedy, dla przykładu, opowiadał przy wieczerzy (czasem, rozochocony winem, to i chełpił się) o swej wyprawie na pomoc Krzyżakom, nie zważał zupełnie na ironiczne uśmiechy, ostentacyjne ziewania czy kąśliwe uwagi, typu: „O Henryku, nikt nie wątpi, że Krzyżacy musieli rozejm zawrzeć na wieść o tym, żeś ruszył w ich strony. Gdyby tego nie zrobili, to zapewne byłoby już po poganach”. Im książę był starszy, im mniejsze były jego wpływy, tym bardziej nie krępowano się jego obecnością i kpiono wprost, w czym szczególnie gustował ojciec Henryka, który teścia nie lubił. „Niedorzeczny pokraka”, mówił o nim bez cienia szacunku, czym zaskarbił sobie szczerą nienawiść syna.

Przed śmiercią dziadek zobowiązał młodego księcia, że po pierwsze – do Prus nie wyruszy .łędem, lecz popłynie statkiem przez Gdańsk albo Królewiec, a po drugie – że zabierze w podarunku dla panującego wówczas Wielkiego Mistrza Winrycha von Kniprode bądź jego następcy rzeźbę przedstawiającą Matkę Boską, którą to na jego specjalne zamówienie wykonał mistrz William z Chichesteru. „Jest to najpiękniejsza rzecz, jaką posiadam”, mówił słabnącym głosem, w którym można było wyczuć dziwne wzruszenie. Była to rzeczywiście piękna, alabastrowa rzeźba, zupełnie niepodobna do innych, jakie młody Henryk widział. Wykonano ją jeszcze przed jego urodzeniem i jej stałe miejsce było w komnacie dziadka. „Nie muszę do kaplicy chodzić”, mawiał stary książę, „mam Matkę Boską przy sobie”. Publiczną tajemnicą jednak było, że w kaplicy zamkowy kapelan nie pozwolił tej rzeźby umieścić. Powodem tego miały być pogłoski, jakoby piękna twarz Madonny była niezwykle podobna do twarzy pewnej cudzoziemki imieniem Barbara, żony owego mistrza Williama, która dziwnym zbiegiem okoliczności przybyć miała na jednym okręcie ze starym Henrykiem (wówczas jeszcze młodym) ze Szczecina w pamiętnym roku 1351, a może już w 1352. Była to zapewne plotka, jedna z tych, jakie z nudów wymyślano i powtarzano od zamku do zamku.

Twarz Madonny była rzeczywiście piękna: miała wysokie, lekko wypukłe czoło, duże oczy, mały kształtny nosek i pełne policzki ściskające usta w nieco kapryśną podkówkę. Prawdę mówiąc (i tym uzasadnione były obiekcje kapelana), wyglądała bardziej jak piękna kobieta niż Matka Boska i tylko gest błogosławieństwa, w jakim podniesiona była jej prawa ręka, nadawał jej boski wymiar. Zdawała się raczej niczym w baśni czy romansie zastygłym w kamień ciałem młodej, pięknej kobiety aniżeli kamieniem, z którego wykuto Jej podobiznę. Jeśli jednak rzeczywiście była rzeźbą, to przekroczone została w niej granica ludzkich możliwości w stronę cudownej, a więc boskiej już doskonałości. Była w niej lekkość i złudzenie ruchu, tak że zapominało się, patrząc na nią, że jest z ciężkiego, jak by nie było, alabastru. Skręcone wstążki włosów, kamienne pukle, nie tylko nie ciążyły, opadając na ramiona i łopatki, ale – przeszywane ruchliwym, migotliwym niczym cekiny światłem – drgały w oczach patrzącego jakby rozwiane na wietrze albo odrzucone nagłym ruchem głowy. Tak, w całej postaci był ruch, jakieś trudne do określenia zniecierpliwienie. Załamujące się w lekkim kontrapoście szaty, w skłębionych zwojach opadające zwiewnie do ziemi, przez swój układ wskazywały jakby na ruch nóg, których kształt poprzez szaty można było rozpoznać: wrażenie było takie, że albo Madonna przestąpiła przed chwilą z nogi na nogę, zmieniając w ten sposób kontrapost, no i rozfalowując luźną szatę, albo zamierza właśnie odejść i robi pierwszy krok. Podobnie w twarzy widać było pewne zniecierpliwienie, podkreślone po dziecinnemu kapryśną podkówką ust i półprzymkniętymi oczyma. Podniesione prawe

przedramię z dłonią w geście błogosławieństwa również nie było kamiennie nieruchome. W palcach Madonny drzemał ruch i zdawać się mogło, że w ledwie widoczny sposób nimi porusza. Dlatego też młodemu Henrykowi przemknęło kiedyś przez głowę, że i ten gest nie był tak zupełnie jednoznaczny: mógł być delikatnym podniesieniem dłoni jak na pożegnanie.

Im bardziej się w Madonnę wpatrywał, tym większej nabierał pewności, że poza boską, jest też w tej rzeźbie pewna i ludzka tajemnica i że w jakiś dziwny sposób wiąże się ona z jego dziadkiem. Być może dlatego, przez tę wzmożoną uwagę, z jaką na Madonnę patrzył, był jedyną osobą z obecnych przy łożu śmierci dziadka, która zauważyła, że tuż przed oddaniem ducha, z wielkim trudem podniósł on swą suchą, obrosłą żyłami rękę i wykonał podobny gest w kierunku Madonny. To, co inni wzięli za starcze i przedśmiertne drżenie rąk, dla młodego Henryka było wyraźnym gestem pożegnania. Prawdy do końca nigdy nie poznał, a .tym bardziej nam się nie uda do niej dotrzeć. Biblioteki też jej nie znają. [Nie znane są też źródła tego wszystkiego, o czym autor pisze powyżej – przyp. J.L.].

W każdym razie, kiedy Henryk podraślał i stawał się z roku na rok silniejszym i dzielniejszym młodzieńcem, dojrzywał w nim zapał do spełnienia nie tylko danej obietnicy i ślubów, które – jak przystało na chrześcijańskiego rycerza – złożył w kościele, ale i do posmakowania choć w części wabiących swą rozkoszą doznań z marzeń sennych. Dręczyła go jedynie obawa, że nie będzie mu dane – z jakichś dziwnych i trudnych do przewidzenia przyczyn – tych ślubów i marzeń spełnić, bowiem niezupełnie bez przyczyny zaczął podejrzewać, że przekleństwo ciąży nad całą rodziną i że on – podobnie jak dziadek – nie zdoła nawet dotrzeć na pole bitwy i miast sławy, przyjdzie mu znosić drwiące przytyki, a za plecami stanie się obiektem kpin i żartów. Dlatego z uwagą śledził wydarzenia na kontynencie, modląc się, by wszystko ułożyło się dla niego pomyślnie. Wprawdzie wojny we Francji chwilowo ucichły, to jednak Zakon Krzyżacki – niestrudzony w rozwiązywaniu problemu pogan, a dzięki prawdziwie niemieckiej skrupulatności i metodyczności mogący się poszczycić nie lada wyczynem, jakim było wycięcie w pień całego narodu pruskiego – stwarzał jedyną praktycznie szansę zmierzenia się z ostatnimi już zapewne poganami, jacy się ostali w cywilizowanym świecie. A stamtąd, z odległych i tajemniczych Prus i Litwy napływały stale nowe, zachęcające wieści. Dzielni rycerze z Anglii wciąż wyruszali na wyprawy, a po roku czy dwóch, a czasem nawet i pięciu, wracali, często okaleczeni i wycieńczeni wojennymi trudami, niekiedy i niewolą, czasem wracali cali i zdrowi na ciele, lecz z dziwną prostracją umysłową – z tych ni słowa nie dało się wycisnąć. Tylko nieliczni opowiadali o swych przygodach. Od nich to Henryk – chciwie chłonący każde słowo – dowiedział się, że dziadek miał jednak rację i że najkrótsza i najpewniejsza, choć nie tak zupełnie bezpieczna, droga prowadziła przez Morze wówczas zwane Niemieckim, cieśniny duńskie do Gdańska. Słyszał też o wspaniałej stolicy krzyżackiego państwa, również poświęconej Marii Pannie, o potężnym zamku, nie mającym równego na świecie, przynajmniej tym znanym. Z wypiekami na twarzy słuchał opowieści o ostrej regule Zakonu, o karach dla tych, którzy ją łamali, o braterstwie na polu walki, o waleczności, lecz i bezwzględnym okrucieństwie wroga, o taktyce wojennej i o wielu, wielu innych rzeczach, które tylko zagrzewały go do wyjazdu.

Cóż, kiedy niespodziewane wypadki postawiły jego wymarzoną wyprawę pod wielkim znakiem zapytania. Kiedy bowiem ukończył lat dwadzieścia i prześlągowany płaczącą matkę uzyskał obojętną zgodę ojca, nadeszła straszna wieść, że Jagiełło – od roku król Polski, ochrzczony imieniem Władysław – ochrzcił swe dziedziczne księstwo – Litwę, przez co Zakon chwilowo stracił sens istnienia, a nawet motywację do działań wojennych i przyjął pozycję wyczekującą. Co gorsza, zapowiadał się trwały pokój, i to pomimo rozpowszechnianym przez Krzyżaków (nie tak znów fałszywym) pogłoskom, jakoby Jagiełło miał na powrót wielbić bałwany. Wieści te zmroziły rycerstwo całej Europy i tylko ojciec Henryka wzruszał ramionami: „Mamy dosyć pogan w Anglii, po co ich jeszcze szukać za granicą?”, w czym też można upatrywać wczesny przykład angielskiej ksenofobii. Młody Henryk był zrozpaczony, modlił się gorąco do Matki Boskiej, by jednak doszło do nowej wyprawy, by mógł swe śluby spełnić, popisać męstwem i zmasać dziadkową hańbę, choćby nawet miał zginąć za Nią w walce z poganami, byle na takich zdołał natrafić. Ze zrozumiałych względów nie modlił się do Przenajświętszej Panienki, by pomogła mu zrealizować jego coraz bardziej natrętne marzenia senne. Przeto nie wiadomo, czy to na skutek jego żarliwych modłów, czy też z innych przyczyn, rok później ponownie nadzieją powiało ze wschodu: nastąpił rozłam wewnątrz rodziny Jagiełły i jego stryjeczny brat, Witold – ochrzczony imieniem Aleksander – znalazł się u Krzyżaków, z którymi zawarł sojusz przeciwko Władysławowi. W końcu nadeszła upragniona przez rycerstwo Europy wieść, że odbyła się już jedna krótka wyprawa, nie

przynosząc na szczęście rozwiązania konfliktu, a raczej wzmagając nienawiść i zacietrzewienie obu stron, i wobec tego, dla zebrania większych sił, Zakon i książę Witold zwracają się do rycerstwa chrześcijańskiego o pomoc w zorganizowaniu nowej wyprawy. I oto nadarzała się okazja, na którą Henryk tak długo czekał, a żyjąc w stanie ciągłego zniecierpliwienia, chronicznej gorączki, nie zauważył nawet, że go ożeniono z jakąś brzydulą o piskliwym głosie, a fakt, że żona urodziła mu wkrótce, rok po roku, czterech synów, napawał go tylko zdumieniem, niekiedy złością, zwłaszcza kiedy pochlebcy mówili przymilnie o niezwykłym wprost podobieństwie synów do niego, co było oczywiście nonsensem.

Kiedy pod koniec XIV wieku rycerze chrześcijańscy tracili z wolna nadzieję, że uda im się jeszcze choć trochę powalczyć w obronie wiary, by spełnić uroczyste śluby, przez co powszechnie tracili poczucie sensu życia i gnuśnili po zamkach w dłużącym się ponad granice wytrzymałości oczekiwaniu na przychylność losu, czyli na wybuch jakiejś wojny albo choćby na jakąś schizmę, tak żeby można było heretyków wyciąć w pień, albo na nowy najazd Mongołów, więc kiedy wielu mężnych rycerzy zatraciło poczucie sensu życia i oddało się kupiectwu albo rozpuście i pijaństwu, Henryk hrabia Derby, przyszły książę Lankastru i król Anglii, prapraprawnuk Henryka III, postanowił stawić się na oczekiwane od dawien dawna wezwanie Zakonu Krzyżackiego i (mniej oczekiwane) litewskiego księcia Witolda i wyruszyć do dalekich Prus, by tam spełnić swe rycerskie obowiązki, a także wywiązać się z przysięgi danej ukochanemu dziadkowi i Matce Boskiej. A było to w maju 1390 roku, kiedy Wielkim Mistrzem był jeszcze Konrad Zölner von Rotenstein, który jednak umrze, zanim Henryk zdoła dotrzeć do Malborka.

Jak powiada w swej „Historii” czternastowieczny kronikarz angielski o nazwisku Walsingham, hrabia Derby ziscił swe marzenie o sławie, zdobył ją bowiem na murach Wilna, gdzie niczym rozjuszony lew pierwszy wdarł się na czele swych żołnierzy do miasta. Ten sam kronikarz zanotował dla potomności, że wielki hrabia Henryk, prawdziwy kwiat rycerstwa, wziął do niewoli czterech pogańskich książąt, a trzech zabił w walce, nie mówiąc o trzystu pospolitych barbarzyńcach litewskich, których własnoręcznie pozbawił życia. On też jako pierwszy wprowadził nowy obyczaj w traktowaniu jeńców: każdemu, dawano szansę wyboru krzyża bądź noża. Krzyż wybrało sześciu, ale nikt z ponad trzech tysięcy jeńców nie poszedł pod nóż, uprowadził ich bowiem podstępnie nocą Mistrz Kurlandzki. Walsingham często myli się w datach i w wielu szczegółach, przez co podważona zostaje jego wiarygodność, co – z kolei – świadczy o tym, że oparł się on na jakichś nieautentycznych źródłach, prawdopodobnie ustnej relacji z drugiej ręki, być może kogoś z otoczenia Henryka. Bowiem zakonnicy kronikarze, jak na przykład anonimowy franciszkanin z Torunia albo Wigand z Marburga, znacznie dokładniejsi i wiarygodni, niewiele o wojennych przewagach Henryka piszą, być może dlatego, żeby nie umniejszać roli swoich mocodawców. Natomiast obaj są zgodni co do jednego: napomykają bowiem, że podczas wyprawy na Litwę hrabia angielski Henryk wziął do niewoli czterech rośliwych i pięknych młodzieńców, których – jako niewolników – zabrał ze sobą do Anglii. Nie wiadomo jednak, czy hrabia Derby sam ich wziął do niewoli, czy też uczynili to za niego jego żołnierze. Natomiast w szczegółowych opisach oblężenia Wilna i Grodna o roli czy nawet udziale Henryka w ogóle się nie wspomina.

To właśnie o tej wyprawie pisze polski kronikarz, Jan Długosz: „Książę Witold i Krzyżacy, postanowiwszy pomścić opanowanie zamków Brześćcia i Grodna i wydać wojnę Litwie, zebrali potężne wojsko tak z własnych rycerzy, jak i z gości, między którymi znajdował się Lancaster, starszy syn Henryka króla Anglii [tu Długosz się myli; patrz wyżej – przyp. aut.] z Anglikami i Francuzami wtargnęli na Litwę trzema oddziałami, z których jeden prowadził mistrz pruski Konrad Wallenrod z gośćmi, to jest z Anglikami, Niemcami i Francuzami, drugim dowodził mistrz inflancki, a trzecim książę Witold [...] następnie obydwie zamki wileńskie wzięli w kleszcze silnego oblężenia [...] mistrz pruski [zajął stanowisko] koło rzeki Wilii od strony Polski i wsi Ponary należącej do kapituły wileńskiej”.

Ale zanim do tego wszystkiego doszło, angielski hrabia napotkał na swej drodze wiele przeszkód, które co rusz przypominały mu o pechu, jaki prześladował jego ukochanego dziadka, gdy ten w tym samym celu udawał się na rubieże chrześcijańskiej Europy, i o przekleństwie, jakie przypuszczałnie ciążyło nad całą rodziną. Przede wszystkim przygotowania do wyprawy ciągnęły się niepomiernie długo: trzeba było przystosować okręty do przewozu wielkiej liczby ludzi, koni, a także bydła, świń, owiec i drobiu. W jednym z okrętów należało urządzić odpowiednie pomieszczenie dla hrabiego i innych wysoko urodzonych. A wybierało się z Henrykiem do Prus dwunastu dzielnych rycerzy, a także dziesiątki giermków, waletów, łuczniczków i innych żołnierzy. Towarzyszył mu szambelan dworu Sir Hugh Waterton oraz kapelan, Richard Kyngeston. Jechał również niejaki Richard Strongfellow, cieśla z

zawodu, a wynalazca z zamięłowania, którego z wielu powodów nie można tu pominąć. Jechali również minstrele, błazen, trębacz i pięciu innych muzyków. Razem – około trzystu ludzi, do przewozu których wynajęto dwie duże kogi, którymi dowodzić mieli gdańscy kapitanowie, Kacper Werner i Georg Kolka.

Ze swego, rodzinnego zamku w Bolingbroke podążył najprzód Henryk do Londynu, gdzie pokłonił się swemu kuzynowi, królowi Ryszardowi II (którego każe zamordować dopiero za dziesięć lat). Stamtąd udał się do Dover, obierając tę samą trasę, jaką pielgrzymi udawali się do Canterbury. Tak więc bez przeszkód, przez Dartford, Rochester i Ospringe dotarł do Canterbury, gdzie pomodlił się żarliwie przy grobie świętego Tomasza. No a z Canterbury to już tylko skok do Dover, gdzie na okręty załadowano ludzi i dobytek, nie zapominając oczywiście o polowym ołtarzu, i korzystając z pomyślnego wiatru, pożeglowano do... Calais. Właśnie, nie do Gdańska, lecz do Calais, gdzie domustrować miała grupa rycerzy francuskich – tak przynajmniej przypuszczają historycy. [Patrz wyżej: relacja Długosza – przyp. Aut.] Być może przyczyna wyprawy do Francji była zupełnie inna. Kronikarze w ogóle o niej milczą, natomiast zachowały się szczegółowo księgowane wydatki, jakie książę poniósł podczas pobytu w Calais. [Ta księga rachunków, wydana w XIX wieku przez Camden Society, będzie również dla nas ważna i z innych powodów; przyp. aut.] Przy braku innych dokumentów czy bardziej autorytatywnych relacji można jedynie przytoczyć opasłe dzieło nieco późniejszego autora, a mianowicie rozprawę piętnastowiecznego mistyka angielskiego, Johna z Cirencester, który jednak sławę zdobył nie tym, co napisał. Zakonnik ten bowiem prawie całe życie spędził na wymyślaniu różnych, zazwyczaj nikomu niepotrzebnych urządzeń: między innymi skonstruował skrzydła, na których chciał sfrunąć z dzwonnicy w Cirencester. Wprawdzie wyszedł z tego z życiem, lecz z łoża boleści już nigdy nie wstał i jedyną rozrywką stało się dla niego pisanie, a wśród snów i wizji, jakie opisuje, wspomina ten nieszczęśnik o pobycie hrabiego Derby we Francji i o tym, jak Henrykowi ukazała się Matka Boska, gdy ten zamierzał ruszyć przeciw poganom drogą lądową. Wedle Johna z Cirencester Przenajświętsza Panienka objawiła się cudownie Henrykowi na drodze z Calais do Paryża, ażeby go ostrzec przed zdradą Francuzów, którzy nie tylko nie zamierzali dołączyć do wyprawy przeciw poganom, ale chcieli w zdradziecki sposób wciągnąć go w zasadzkę. Przy okazji wypomniała mu, że nie zabrał z sobą na wyprawę żadnego Jej wizerunku, więc jakże miała być patronką jego wyprawy. Lecz źródło to nie jest wiarogodne, więc prawdziwych przyczyn wyjazdu do Francji, jak również zaskakująco szybkiego powrotu do Anglii, nie uda nam się ustalić definitywnie. Być może, czekając w Calais na rycerzy francuskich, na skutek ich opieszałości, stracił w końcu cierpliwość, zabrawszy tych, co na czas przybyli, dał rozkaz wypłynięcia w morze. Wiadomo natomiast, że już w Calais okazało się, że w ferworze przygotowań rzeczywiście zupełnie zapomniano o najważniejszej rzeczy, jaką hrabia miał zabrać – o pięknej rzeźbie przedstawiającej Matkę Boską, i przez to nieprzewidziane opóźnienie nie doczeka się jej umierający Wielki Mistrz Konrad Zölner von Rotenstein.

Tak więc, zawinięto z powrotem do Dover, skąd hrabia Henryk pogalopował z paroma towarzyszami do Londynu, obierając ten sam, co uprzednio, trakt i być może mijając po drodze pielgrzymów ciągnących do Canterbury; a wśród nich może i chaucerowskiego Rycerza, co to już w Prusiech walczył z poganami. Historia i poeta o tym milczą. Ze swego zamku w Bolingbroke zabrał piękną Madonnę, zapakowaną już wcześniej do drewnianej skrzyni; następnie – zapomniawszy pożegnać się z żoną – odwiedził rodziców w odbudowanym częściowo ze zniszczeń wojny domowej zamku Kenilworth, ucałował raz jeszcze zapłakaną matkę, wytłumaczył się przed rozeźlonym ojcem, po czym, po krótkim odpoczynku, ruszył do Bostonu, dokąd przybiły już jego okręty. W oczekiwaniu na pomyślne wiatry dokonywano jeszcze niezbędnych uzupełnień w aprowizacji, no i oczywiście załadowano dotąd nie znaną z cudów rzeźbę – na prośbę hrabiego do jego kajuty. A na początku lipca (przypomnijmy: roku.1390), po krótkiej mszy, odprawionej już na pokładzie flagowego okrętu, wyruszone w nie znane większości strony, gdzie zapomniani przez czas rycerze walczyli jeszcze z ostatnimi poganami. Jedynie kapitan był z Gdańska, lecz nagabywany parokrotnie przez Henryka, który ciekaw był ostatnich wieści, okazał się nieużyтым mrukiem, i to wcale nie dlatego, że słabo znak angielski, a łaciny w ogóle. Odpowiadał półsłówkami albo tak, że wydawało się, iż nie rozumie pytania. O Krzyżakach w ogóle nie chciał mówić, tylko żegnał się pobożnie, ilekroć ich wspomniano, jakby mówiono o siłach nieczystych. Nie dowiedziawszy się wiele, hrabia dał sobie z gburem spokój.

Podróż przez Morze Niemieckie była cudowna. Henryk z lubością wdychał rześkie morskie powietrze, wychodząc często na pokład, uciekając z kabiny – jaką mu urządzono w tylnym kasztele – którą mimo rozpylanych pachnideł wypełniał smród stęchlizny, smoły i uryny. Zapewne z przejęcia, że

upragniona chwila jest coraz bliżej; że staje się realnością, źle sypiał. Ale nawet w krótkich, przerywanych snach powtarzały się – z większą niż zazwyczaj intensywnością – wątki jego dzieciennych, a później młodzieńczych marzeń. Bitewny gwar, przestach na dzikich twarzach uciekających barbarzyńców, ich nagie plecy i pośladki, drgające w panicznym biegu. A on – Henryk – zakuty w zbroję, na swym olbrzymim wierzchowcu, dogania ich z dziecinną łatwością, jednych tnąc mieczem, innych ogłuszając uderzeniami płazem. Potem gratulacje od Wielkiego Mistrza, podziw i zazdrość w oczach wielu rycerzy; uścisk dziadka, który mówi wzruszonym głosem: „Zawsze wierzyłem, że im pokażesz; w końcu im pokazałeś! Moja krew! Od razu widać, że moja krew! Prawdziwy z ciebie rycerz, a nie jak ten dzieciuch, twój ojciec!” Przegląd bogatych łupów, zdobytych chorągwi, a wreszcie kolumna jeńców błagających o litość. Drżą przed nim – ich pogromcą, a teraz panem ich życia i śmierci. Wyciągają błagalnie ręce, by dotknąć... Później, już w namiocie, giermkowie pomagają śmiertelnie znużonemu Henrykowi zdjąć zbroję. Służy mu również kilku młodzieńców, wcześniej wziętych do niewoli i już ochrzczonych. Rozbierają Henryka, który nago kładzie się na łożu, a oni masują jego strudzone ciało...

Pogoda zmieniła się dopiero na Bałtyku, kiedy już minęli cieśniny duńskie i marynarze z niepokojem wypatrywali szybkich łodzi przybrzeżnych piratów, ostatnio niezwykle groźnych Braci Witalijskich. Zamiast piratów nadciągnęły czarne chmury, skłębione porywistym wiatrem, noc zapadła w południe, lunęło jak z cebra, no i przy akompaniamencie trzaskających jak potężne bicze piorunów zaczęła się sztormowa huśtawka. Książę i wielu jego towarzyszy odkryło wówczas po raz pierwszy nie dający się z niczym porównać koszmara morskiej choroby i chociaż modlili się wszyscy, słowa nie mogły przebić się do nieba. Po dwóch dniach i jednej nocy książę miał już wszystkiego dosyć i w duchu przeklinał wszystkich – dziadka, pogan, żonę i siebie. Również w duchu podziwiał rozsądek swego ojca, który nigdy do żadnej zamorskiej wojaczki się nie kwapił, a losem pogan w ogóle się nie interesował. „Powiedz, w czym cudzoziemski poganin jest lepszy od rodzimego?” – pytał nie bez ironii, ilekroć na ten temat przyszło im rozmawiać. Kiedy statek zapadał się w głęboki, ssący wawóz między falami, księciu wydawało się przy większych przechyłach, że zamiast firmamentu to rozszalałe morze zawisło nad ziemią i tylko patrzeć jak potężny potop, jakiego nie było, lunie na ziemię, przynosząc koniec świata. Kiedy zaś statek wychodził z jednego przechyłu, niesiony jakąś straszną siłą w górę, prosto w groźne, skłębione sinymi chmurami niebo, na wprost błyskawicom, księciu wydawało się, że świat się już rozpada i z przerażeniem stwierdził, że ztraca poczucie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Opuściła go też ochota do życia, tym bardziej że nawet upić się nie mógł, żołądek bowiem odmówił mu posłuszeństwa i zwracał wszystko, cokolwiek był przelknął.

Być może, gdyby nie otrzymał od matki inkluzy, która go miała chronić od wszelkich nieszczęść, albo gdyby to złe siły patronowały Henrykowi – niechybnie utonąłby wraz ze statkiem, noszącym imię świętej Barbary, który drugiej, okropnej i przerażającej nocy, porwany został przez silny prąd morski, przechodzący w pewnym miejscu w zdradliwy wir, który z kolei – zakręcił kogań niczym łupiną orzecha i rzucił ją z wielkim impetem na mieliznę. Od potężnego uderzenia pękł kadłub, zaczęła wdzierać się woda i jak tylko książę zdążył wybiec na rozdygotany i mocno już pochylony pokład, poczuł nagle, że ten usuwa mu się spod nóg i że otwiera się przed nim piekielna otchłań. Wśród huku fal, rozdzierającego krzyku przerażonych ludzi, trzasku pękającego wciąż w innych miejscach kadłuba, książę przeżegnał się i nie namyślając się wiele, a może i dla ukrócenia udręki, wskoczył do szalejącej kipieli. Pływał na szczęście dość dobrze i po chwili zdołał uchwycić się kurczowo jakiejś belki, wraz z którą uniośł go silny prąd. Noc była ciemna, rozjaśniana jedynie błyskawicami, których złowroga poświata pogłębiała tylko upiorną sztormu i przerażenie na wół martwego księcia. Wkrótce jednak poczuł, że traci siły, a w dodatku przemarzł na kość, bo woda – mimo lata – wcale nie była ciepła, więc zaczął się modlić żarliwie do Przenajświętszej Panienki, wierząc już głęboko, że to jego ostatnia modlitwa. Kiedy jednak przy którejś zdrowsze błyskawica ponownie rozdarła niebo, zdumiony i uradowany książę ujrzał, że w zupełnie niewielkiej odległości i to w kierunku, w jakim znosił go prąd, czerniało coś na kształt ładu, a kiedy niebawem poczuł grunt pod nogami, nie miał już żadnych wątpliwości, że dzięki interwencji Matki Boskiej został w cudowny sposób uratowany. Zostawił więc belkę i z wielkim trudem, przewracany przez rozbryzgujące się na wszystkie strony bałwany, dotarł do kamienistej płycizny przy brzegu, usianej mnóstwem naniesionych przez morze desek, drągów, jakichś pakunków czy tobołów i chyba ciał – w ciemnościach trudno było rozpoznać i książę domyślił się tylko, że to wszystko pochodzi z rozbitego statku. Wygramoliwszy się w końcu z wody, śmiertelnie zmęczony, padł na piasek, by obudzić się

dopiero, kiedy na zupełnie czystym niebie słońce stało wysoko, a nad nim kołowały mowy, których skwir uświadomił mu, że żyje.

Bilans katastrofy był straszny. Wprawdzie tylko jeden statek się roztrzaskał – drugi zawijał już prawdopodobnie do Gdańska – ale zginęło wielu ludzi, w tym pięciu rycerzy, kilkunastu giermków, herold i pięciu z załogi. Nie licząc, oczywiście; straconego dobytku, kosztowności, pieniędzy, zbroi, strojów i – jak początkowo sądzono – rzeczy najważniejszej: daru dla Wielkiego Mistrza, który – jak się później okazało – tej strasznej nocy zmarł, a ster władzy po nim przejął Konrad Wallenrod, postać znana również z literatury pięknej. W każdym razie, pierwsza myśl Henryka, gdy oślepiony przez słońce, w którym tańczyły mowy, odzyskał przytomność, była dość niedorzeczna, przynajmniej jeśli traktować ją dosłownie: „O, Boże! Zatonęła Matka Boska”. Miał, oczywiście, na myśli alabastrową rzeźbę, która z powodu ciężaru (a była pono naturalnej wielkości) niewielkie miała szanse, by ujść cało z topieli.

A jednak uszła! Kiedy bowiem przy pomocy miejscowych mieszkańców, którzy tłumnie, z kobietami i dziećmi, zbiegli się nad brzegiem morza (ich wioska leżała w bezpośrednim sąsiedztwie wysokiej skarpy, u podnóża której morze wyrzuciło rozbitków na piaszczystą plażę), przeszukiwano żalosne resztki okrętu, które zalegały plażę niczym sterczące, połamane żebra i wyprute wnętrzności jakiegoś olbrzymiego zwierza czy morskiego potwora, jakiego lewiatana, odnaleziono rzeźbę zarytą nieco w piasek, ale całą i obszoną już przez słońce. Było to o tyle dziwne, że była ona bez skrzyń i w opresji wyszła prawie bez szwanku: brakowało jedynie dłoni, którą błogosławiła wiernych, czy też może – jak chciał tego Henryk – machała delikatnie na pożegnanie. Tak jak zawsze, gdy na Nią patrzył, tak i tym razem przypomniał mu się dziadek na łożu śmierci, wysuwający spod pościeli suchą, obrosłą żyłami starczą rękę i robiący w stronę Madonny, samymi palcami; ledwie widoczny znak pożegnania. Starzec uronił przy tym kilka łez, wyszeptał: „A niech to wszyscy diabli!” i umarł. Tak więc ujrawszy Ją uratowaną w cudowny sposób i przypomniawszy sobie ukochanego dziadka na plaży przyładka o nazwie Rozewie, książę Henryk ukląkł przed Nią i zapłakał z wdzięczności i rozpierającej go radości życia, po czym modlił się żarliwie, a wraz z nim modlili się i inni. „Cud to, cud, prawdziwy cud” – powtarzał wszystkim dookoła, na przemian po łacinie, po angielsku i po francusku. – „Sama na brzeg przyplłynęła, sama”. Wieśniacy – chrześcijanie, jak się okazało – patrzyli na niego w milczeniu, w którym była pewna doza zakłopotania, jaką odczuwają rodzice, gdy ich niesforne dziecko wyjawia nagle przed innymi jakieś domowe tajemnice. Natomiast kapelan, który również wyszedł cało, zachowywał wobec faktu, ogłaszanego przez księcia jako cud, dużą powściągliwość, tym bardziej że polowy ołtarz, którym była niezwykle cenna relikwia – palec świętego Pawła – zaginął bezpowrotnie.

Jak wynika z relacji współczesnego kronikarza, wieśniacy zajęli się rozbitkami z prawdziwie chrześcijańską troskliwością. Zmokniętym dano suchy przyodziewek, wprawdzie prosty, wiejski, ale jakże w obecnej sytuacji królewski; nakarmiono ich ciepłą strawą i wszystkim wydawało się, że to rajską uczta, a uratowany dobytek rozłożono na słońcu, w którego czystym świetle trudno było uwierzyć w upiorną nawałnicę poprzedniej nocy. Prócz ołtarza dotkliwą stratą były również kosztowności, złoto wiezione w darze dla Zakonu od króla angielskiego, a także konie, które wszystkie utonęły, więc nawet nie można było wyruszyć w stronę Gdańska. Wysłano dwóch pachółków do Pucka, by zakupili tam choćby kilkanaście koni i parę wozów, a tymczasem książę i rycerze rozlokowali się w miejscowym młynie, pozostali zaś ludzie w wiejskich chatach, gdzie ich nad wyraz gościnnie podejmowano. Pachółkowie wrócili jeszcze tego samego dnia, lecz bez koni, gdyż te na potrzeby wojny zostały z całej okolicy ściągnięte do komturii gdańskiej, należało więc cierpliwie czekać na pomoc, jakiej spodziewano się ze strony załogi uratowanego statku.

Ponieważ ołtarz polowy wraz z karzącym palcem świętego Pawła pochłonęło morze, Anglicy poszli na mszę do miejscowego kościołka. Położony był na skraju wsi, ze wszystkich zabudowań najbliższej wysokiej skarpy, a więc i morza. W jego ciemnym i ciasnym wnętrzu ledwie mogli się wszyscy pomieścić. Nie było też w nim prawie żadnych sprzętów i ubóstwo wyłaziło z każdego kąta; ot, tylko na ścianie wisiało skromne tabernakulum, a jedyna ozdoba ołtarza to drewniany krucyfiks, niezdarnie wyciosany z lipy przez jakiegoś miejscowego cieślę. Było w tym coś rozczulającego i wrażliwy, pobożny Henryk, który nigdy jeszcze takiego kościoła nie widział, miał łzy w oczach, patrząc na ubogich wieśniaków, pogrążonych w modlitwie, dla których nie znane im zupełnie bogactwa i uciechy ziemskiego świata tak niewielkie miały znaczenie. „Prawdziwi chrześcijanie”, myślał w duchu, „można by z nich brać przykład”. Rozglądając się po ciemnym wnętrzu, czuł jednak jakiś dziwny niedosyt, jakby brak czegoś. Dopiero kiedy dowiedział się, że kościół jest pod wezwaniem świętej Barbary, zrozumiał

przyczynę owego niepokoju: we wnętrzu nie było żadnego wizerunku ani choćby atrybutu nie tylko świętej, ale i Matki Boskiej. A przecież to Ją obrał za patronkę wyprawy i przecież to Ona w cudowny sposób ocalała jego i innych, a także i alabastrową rzeźbę.

Po mszy ksiądz, mówiący dość biegle po łacinie, wyjaśnił księciu, że ten stan rzeczy wynika częściowo z przyczyn nieracjonalnych, bowiem już wielokrotnie – zdając sobie sprawę, że wioska jest dosyć biedna – zamierzał tę ewidentną lukę uzupełnić z funduszy kościelnych, lecz nie mógł, a to z powodu tępego uporu mieszkańców. Ich osobliwa nieustępliwość miała chyba swe źródło – jak księżulo przypuszczał – w jeszcze nie do końca wyplenionych tradycjach pogańskich. Wierzą oni bowiem, że są wybranym narodem Matki Boskiej i znoszą cierpliwie biedę i niewygody, w jakich żyją, ufając fanatycznie, że Przenajświętsza Panienska sama się im objawi i wyzwoli z niedoli.

„Trudno powiedzieć, kto im tę niedorzeczność zaszczepił – tłumaczył zafrasowany ksiądz – można przypuszczać, że to pozostałość po kulcie bałwanów, tych różnych pogańskich bożków, co to brały pod opiekę jakiś naród albo gród, czy też tylko jezioro, las czy morze. Trudno powiedzieć. Oni natomiast utrzymują, że w myśl rodzimej legendy (a wierzą w nią, jak gdyby była świętą prawdą) miał ich nawrócić sam święty Wojciech, który to zapewnił ich, że są wybranym narodem i że wcześniej czy później Matka Boska się im objawi i wyrwie z niedoli, jaką muszą w pokorze znieść. Dlatego nie chcą mieć żadnego Jej wizerunku w kościele, tłumacząc, że miejsce musi być dla Tej prawdziwej. Uparci są strasznie i żadne perswazje, prośby ani kary nie odnoszą skutku. Chciałem zamówić piękny ołtarz z Matką Boską w Gdańsku – żalił się dalej – kapituła obiecała pomóc, a tu mi powiadają, że prędzej zabić się dadzą, niż na to zezwolą, by jakaś tam figura czy malowidło udawały ich Panienskę. «Ona sama do nas przyjdzie», powtarzają z uporem, «albo da znak, że my mamy iść do Niej». Mój poprzednik też próbował i zawiesił w kościele piękny obraz Zwiastowania: na drugi dzień już go nie było i szukaj wiatru w polu. Nikt, oczywiście, nawet na spowiedzi, nie przyznał się do kradzieży. Pachnie to trochę herezją, ale zarówno moi poprzednicy, jak i ja wolimy nie robić z tego sprawy, bo to z parafii pójdzie do dziekana, później do diecezji, a później kto wie – może i do Ojca Świętego i będzie niepotrzebne zamieszanie. Bo w gruncie rzeczy to są dobrzy ludzie, powiem nawet – dobrzy chrześcijanie, i tylko w tej jednej sprawie mają pomieszane w głowach. Z drugiej strony, tylko sobie tym szkodzą. We wszystkim innym są posłuszni i wierni, o dobrych sercach, bogobojni, a tu – masz ci los...”

I tak to księżulo rozwodził się nad swoją trzódką, a Henryk słuchał go z niekłamanym zainteresowaniem. Kiedy rozmyślał o tym wszystkim przed zaśnięciem, zanim jeszcze przyśnić mu się mieli nadzy, muskularni jeńcy pogańscy, przypomniał sobie słowa dziadka: „Zobaczysz, mój smyku, podróże kształcą. Wrócisz nie tylko z bogatymi kupami i sławą, ale i z doświadczeniem nie byle jakim. Będziesz zupełnie inaczej patrzył na ludzi i świat. Zobaczysz”. Nie bez zdziwienia Henryk stwierdził, że już teraz widział siebie i świat inaczej. Wiedział już, na przykład, że lepiej być żywym giermkim, a choćby i parobkiem, niż księciem – choćby i drugim w kolejce do tronu – rozkładającym się na dnie morza, a może już objedzonym z ciała przez żarłoczne ryby. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Odkrył też, że w pozornie niewygodnym barłogu w młynie można równie dobrze spać, jak w zamkowej komnacie.

Rano, kiedy się obudził, nie pamiętał, żeby mu się coś śniło, ale zastanowiło go to, że od momentu przebudzenia wiedział dokładnie, co jest najpilniejszą sprawą do załatwienia. Otóż, skoro świt ksiązę nakazał – ku zdumieniu i nieśmiałym protestom kapelana – by czym prędzej przeniesiono do kościoła cudownie ocalałą piękną Madonnę, gdzie ustawiono Ją na gołej posadzce, obok ołtarza. Kiedy modlił się przed nią, wydawało mu się przez moment, że poruszyła Ona głową na znak aprobaty i że Jej szaty zafalowały blaszanymi załamaniami. Co więcej, wydawało mu się, że Madonna poruszyła kamiennymi ustami, jakby mówiąc coś do niego bezgłośnie. Z gorączkową uwagą wpatrywał się w Jej usta, modląc się, by jednak do niego przemówiły. W uniesieniu, jakie nim owładnęło, widział, jak się poruszyła nagle, przestąpiła z nogi na nogę, wzdychając z ulgą, jakby uwolniona od zdrtwiałej w marmurze niewygody. Otworzyła alabastrowe oczy, a Jej szaty, zmieniając układ fałd, zachrząściły niczym szybkie kroki na żwirze. Wyciągnęła do niego rękę z ocalałą dłonią i mówiła coś, wyraźnie otwierając rzeźbione usta, lecz słowa do niego nie docierały, utkwily – niewidzialne – w powietrzu i dopiero po chwili, gdy usta Madonny na powrót związała kamień, opadły one płatkami kwiatów na ciemną posadzkę. Zebrał je starannie i przyłożył w dłoniach do ucha – słowa brzęczały jak stado ważek, lecz po chwili ucichły, zostawiając na palcach białą, alabastrowy pył. Ksiązę zemdłał, jak sądzono – z przemęczenia, a kiedy

przyszedł do siebie, już w swym barłogu we młynie, dokąd go ostrożnie zaniesiono, powrócił natychmiast na wciąż wiotkich nogach do kościoła i tam modlił się przez całą noc.

Modlił się tak żarliwie, tak głęboko, że nie zauważył wieśniaków, którzy zrazu pojedynczo, a potem gromadnie zachodzili do kościoła, zerkali ukradkiem, cofali się, po czym znowu wracali, cicho, na palcach, jakby nieśmiało, jakby nie chcąc zakłócić modlitwy wielkiego pana, zbliżali się do ledwie widocznej w półmroku Madonny, oglądali Ją ze wszystkich stron, dotykali nieufnie, jakby sprawdzając, czy jest naprawdę, szeptem przywoływali innych i w ogóle zachowywali się dziwacznie, co szczególnie niepokoiło księdza, który kręcił się w pobliżu, pilnując, by jego owieczki jakiegoś głupstwa nie zrobiły. Ilekroć jednak zachodził do środka, by sprawdzić, czy wszystko w porządku, szepty milkły natychmiast i wieśniacy wychodzili z kościoła, zmieszani, w przepaszających ukłonach, jakby przyłapani na gorącym uczynku. W sposób dla postronnych osób niewidoczny, prawie przez całą noc we wsi wrzało jak w ulu: wieśniacy nad czymś się gorączkowo naradzali, krążyli z jednej chaty do drugiej, a kiedy nad ranem Henryk ocknął się ze stanu religijnego uniesienia, stanu jakiego do tej pory jeszcze nie przeżył, ujrzał ze zdumieniem, że cały kościół usłany jest leżącymi krzyżem wieśniakami.

Tego samego dnia przybyła oczekiwana z niecierpliwością pomoc z Gdańska. Przed odjazdem ksiązę zapragnął pożegnać wieśniaków, lecz z wielkim trudem udało się ich zebrać, na widok bowiem białych płaszczy z czarnymi krzyżami, rozpierzchli się po okolicy, co wielce Henryka zdumiało. W każdym razie, uprzejmie im podziękował za pomoc i gościnę oraz obwieścił – co skrzętnie odnotował jego sekretarz – że w obliczu cudownego ocalenia, a także i innych znaków, jakie tu zauważył i przeżył, uważa za stosowne wyrazić szczególną podziękę Matce Boskiej, patronce jego wyprawy, i dlatego postanawia ofiarować Jej rzeźbiony wizerunek tutejszemu kościołowi, który, jak wiadomo, jest pod wezwaniem świętej Barbary, która PaniENCE Przenajświętszej służyła przez całe życie. A ponieważ w trakcie tej krótkiej przemowy zauważył, że miejscowy ksiądz ma bardzo dziwną minę, jakby octu się napił, więc dodał na odchodnym: „Przeto proszę was, że jeśli z jakichś przyczyn będziecie chcieli tę rzeźbę z kościoła usunąć, to nie niszczyć jej, lecz prześlijcie do Malborka, dokąd pierwotnie zmierzała”. Wieśniacy przyjęli te słowa zupełnie obojętnie, wiedzieli bowiem dobrze, że oto nadszedł kres ich znojnego oczekiwania, gdyż – jak to święty Wojciech zapowiedział – w cudowny sposób przybyła do nich Madonna, ich Matka Boska, która nie znalazła się tu przypadkiem ani dzięki szczodrości zamorskiego księcia, lecz zgodnie ze swoim życzeniem, by zbawić od niewoli swój lud i że do „głowy by Jej nie przyszło” udawać się gdzie indziej, a już szczególnie do Malborka, który szatan obrał za swą siedzibę, skrywając się pod białym płaszczem z czarnym krzyżem. Ksiązę wsiadł na konia, odjechał i więcej już go tu nie widziano. Tylko pamięć o nim pozostawała, utrwalona legendą. Odegrał on już swoją rolę w naszej opowieści, więc kończymy z nim w miejscu, który dla historyka wojskowości będzie zaledwie początkiem. Dla naszych celów najważniejsze jest bowiem to, że – nie bez przeszkód i niebezpieczeństwa – zdołaliśmy nie tylko uratować alabastrową rzeźbę z topieli w okolicach przylądka Rozewie i prawie całą wyciągnąć na ląd, lecz udało nam się również umieścić ją bezpiecznie w miejscowym kościółku.

II

Być może to markiz Orii był pierwszym uczonym, który dowiedział się o starym przywileju przyznanym mieszkańcom tej dziwnej wioski przez księcia pomorskiego Świętopełka. Ale z całą pewnością to jego docieklivości (i zapobiegliwości) zawdzięczamy ujawnienie zapomnianych dokumentów (oraz szeregu innych wykorzystanych w tej pracy archiwaliów), które potwierdzają przytoczoną już relację księdza. Aczkolwiek oryginał wspomnianego przywileju nie zachował się, to znany jest dokument confirmacyjny (ściślej: jego niemieckojęzyczna kopia), podpisany przez samego Kazimierza Jagiellończyka, a to dzięki skutecznej interwencji w tej sprawie Eryka Pomorskiego, byłego króla Szwecji, Danii i Norwegii, męża Filippy, domniemanej córki Henryka IV, o którym dopiero co była mowa. Tak więc dzięki jego staraniom, wieśniakom spod Rozewia potwierdzono przywilej z XIII wieku, sankcjonujący prawnie tradycję – jak się zdaje – o wiele starszą, a mianowicie prawo do – rzecz upraszczając – zatrzymywania na własność wszystkich bezpieczeństwa towarów, jakie morze wyrzuci, czyli do morskich kaduków, co stało się w tej wsi legalnym uzupełnieniem dochodów z rybołówstwa i uprawy roli. Jednak nie tylko dary składane na strądzie przez siwe fale Bałtyku nadawały sens życiu mieszkańców. Zajmowali się bowiem oni również, a może przede wszystkim, ratowaniem rozbitków, co uważali za swój święty obowiązek i za jedno z przykazań Matki Boskiej. Robili to, trzeba przyznać, z największym poświęceniem, co nie tylko zaskoczyło młodego księcia Henryka, lecz również tak doświadczonego życiem czelaka, jakim był fundator gdańskiej biblioteki markiz Orii.

Trudno z całą precyzją ustalić, od kiedy datuje się ta tradycja – z pewnością piękna karta w historii ratownictwa morskiego. Już w XII wieku niemiecki kronikarz Helmold w swej „Kronice słowiańskiej” uwiecznił dla potomności następującą cechę ludu zamieszkującego te strony (cechę tendencyjnie pomijaną przez niektórych badaczy niemieckich): „[są oni obdarzeni] wielu dobrymi przymiotami, są nadzwyczaj ludzcy względem cierpiących i śpieszą z pomocą tym, którzy na morzu znajdują się w niebezpieczeństwie lub są prześladowani od rozbójników morskich”. Być może to już święty Wojciech – jeśli rzeczywiście, jak chce tego legenda, odwiedził te strony – zaszczerpił w nich tę głęboko chrześcijańską cnotę, jaką jest bezinteresowne niesienie pomocy bliźniemu. Natomiast pewne jest to, że w latach pięćdziesiątych XIII wieku – na skutek, jak się zdaje, cudownej interwencji świętej Barbary (po dziś dzień patronki Kaszubów) – książę Świętopełk II, który do tej pory egzekwował okrutne prawo nabrzeżne, nagle przejrzał na oczy i wszedł na drogę cnoty, nie tylko rezygnując ze wszelkich korzyści z tego prawa płynących, lecz nadając również wieśniakom bezprecedensowy w tych czasach przywilej, dający im całkowitą wolność pod warunkiem niesienia pomocy rozbitkom.

Jak już wspomniano, oryginał tego przywileju zaginął, lecz zachował się na szczęście dokument confirmacyjny, a ściślej mówiąc – jego kopia sporządzona na początku XVII wieku dla potrzeb sądu w Pucku (do 1945 roku w zbiorach Biblioteki Miejskiej w Gdańsku) podczas głośnego swego czasu procesu mniszek z Żarnowca z wieśniakami, spod Rozewia (rzecz poszła o morskie kaduki). [Zapewne przez przeoczenie na temat samego procesu autor już nic więcej nie pisze – przyp. J.L.]. Warto przy tym zwrócić uwagę na znamieny fakt, iż stroną w sądzie nie były już niemieckie cysterki, gdyż te – pochodzące w większości z miast – zaraziły się reformacją, na skutek czego zakon zginął niejako śmiercią naturalną, lecz benedyktyński sprowadzone z Chełmna. Były to w większości Polki i Kaszubki, niemniej uważały, że nadane ich poprzednikom posiadłości, przywileje (w tym i prawo nabrzeżne) również i im się należą. Nie chciały przy tym uznać legalności następujących postanowień (nie datowanego) dokumentu podpisanego przez Kazimierza Jagiellończyka (przytaczamy tu tylko jego najbardziej istotne fragmenty): „My, z bożej łaski król Polski, książę Wielki Litewski, książę Ruski etc., wiadomo czynimy niniejszym pismem naszym, komu należy: iż potwierdzamy przywilej księcia Świętopełka i włościan mieszkających w wiosce przy strądzie, około miejsca zwanego Rozewie,

respektując na dawne i dzisiejsze dla kraju naszego i naszych poddanych zasługi, od poddaństwa wolnymi czynimy i nic sobie praw ani do nich, ani do ich potomków nie zostawiamy, ale owszem dozwalamy im, aby podług swego upodobania w inszych cudzych majątnościach, miasteczkach i miastach, albo gdziekolwiek najsposobniejsze miejsce sobie upatrzą, bezpiecznie się fundowali i sadowili z potomkami swymi... Wszelako jeżeli pozostaną tam, gdzie od wieków mieszkają, jest im przykazane, według dawnych zwyczajów swoich, 2 razy na dzień strąć swój (w paśmie 1 mili) obchodzić, a w nocy ogień stosowny palić dla ostrzeżenia podróżnych. A gdy się trafi (uchowaj Boże), że żeglujący na morzu ratunku potrzebować by mieli, oni zaraz, ile w mocy i sposobności ich będzie, dawać mają, przybierając do pomocy tyle, ile można zebrać w bliskości ludzi... A cożkolwiek morze wyrzucić by miało, takż i cożkolwiek z morskiego dna wydobyć mieli w 1/2 mili od brzegu, onemu wróć, który jest własnym panem onych dóbr i widzieć się im za nagrodę mają tylko takowe rzeczy, po które nikt roszczenia nie zgłosi..." [współczesny przekład niemieckiej kopii – przyp. aut.]

Problem jednak polegał na tym, że dokument confirmacyjny sporządzony został w czasie (ok. 1460 roku), kiedy przyładek Rozewie i prawie całe Pomorze należały jeszcze do Państwa Krzyżackiego i dopiero jesienią 1466 roku zostanie nowa dzielnica przyłączona do Polski, jako Prusy Królewskie. Z tego punktu widzenia Kazimierz Jagiellończyk nie miał prawa zrzekać się tego, czego jeszcze nie miał, co najpierw próbowały wykorzystać bogobojne mniszki z Żarnowca (nieskutecznie, co prawda), a prawie dwieście lat później urzędnicy Fryderyka Wielkiego w czasie sprawy karnej, jaką wytoczono mieszkańcom wioski (tym razem skutecznie).

Jak już wspomniano, król polski potwierdził przywilej Świętopełka dzięki interwencji Eryka Pomorskiego, o którym będzie jeszcze mowa. Natomiast zagadką do tej pory przez historyków nie rozwiązana są przyczyny, dla których Świętopełk nie tylko zrzekł się intratnych dochodów z racji egzekwowania prawa nabrzeżnego, lecz również zwolnił wieśniaków spod Rozewia z poddaństwa, pod jednym wszelako warunkiem, że będą z całym poświęceniem ratować rozbitków i zwracać im wszelkie wyłowione z morza dobra. Z całą pewnością ma to pewien związek ze świętą Barbarą, której kult jest do dziś szczególnie rozpowszechniony wśród Kaszubów. Niestety, przy prawie zupełnym braku innych źródeł, musimy głównie oprzeć się na legendach i z reguły niewiarogodnej literaturze hagiograficznej. Jedną z tych legend jeszcze na początku dwudziestego wieku spisał niestrudzony badacz regionu Friedrich Lorenz, publikując oryginalną – jak się zdaje – kaszubską wersję w „Baltische Studien”. My zaś przytaczamy ją w przekładzie polskim: „Jak tu było pogaństwo, to każdy człowiek miał to prawo, że kogo wyratował z topieli, to ten stawał się jego niewolnikiem. A jechał raz biskup z Rzymu do Gdańska z poselstwem. A jak okręt przepływał koło Rozewia to się roztrzaskał i wszystko i wszyscy utonęli oprócz biskupa, co wiozł relikwie, głowę świętej Barbary. A tak się ten wyratował i dostał go sołtys z Chłapowa. Ten jego przykuł do żaren i biskup musiał jemu stale zboże mleć. A jak on mełł dziesięć lat, to śpiewał pieśń o świętej Barbarze, ale po łacinie. A to jego nikt nie rozumiał, aż przybył w te strony biskup ze Słupska [?] i usłyszał ten śpiew. Posłał jednego ze swych ludzi, by się zapytał, co to za człowiek śpiewa. Tak ten jemu rzekł, że on przed dziesięciu laty był posłany z poselstwem ze Rzymu do Gdańska, a ten sołtys go wyratował i za to musi te żarna obracać. Tak ten jego uwolnił z tej ciężkiej niewoli. A to było w roku tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym” [sic!].

Legenda ta, z kolei, jest – jak to już w nauce stwierdzono – uproszczoną wersją innej, znanej już anonimowemu i – przyznać trzeba – niezbyt wiarogodnemu autorowi „Translacio et miracula Sanctae Barbarae” z przełomu XIV i XV wieku. Według niej legat papieski, biskup Sedenza, wiozł statkiem bezcenne relikwie: głowę świętej Barbary oraz kawałek krzyża Chrystusa. Były to dary papieża Innocentego IV dla króla duńskiego, Eryka IV [nie mylić z Erykiem Pomorskim – przyp. aut.]. Ponieważ w Danii panowała zaraza, król przeniósł się wraz z dworem na Gotlandię i tam też Sedenza popłynął. Jednak burza przygnała go w pobliże Rozewia, gdzie jego statek się rozbił. Władzał tam wówczas potężny książę Świętopełk, biegły polityk i zapobiegliwy gospodarz, który stosował bezwzględne prawo nabrzeżne: ten kto dotknął stopą jego ziemi bez pozwolenia, tracił majątek i życie, a w najlepszym przypadku popadał w niewolę. Legat został więc uwięziony, a wydobyte z dna morskiego relikwie odebrano mu i złożono w książęcym zamku w Sarnowicach. Sedenzę oddano pewnemu młynarzowi, zaś kawałek krzyża otrzymały święte mniszki z Żarnowca, których klasztor właśnie Świętopełk ufundował. Młynarz przykuł biskupa do żaren w swoim domu, a było to w Strzelnie. Przejeżdżał tamtędy biskup kamieński, krewny czy powinowaty Świętopełka, i usłyszał śpiew „Salve Regina”. Uwolnił on Sedenzę od młynarza i zabrał do księcia, który prosił o przebaczenie za tak niechrześcijański postępek, a legat

wyłosił kazanie przeciw prawu nabrzeżnemu, które jest sprzeczne z nakazami Boga. Wówczas Świętopełk zdecydował się znieść to prawo i nigdy go nie wykonywać.

Niezaprzeczalna jest zbieżność tych legend. Ciekawe jest również to, że wielu historyków, zarówno niemieckich jak i polskich, dało wiarę tej opowieści, tak w końcu dla średniowiecza typowej. Jako pierwszy, już w 1762 roku, Karol Dreyer uważał, że to pod wpływem owego kazania w 1253 roku Świętopełk wydał wyjątkowy jak na tamte czasy przywilej, zwalniający praktycznie wszystkie chrześcijańskie statki od prawa nabrzeżnego. Wyjątkowość tego zachowanego do dziś dokumentu polega na tym, że książę zrzeka się w całości ewentualnych wpływów z towarów uratowanych z katastrofy, i to na całym paśmie swojego wybrzeża. Świętopełk ufundował też kościół w wiosce na rozewskim cyplu, właśnie pod wezwaniem świętej Barbary, a jej mieszkańcom nadał przywilej, o którym już była mowa. Na marginesie można dodać, że legaci papiescy wielokrotnie przybywali na dwór książęcy: na przykład Wilhelm z Madeny i Jakub z Liege gościli tam w latach czterdziestych trzynastego wieku. Czy to jeden z nich był pechowym rozbitkiem, którego przykuto do żaren i który podczas pracy śpiewał „Salve Regina”? Zostawmy tę kwestię innym badaczom. Podobnie nie uda nam się ustalić, co też się stało z kawałkiem krzyża Chrystusa (o ile wiadomo, markiz Orii też się tym zagadnieniem nigdy nie zajmował). Według innej wersji tej samej legendy, relikwie miały się znaleźć w klasztorze oliwskim, ofiarowane przez bogobojną drugą żonę Świętopełka, Hermengardę. Ale tylko o głowie świętej Barbary wiadomo coś więcej. Wiemy, na przykład, że z Oliwy głowę zrabowali później Krzyżacy [napomyka o tym, między innymi, w swej nowej, jeszcze nie wydanej powieści, pisarz gdański Bolesław Fac – przyp. aut.], lecz o jej dalszych losach kroniki zakonne milczą. Nieco światła na tę w gruncie rzeczy tajemniczą sprawę rzuca nie znane dotąd historykom źródła, o których będzie jeszcze mowa poniżej.

W każdym razie, wiele szczegółów jest w obu wspomnianych legendach jeśli nie takich samych, to nad wyraz zbliżonych. Niezgodne są tylko daty: w wersji zachowanej w tradycji kaszubskiej pada zawsze rok tysiąc trzysta dziewięćdziesiąty, natomiast zarówno Eryk IV (król duński), Innocenty IV i Świętopełk żyli i zmarli w wieku trzynastym. Jedyne, co wydarzyło się w tych stronach w 1390 roku, to katastrofa kogi wiozącej angielskiego księcia Henryka oraz rzeźbę przedstawiającą Piękną Madonnę. Przypuszczać zatem można, że w ciągu wieków daty i inne szczegóły powtarzanych z pokolenia na pokolenie „historii prawdziwych” i legend nieco się zatarły, a niektóre nałożyły się na siebie jak dwie albo więcej kłatek negatywu, z których sporządzić by można jedną fotograficzną odbitkę. Mówiąc o chlubnej tradycji niesienia pomocy rozbitkom, nie można rzecz jasna pominąć latarni morskiej, z której i dziś Rozewie jest znane i podziwiane przez szkolne wycieczki i wczasowiczów. Jednak nie należy zapominać, że dzisiejsza latarnia morska, wzniesiona w 1821 roku, nie ma, oczywiście, nic wspólnego z pierwszą, jaką tam wybudowano w... Właśnie, kiedy? Trudno na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Nie dotarłszy do wszystkich źródeł, historycy latarnictwa z reguły podają przełom XVI i XVII wieku jako przybliżony okres powstania pierwszej latarni na tym przyładku. Wiemy natomiast, że już w 1202 roku działała latarnia w Lubece, a w 1532 roku wspomina się o takowej w Kołobrzegu. O Rozewiu opublikowane dotychczas źródła milczą. Pierwsza wzmianka o latarni w tej okolicy, dotąd w Polsce nieznaną, pochodzi ze wspomnianej już księgi rachunków księcia angielskiego Henryka, domniemanego bohatera wyprawy na Wilno i ojca Filippy, żony Eryka Pomorskiego. Odnotowano tam bowiem, że 20 sierpnia 1390 roku wypłacono zaległy żołd żołnierzom, a niejaki Richard Strongfellow, cieśla, otrzymał trzy szylingi i dwa pency za szkic urządzenia o nazwie „pharos”, a dalsze dwa szylingi i dwa pency za „pomoc i instruktaż” w jego budowie „w pobliżu miejsca, gdzie się statek rozbił”. Zanim wyjaśnimy, czym ów „pharos” właściwie był, należy wspomnieć, że Richard Strongfellow nie był w swej ojczyźnie osobą anonimową, a już szczególnie rozgłos przyniosła mu tragiczna śmierć, jaką poniósł w 1400 roku. Ale jeszcze za życia zdobył on w pewnych kręgach sławę – jako jak to byśmy dzisiaj powiedzieli – wynalazca. Między innymi, wymyślił on nowatorski na tamte czasy sposób na ostrzeganie żeglarzy przed skałami i mieliznami w niebezpiecznym przesmyku Medway, prowadzącym do Rochester. I tak, wpadł on na pomysł, by oprócz działającej tam od wieków nabrzeżnej latarni morskiej, zbudować kilka dodatkowych, mniejszych latarni na podwodnych skałach, których wierzchołki wystawały ponad powierzchnię morza. W latarniach tych zastosowano – bodaj po raz pierwszy – węgiel, co miało tę zaletę, że naładowany kosz palił się przez całą noc, więc zbędna była jego obsługa. Uruchamiano te latarnie tylko przed zbliżającym się sztormem, spodziewając się, że zaskoczone na morzu statki będą tu szukać schronienia. System działał sprawnie i wielu zawdzięczało mu życie. Lecz prawdziwą sławę przyniosła mu dopiero tragiczna śmierć. Otóż, niefortunny przypadek sprawił, że kiedy Strongfellow dokonywał naprawy jednej z latarni

na skałach, stracił przez nieuwagę wciąż jeszcze rozżarzone węgle, które szybko wzniciły ogień, a ten w okamgnieniu rozprzestrzenił się na całą drewnianą konstrukcję i nie mając ucieczki, w skupie ognia – widocznym na wiele mil – w męczarniach spłonął dzielny cieśla na stosie, który sam sobie wybudował. Wieść o tym wstrząsającym wypadku obiegła nie tylko całą Anglię, ale dotarła również do odległych portów, przekazywana przez żeglarzy. Prochy Strongfellowa pochowano uroczyście w miejscowej romańskiej katedrze, a na płycie nagrobnej wyryto zatartą już dziś inskrypcję: jak chce tego historia literatury, było to epitafium napisane przez samego Geoffreya Chaucera, który – jak już wspomniano – również był związany z dworem księcia Henryka. Podobno były to ostatnie wersety poety, który wkrótce po ich napisaniu zmarł.

W każdym razie to nie kto inny, a Strongfellow towarzyszył księciu w 1390 roku w wyprawie przeciw poganom, a jego przydatność została w pełni potwierdzona niedługo po szczęśliwym uratowaniu z katastrofy. Niestety, z lapidarnych zapisków w księdze rachunków nie wynika, czy ów „pharos”, zaprojektowany przez Strongfellowa, został wybudowany przy jego pomocy przez miejscowych wieśniaków czy też przez Anglików, wśród których nie brakło rzemieślników wszelkiej specjalności. Jedno nie ulega wątpliwości: koszty robocizny pokrył ze swej kasy książę Henryk.

Czym właściwie był „pharos”, mówi nam nieco późniejszy dokument, z 1459 roku, w którym wspomina się również o „swieconej tormie”. Jest to nadanie dla sołtysa wioski Tupadło trzech włók lasu koło Rozewia, podpisane przez ówczesnego pana tych ziem, szwedzkiego króla – wygnańca Karola Knutsona. Zanim je przytoczymy, warto przypomnieć, że niefortunny król przybył ze swą flotyllą do Pucka w 1457 roku, zabiegając o pomoc króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka w walce o odzyskanie korony szwedzkiej. Pożyczony miastom pruskim, walczącym wówczas z Krzyżakami (którzy nie chcieli się pogodzić z faktem, że należą już do epoki minionej), pokażną sumę 15 000 złotych, otrzymał w zastaw całe starostwo puckie wraz z wybrzeżem. I tak to w sposób najzupełniej legalny po raz pierwszy Szwed panował nad tą częścią świata. Oczywiście, mieszkańcom wioski spod Rozewia było to całkowicie obojętne, dopóki nikt się nie wtrącał w ich sprawy i nie przeszkadzał w pełnieniu ratowniczej służby. Natomiast szwedzkiemu panowaniu sprzeciwiły się gwałtownie niemieckie mniszki z Żarnowca, które miały w tych stronach spore nadania i dochody, teraz zagrożone. A oto wspomniany dokument: „My, Karol, z Bożej łaski król Szwedzki, Norweski i Gocki, wiadomo czynimy niniejszym pismem, iż, zaradzając wielkiej potrzebie i niedostatkowi poddanych naszych, tudzież skłaniając się ku usilnym prośbom i życzeniom, darowaliśmy i nadaliliśmy naszemu wiernemu i sławetnemu sołtysowi z Tupadła, jego następcom i potomkom 3 włóki lasu w Rozewiu, przyległe do 3 włók, zostających w posiadaniu Strzelnian, a zamknięte, jako granicami, drogami leśnymi i znajdującą się tamże górą... Czynimy to wszelako pod warunkiem, że rzeczony sołtys, jego następcy i potomkowie będą po wsze czasy własnymi siłami i transportem dostarczać do wsi przy strądzie leżącej, gdzie ogień pali się w pharos, zwanym tutaj «swiecona torma», dla ostrzeżenia podróżnych, tyle drewna i smoły, ile dla podtrzymania tego ognia będzie konieczne. Dan w Pucku w wigilię dnia św. Marty roku Pańskiego 1459”.

Ponieważ nadane przez Karola Knutsona trzy włóki lasu były *de facto* i *de iure* własnością świętych mniszek z Żarnowca, konflikt był nieunikniony. Sprawa oparła się o kurię biskupią. Zagrożony klątwą kościelną król szwedzki odpłynął jak niepyszny, nie otrzymawszy ani pomocy ze strony Jagiellończyka, ani zwrotu długu. Zastawu natomiast z sobą zabrać nie mógł, więc go zostawił, licząc na uczciwość dłużników. Jak to bywa w historii, ta z pozoru błaha sprawa miała poważne reperkusje. Następcy Karola Knutsona na szwedzkim tronie będą się o ten dług jeszcze wielokrotnie upominać. Spłacony on zostanie dopiero podczas wielkiej wojny północnej, kiedy to w 1704 roku Karol XII wymusił na Gdańsku zwrot 142 000 złotych, doliczając za zwłokę 67 000 talarów, czyli mniej więcej 271 talarów za każdy rok. Dla naszych celów nie jest to jednak tak istotne jak wspomniany w dokumencie rozewski „pharos”, nazwany również „swieconą tormą” [czyżby kalka językowa z niem. „Leuchtturm”? – przyp. aut.]. Skoro w łacińskim oryginale pada słowo „pharos”, sięgnijmy zatem po najstarszy słownik łacińsko-polski Jana Mączyńskiego z 1564 roku: „Pharos, masc. Przed czasy był wysep nie daleko od miasta Alexandriey Egypskiego potym się z ziemią zrównało też wieża tamże na której zawždy ogień w noci dla żeglarzów gorzał ztądże wszelakie wieże y insze budowania na których ognie takowe goreyą phari bywayą zwane”. Zatem nie ulega wątpliwości, że już w XV wieku wiedziano o latarni morskiej u przylądka Rozewie, zwanej „pharos” albo „swieconą tormą”. Kaszubskie słowa „bliza” [zapewne z niem. „Bluse” – przyp. aut.] czy też „baka”, również oznaczające latarnię morską, są – jak się wydaje – późniejszego

pochodzenia. Mamy zatem wszelkie podstawy; by sądzić, że pierwszą w tych stronach latarnię morską wzniesiono z inicjatywy księcia Henryka w 1390 roku. Być może istniała tam wcześniej jakaś latarnia, a ta angielska była jedynie jej udoskonaleniem. A już z całą pewnością wiemy, że od najdawniejszych czasów palono tam ogniska dla ostrzeżenia żeglarzy przed niebezpieczeństwem.

O tym, jak latarnia z 1390 roku mogła wyglądać, możemy ustalić prawie wyłącznie na podstawie źródeł pisanych i ikonograficznych z innych stron świata, gdyż około 1400 roku istniało już kilkadziesiąt „phari” w wielu krajach Europy. Tak się jednak pechowo składa; że pierwszym odnalezionym dotąd przekazem ikonograficznym naszej latarni jest szwedzka mapa dopiero z 1696 roku, na której anonimowy kartograf zaznaczył tuż przy zacieńonym klifie przedziwną dla nie wtajemniczonych pionową konstrukcję. Jest to słup, stojący na drewnianej, trójkątnej podstawie, zwieńczony doniczkowym koszem, z którego wydobywają się płomienie. Mamy więc prawo sądzić, że była to „bliza” w szeroko wówczas rozpowszechnionym typie żurawia. Była to dość prosta konstrukcja, zbliżona nieco do studziennych żurawi jeszcze i dziś na wsiach spotykanych, gdzie do długiego drąga zamocowywano kocioł albo kosz. W kotle palono olej, a w koszu smołowane drewno lub węgiel. Podobne urządzenie widoczne jest na mapie, którą wykonał Rizzi Zannoni, wydanej w 1772 roku, a więc w roku, kiedy na skutek pierwszego rozbioru Polski latarnia a wraz z nią i cała wioska znalazły nowego pana w osobie króla pruskiego Fryderyka II, zwanego Wielkim. Model takiej latarni można dziś zobaczyć w muzeum latarnictwa w Rozewiu.

Ponieważ w tym miejscu skarpa jest i dziś wysoka (ponad 50 metrów), to wzniesienie na szczycie latarni morskiej sprawiło, że jej ogień widoczny był z bardzo daleka. W pewnym sensie był to dla mieszkańców wioski „święty” ogień, a latarników, zwanych w tych stronach blizowymi, traktowano po trosze jak kapłanów i cieszyli się oni największym poważaniem i szacunkiem. To oni umieli czytać z gwiazd, słyszeli głosy na wietrze i znali tajemnicę szumu morza. A patrząc na rozłożoną przed nimi morską księgę świata, umieli z niej wyczytać znaczenia dla innych niedostępne. Ich praca była ciężka i odpowiedzialna, a zaniedbanie obowiązków mogło mieć tragiczne dla wielu konsekwencje. Nie polegało to przecież wyłącznie na rozpalaniu ognia. Trzeba było; na przykład wiedzieć, jakie – w zależności od pogody – użyć paliwo. Ażeby uniknąć pomyłki – z daleka żeglarze mogli ogień latarni wziąć za jedną z gwiazd – trzeba było co pewien czas odpowiednio poruszać głównym drzewcem, do którego przymocowany był kosz z drewnem czy węglem, by sypaną z niego snopem iskier, co z odległości mogło przypominać ogon wlatującej w niebo komety. W czasie mgły, natomiast, należało w regularnych odstępach czasu uderzać w specjalnie do tego celu skonstruowany gong, słyszalny ponoć na kilka mil. Nie sposób stwierdzić, ile statków latarnia uratowała przed rozbiciem. Tak się bowiem składa, że zwykle odnotuje się dla potomności nieszczęścia, straszne katastrofy, kataklizmy, natomiast podróż szczęśliwie zakończona nie zdaje się nawet warta wzmianki. Należy jeszcze napomknąć, że latarnia morska nie tylko ostrzegała przed skałami i mieliznami, lecz niekiedy – gdy podczas nawałnicy żeglarze nie zdawali sobie sprawy z bliskości lądu – nakierowywała statek w stronę brzegu, gdzie jeszcze był cień szansy wyjścia z opresji cało. Tym bardziej że powszechnie wiedziano o ratowniczej służbie mieszkańców wioski przy przylądku Rozewie.

Tak było, na przykład, podczas powrotu Zygmunta III Wazy z niefortunnej wyprawy do Szwecji w 1598 roku. Warto zacytować w tym miejscu nie publikowany dotąd, anonimowy rękopis ze zbiorów Biblioteki Gdańskiej, opisujący to zdarzenie z nocy z 2 na 3 listopada 1598 roku i podkreślający szczególną rolę latarni morskiej: „Wiatr, wichur gwałtowny dwa okręty obrócił i o zdradne skały roztrzaskał. Bogu Najwyższemu dzięki za to, że nasz szyper ogień latarny zobaczył i nie widząc innego ratunku na nią labierować zaczął. A w mili od Rozewia okręt J.K.M. był w wielkiem niebezpieczeństwie, bo wichur okrętem tak obrócił i nachylił na stronę, choć działa wysoko były załazy się, a o płyciznę trącił. A potem za przystąpieniem wiatru niemałego pobocznego, wały [fale] go rozgrzewały tak, że wodą zalał się, ale od razu nie pograżnął. Piechota jedna w batach ratowana była przez miejscowych Kaszebów, drudzy w okręty pobliskie skakali, które do nich nadchodziły, a skakając dwa ich utonęło, a ci, którzy na tym okręcie zostali, wraz z królem J.M., tedy im nic, bo Kaszeby, które z brzegu zajachali, poodcinali maszty i insze onera wyrzucili w morze, ku lądowi, który niedaleko był, i tak ratowali, też i króla J.M., że żaden nie zginął, okrom tych dwu”. [Relacja ta nie jest w katalogach starodruków i rękopisów odnotowana – przyp. J.L.]

Z zachowanych przekazów wynika, że z czasem zaszczytna służba latarnicza przypadła jednej rodzinie, w której przekazywano sobie wszelkie tajniki zawodu z pokolenia na pokolenie. Ze

zrozumiałych względów w hierarchii tej społeczności zajmowała ona zaszczytne miejsce. Wydaje się, że prawie od początku był to ród Kisterów, których ostatni potomek był jeszcze latarnikiem w Rozewiu do końca pierwszej wojny światowej. Chociaż dożył niepodległości i zaślubin Polski z morzem (a pierścień ślubny był platynowy), to jednak nie były to dla niego radosne chwile, gdyż zwolniono go z pracy z powodu znacznych wątpliwości co do narodowości ostatniego Kistera, której i on sam nie potrafił jednoznacznie określić, powtarzając uparcie, że jest po prostu „stań”. Natomiast zapytany wprost, czy jest Polakiem, odpowiadał „nie”. Mamy wszelkie prawo sądzić, że Kister był nie tylko ostatnim potomkiem rodu, ale i ostatnim, znanym w historii, przedstawicielem rodu pochodzącego z tej przedziwnej wioski, którą wybrała sobie Przenajświętsza Pani i którą pochłonęło morze (przypomnijmy: obecny przylądek jest położony o kilkaset metrów na południe od miejsca, w którym postawiono pierwszą latarnię morską). Większość mieszkańców w obliczu nieuniknionej, fizycznej zagłady ich wioski, a także na skutek głodu, statków parowych i dokuczliwych praw bezwzględniego zaborcy, udała się – gdzieś w połowie ubiegłego stulecia – na emigrację, część rozproszyła się po okolicy, asymilując się z innymi Kaszubami i przekazując im szczególnie kult Matki Boskiej, a na miejscu pozostała jedynie rodzina Kisterów. Tak więc na początku dwudziestego wieku rozewski latarnik był bodaj jedynym człowiekiem (poza – ma się rozumieć – markizem Orii), który pamiętał historię swych przodków, ale ponieważ zapytany o narodowość, z uporem powtarzał – „miejscowy”, musiał odejść jako jednostka politycznie niepewna. Dokąd odszedł? – nie bardzo wiadomo. Widywano go jeszcze na początku lat dwudziestych, gdy przychodził na swoje dawne włości i zawsze w tym samym miejscu, w określone dni roku, rozpałał wielkie ognisko. Odebrano mu również przywiązane do latarni gospodarstwo, w którym Kisterowie mieszkali od czasu wzniesienia obecnej latarni, to znaczy od 1821 roku. Wyplacono mu wprawdzie odszkodowanie, ale czy osiedlił się gdzieś w okolicy – nie sposób ustalić. Wszędzie musiał czuć się obco. Rozżalony, pokazywał czasem stare dokumenty, pisane po polsku, łacinie i po niemiecku, wedle których ród jego miał wyłączne prawo obsługi latarni morskiej u przylądka Rozewia i to „po wsze czasy”. „Widocznie już się czas skończył” – mówił roztrzęsionym głosem. „Żyjemy jeszcze resztkami czasu, ale wkrótce dla wszystkich go zabraknie”. Nie bardzo go rozumiano, gdyż mówił językiem, którego nawet najstarsi Kaszubi nie pamiętali, a w którym rozpoznać można było naleciałości wielu języków, również i polskiego. Tym językiem mówiono w jego rodzinie, niezbyt zresztą licznej. Niestety, ślad po niej urywa się.

Natomiast pewnych interesujących informacji o Kisterze udzielił Stefanowi Żeromskiemu pierwszy latarnik odrodzonej Polski, niejaki Leon Wzorek, później bestialsko zamordowany przez hitlerowców w pierwszych dniach września 1939 roku. To właśnie Żeromski był pierwszym pisarzem polskim, który natrafił na ślad pięknej Madonny spod Rozewia. Otóż słyszał o Niej od tegoż Wzorka (który – notabene – jest twórcą „legandy Żeromskiego” z Rozewia), a ten – z kolei – właśnie od Kistera, którego – podobno – znał osobiście. Wedle legendy, stworzonej przez Wzorka na użytek własny, turystów i dziennikarzy, miał Żeromski czas jakiś mieszkać w latarni morskiej w Rozewiu, pisząc tam swą „morską” powieść („Wiatr od morza”); po śmierci pisarza urządzono tam nawet – staraniem latarnika – pokój, który „wyglądał tak, jak w czasie kiedy w nim mieszkał Żeromski”. Przechowywano tam również parę „autentycznych drobiazgów”, mających w przeszłości należeć do pisarza, a także kilka jego listów i parę stron zapisków. Tę izbę pamięci zniszczyli w 1939 roku Niemcy, którzy z pasją tepili wszelkie pamiątki polskości w tych stronach. Udało się jednak uratować przed nimi część owych notatek, które zawierowały się podczas okupacji i znamy je tylko z kopii, sporządzonej – jak się zdaje – przez proboszcza ze Strzelna. Kopia ta trafiła po wojnie w ręce pewnego nauczyciela z Żelistrzewa, który złożył ją w Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk. Dla naszych celów są to zapiski dość interesujące, ale nie odkrywcze, to znaczy widać z nich wyraźnie, że Żeromski dopiero „wgrzyzał się” w temat. Cechy narracji świadczą o tym, że mógł to być brudnopis opowiadania, a może szkic opowiadania, z dziennika, który – jak wiadomo – Żeromski skrzętnie prowadził.

„...Czas tu wymierzają niczym natury wahadło potężne, spienione, huczące bałwany, co nieubłaganie pędzą jeden za drugim, jakby gnane jakąś tajemną, niezgłębioną siłą, ku kamienistemu brzegowi, który walecznie opiera się im wyniosłą ścianą, pokruszoną u dołu, niczym zamek warowny przez swą załogę już opuszczony, lecz dla złowieszczych sił wroga wciąż jeszcze groźny. Rozbijając się z hukiem o brzeg, wyznaczają rytm tego niewidzialnego niszczącego mechanizmu, któremu nikt i nic nie jest się w stanie oprzeć.

Wszelako gdyby ten mechanizm dało się tak ustawić, by działał w odwrotną stronę, jak cofnięte wskazówki zegara, to wiatry wciągnęłyby w swe potężne płuca powietrze, fale rozbiegłyby się w głąb morza, by zacząć się gdzieś za horyzontem, słońce weszłoby na zachodzie, by ginąć w wodzie po wschodniej stronie, kamienie na brzegu szepiłyby się jeden z drugim, niczym krople brunatnej rtęci, tworząc coraz większe bryły, by w końcu oderwać się od ziemi i – zatoczywszy lekki łuk, jakby wyrzucone z katapulty – połączyć się na powrót ze skarżą, od której kiedyś odpadły, aż w końcu i ona, obrastając coraz to nowymi kawałami, przesunęłaby się znacznie w głąb morza, które pod naporem niespodziewanego ataku ziemi cofnęłoby się jak przerażone. I wówczas, gdyby ten mechanizm czasu cofnąć i cofnąć jeszcze bardziej, to z morskich czeluści i głębin wyłoniłaby się wioska, co tu kiedyś na tym wysuniętym cyplu stała, a wraz z nią i mały kościółek z czerwonej cegły, wzniesiony jeszcze za czasów Świętopęłka. To w tym kościółku stała prastara rzeźba, słynna z cudów, przedstawiająca piękną Madonnę, której lud pobożny tu mieszkający od wieków cześć wielką oddawał. Dziś jeszcze rybacy miejscowi powiadają, że to była kaszubska Madonna, co sobie ich naród wybrała i pod opiekę wzięła, bo Ją kochali bardziej niż inni i ich wierności mogła być pewna, lecz Ją Prusak podstępny porwał i wywiózł z nieznaną, a może i zniszczyć miał czelność. Czekają więc tu na Jej ponowne nadejście, w które wszyscy wierzą i wypatrują z nadzieją, czy aby gdzie w morzu Jej nie odnajdą, bo są i tacy, co twierdzą, że kaszubska Madonna przed wiekami wyszła z morza, tak i w morzu przed ciemną się skryła, ale kiedyś tam, kiedy uzna za stosowne, z morza wystąpi w glorii wielkiej i lud swój ponownie od niedoli wyzwoli. (Na marginesie dopisek autora: [tj. Żeromskiego – przyp. J.L.] „zmienić: ustęp potrzebny o tem, jak tu Madonna trafiła; zebrać legendy z tym związane; wypytać o Matkę Boską swarzewską – czy to aby nie te same? kupić mydło” – przyp. kopisty).

20 sierpnia. Pan Wzorek, któremu ponownie odwiedził w latarni, przyjął mnie bardzo serdecznie, jak zwykle, i karmił różnymi kaszubskimi legendami, a także pysznymi dykteryjkami o miejscowych osobistościach. Próbowałem wywiedzieć się czegoś więcej o tej kaszubskiej Madonnie, ale niewiele z niego zdołał wydobyć, bowiem – jak mnie zapewniał – zna to wszystko z drugiej ręki, od poprzedniego latarnika, który te strony opuścił, a sam zmyślać nie umie. Temu pierwszemu dałem wiarę, zaś temu drugiemu ani trochę. Tak jakby od niechcienia powiedział mi tylko, że w dniu zaślubin Polski z morzem, co miało miejsce w Pucku, zdarzył się tu, przy Rozewiu, kolejny «cud»: zapadł się długi pas skarpy, tam gdzie nie jest ona obetonowana, a morskie dno też się ruszyło z jednej strony, gdzie dotąd mielizna była, wir potężny powstał i głębię wydrążył, a tam gdzie głębia była, wystrzelił ku niebu pióropusz wody i piany, a gdy opadł, okazało się, że wyłoniła się tam niewielka wyspa, na której i gołym okiem dojrzeć można było białą, nieruchomą postać, lecz zanim ktokolwiek do niej dopłynął, zmyły ją fale i po wysepce też śladu nie zostało. Dziwna to historia i panu Leonowi wiary bym za grosz nie dał, gdybym nie słyszał podobnej opowieści w karczmie w Chałupach i jeszcze raz w Tupadle. Mówił mi też pewien oficer lotnictwa w Pucku na raucie u starosty, że obsunięcia klifu często tu się zdarzają, a już szczególnie w okolicy Rozewia, gdzie prądy silne, a fale większe niż gdzie indziej. Z aeroplanu, zapewniał, to przy dobrej pogodzie widać, jał się dno morskie zmienia – sine głębie jawią się tam, gdzie dotąd płycizny były, i odwrotnie. Dziwna to rzecz i należycie jeszcze nie zbadana. O tej białej postaci, co się z głębin wynurzyła, mówią, że to Matka Boska była, i miejscowi do dziś w tem miejscu kwiaty po wodzie puszcza, a wodą stamtąd zaczerpniętą chorych obmywają. Biskup pelpliński – jak mi proboszcz w Pucku mówił – co był tu niedawno, wiary temu nie daje i za cud uznać nie chce. Próbuje to wszystko ująć w formie artystycznej, ale wciąż nie mam koncepcji, jak całość związać, bo Matki Boskiej pojawienie się z racji zaślubin Polski z morzem acz wielce patriotyczne, dość tandetnym chwytem zdać się wielu może. I słusznie. Ale trochę już napisałem i może do tego wróćę...”

Niczego, niestety, nie wiadomo na temat ukończenia przez Żeromskiego „formy artystycznej”, o której wspomina. Być może pomysł zarzucił. Istnieje też możliwość, że rękopis zaginął, tak jak i zaginęły luźne kartki oryginału, na szczęście skopiowane przez księdza; a później zdeponowane przez nauczyciela z Żelistrzewa (który pragnął zachować anonimowość). Cytowany fragment dowodzi jednak niezbicie, że jeszcze w okresie międzywojennym żywa i silna była legenda kaszubskiej Madonny i wiara miejscowej ludności w Jej ponowne przybycie.

Wracając jednak do dawniejszych czasów, nie można pominąć faktu, że oprócz latarni morskiej wioska u przylądka Rozewie służyła jeszcze z czegoś innego. Niejako samoistnie wykształcił się tu bowiem rzadko gdzie indziej spotykany zawód nurka. Jak pamiętamy, zdziwiło to markiza Orii i jego towarzyszy, gdy dowiedzieli się, w jaki sposób uratowano uczone księgi i inne rzeczy. Zdziwiło to wielu

innych i to w jeszcze dawniejszych czasach. Tajemnica schodzenia na dno morskie i poruszania się po nim (z odpowiednim, ma się rozumieć, obciążeniem) niczym po lądzie była, oczywiście, pilnie strzeżona i przekazywana z pokolenia na pokolenie przez zaledwie dwie rodziny. Jak można się łatwo domyślić, również i one zajmowały wysokie miejsce w hierarchii ratowniczej społeczności. Największą sztuką, jak się wydaje, było skonstruowanie odpowiednio długiej, łączonej z mniejszych elementów, rurki, przez którą można było oddychać, chodząc po morskim dnie i którą można było z towarzyszącej nurkowi łodzi odpowiednio do warunków i potrzeb przedłużać bądź skracać, oraz specjalnej maski z dobrze impregnowanej skóry na twarz i głowę, z którą owa rurka była połączona. Oczywiście, nurkować można było tylko przy spokojnym morzu, rurka bowiem, aczkolwiek dość giętka, przy większych odchyleniach groziła pęknięciem, co mogło zakończyć się dla nurka tragicznie: nagłym zachłyśnięciem się i utonięciem. Dlatego też niezwykle ważną rolę pełniły towarzyszące mu osoby w łodzi, których zadaniem było śledzić uważnie, w którą stronę przesuwa się rurka, by delikatnie doprowadzić łódź dla uniknięcia zbyt dużego odchylenia. Ze swych nadzwyczajnych zdolności nurkowie słynęli daleko poza granicami wioski. Również dzięki nim wszyscy mieszkańcy zostali wykupieni na wolność (z kłopotliwego pod pewnymi względami poddaństwa) najpierw przez Świętopełka, a potem przez samego Eryka Pomorskiego, o czym już wspomniano powyżej. Ponieważ wiązało się to również z uzyskaniem przywileju, o którym też była mowa, wydarzenie to było w dziejach wioski czymś niezmiernie ważnym. Przeto należy mu poświęcić trochę miejsca. Na szczęście zachowało się na ten temat nieco źródeł historycznych.

A było to tak: pozbawiony już korony duńskiej, szwedzkiej i norweskiej, książę Eryk oddał się najprzód trudnej i niebezpiecznej sztuce piractwa na Bałtyku. Za swe rozbójnicze gniazdo obrał w 1437 roku Gotlandię, skąd jego okręty łupiły wszelkie napotkane kupieckie statki, z wyjątkiem krzyżackich. Był bowiem Eryk człowiekiem o wielkiej wyobraźni politycznej, przez Skandynawów niestety nie docenionej, i zamierzał sprzedać Gotlandię właśnie Krzyżakom, przypuszczając – i słusznie – że wcześniej czy później Zakon straci rację bytu w Prusiech i zostanie zmieciony przez polsko-litewską potęgę. Tym bardziej że wszystkich pogan wybito bądź nawrócono i Zakon stawał się powoli przytułkiem dla błędnych rycerzy. A na Gotlandii – pomyślał sobie Eryk mogą sobie założyć państwo wedle dawnych wzorów. Można było zamki warowne zbudować w starym stylu, stroje i broń dawniejszą zachować, pańszczyznę na nowo wprowadzić. Można nawet było i pogan z odległych krajów sprowadzić. Byłoby to więc idealne państwo dla rycerzy, z tym że bez kobiet, a więc bez intryg i kłótni, bez plotek, bez rywalizacji i zbędnych wydatków na stroje. Państwo wielkich ideałów, męskiej czystości i siły. W tych mniej więcej słowach zachęcał Eryk Wielkiego Mistrza Zakonu, Pawła Russdorfa, do kupna Gotlandii, a odmowna odpowiedź tak go poruszyła, że postanowił sam wyruszyć do Gdańska, by tam się z Mistrzem spotkać i wyjaśnić – być może źle zrozumiane – szczegóły. Propozycja Eryka, przyznać trzeba, rzeczywiście została wzięta za złą monetę i jak to sekretarz Wielkiego Mistrza; Hans Palka, zanotował na marginesie kopii wysłanej na Gotlandię odpowiedzi, Mistrz miał powiedzieć: „Wiedziałem, że to błąd, ale że taki, to nie przypuszczałem”.

Eryka nie można jednak było zbyć listem, o czym dobrze wiedzieli jego byli poddani w Skandynawii. W sierpniu 1438 roku mała flotylla złożona z trzech okrętów – a były to holki – wyruszyła z Gotlandii i przy pomyślnych wiatrach dotarła po paru dniach do południowych wybrzeży Bałtyku. W tym miejscu każdy się chyba domyśli, że nie byłoby tu o Eryku w ogóle mowy, gdyby jego okręt nie rozbił się dokładnie na tej samej mieliźnie, co czterdzieści osiem lat wcześniej okręt jego teścia, księcia Henryka, późniejszego króla, a w sto pięćdziesiąt trzy lata później okręt wiozący światłego humanistę markiza Orii. Można również napomknąć, iż po powrocie z wyprawy wileńskiej Henryk – zgodni z przepowiednią dziadka – przeszedł istną metamorfozę i – jak chce tego kronikarz angielski Holinshed – na skutek nagłego zainteresowania anatomią żony, które to odkrycie bardzo go zdumiało, zrodziła się córka, Filippa, wydana następnie właśnie za Eryka, ówczesnie jeszcze panującego monarchę trzech koron. Równie łatwo jest się domyślić, że zdetronizowany król, znudzony pirat i wciąż jeszcze książę pomorski, został z topieli uratowany przez miejscowych wieśniaków i z tego też powodu możemy sobie szczegóły akcji ratunkowej darować. Ważne jedynie jest to, że z wdzięczności wykupił wszystkich z poddaństwa, a nieco później – dotrzymawszy danej swym wybawicielom obietnicy – wyjednał u króla polskiego potwierdzenie unikatowego przywileju dla całej wsi, nadanego jej mieszkańcom jeszcze przez księcia Świętopełka w 1253 roku (domniemana jest tu ingerencja świętej Barbary). Przypomnijmy: w myśl jego postanowień, wieśniacy mieli obowiązek ratowania podróżnych z opresji w odległości pół mili

od brzegu i jednej mili wzdłuż brzegu, za co otrzymywali prawo zatrzymania na własność i bez podatku wszystkiego, co morze wyrzuci na brzeg w obrębie jednomilowego pasa bądź też co sami z dna morskiego w wyznaczonych granicach potrafią wydobyć.

To właśnie tutaj Eryk na własne oczy przekonał się o niebywałych zdolnościach miejscowych nurków. Nie zapomniał o nich i trzy lata później, kiedy to po długich targach zwrócił swemu sukcesorowi Krzysztofowi III klejnoty i skarby, a także regalia bezprawnie wywiezione z Danii. Kapryśny los sprawił, że okręt mający to wszystko wywieźć z Gotlandii, rozbił się na skałach. [Tak było w istocie – sprawdziłem; przyp. J.L.]. Dla ratowania skarbów zdesperowany król Krzysztof – za rozsądnym podszeptem Eryka – sprowadził ze wsi koło przylądka Rozewie nurka. O jego pobycie na wyspie dowiadujemy się z relacji duńskiego sekretarza grafa pomorskiego Jana Ebersteina: Czytamy tam między innymi: „Nie zdążyliśmy jeszcze opłakać należyście śmierci naszego pana [graf Eberstein zginął w katastrofie – przyp. J.L.], a zjawił się tutaj, specjalnie w tym celu z Polski sprowadzony, człowiek-ryba, co umiał chodzić po dnie morskim. Wszyscy udaliśmy się na brzeg morza, by go podziwiać, bo czegoś takiego nikt tu jeszcze nie widział, oprócz księcia Eryka, który podobno i piekło zwiedzał, gdzie trzymają dla niego miejsce wśród największych łotrów, rozbójników i żonobójców. W każdym razie człek ten, co nawet parę słów i zwrotów umiał po duńsku, choć używał ich bardzo zabawnie, jakby znaczenia nie pojmując, spuścił się pod wodę w specjalnym aparacie z doczepioną rurką, gdyż miał tam skarby miłościwie nam panującego króla Krzysztofa wylawiać. Patrzyliśmy wszyscy, jak rurka w tę i drugą stronę się przesuwiała, aż nagle znikła, by już na wierzch się nie wynurzyć. Ciała tego śmiałka też nie odnaleziono. Wszyscy byli zawiedzeni i przybici tym smutnym wydarzeniem. Później słyszałem, że ten łotr Eryk z piekła rodem był przyczyną śmierci owego nurka, gdyż jakimś łotrzykom nakazał nadpiłować owe rurki, co je jedna w drugą łączono, i w którymś momencie jedna z nich pękła, a nurek, zachłyszawszy się, utonął. Uczynił tak nie tylko przez małą złośliwość, ale by samemu skarby zagarnąć, co też podobno zrobił, sprowadzając w największej tajemnicy jeszcze jednego nurka, który większość skarbów wylowił, a potem – jak słyszałem – został skrycie zgładzony, ażeby przypadkiem prawda nie wyszła na jaw...”

O nurkach wspomina również pewien podróżnik, skrywający się pod pseudonimem John Traveller, w wydanych w Lejdzie (1655) „Podróżach po Europie i Azji”, który wspomina, iż w sierpniu 1640 roku przejeżdżał przez wioskę leżącą w okolicy przylądka Rozewie, wprawdzie z dala od głównego gościńca, lecz słynną w okolicy z dziwnych obyczajów ludzi tam mieszkających. Przebywając w niej przez dwa dni, podróżnik ten, chyba Francuz z pochodzenia, zanotował w swym diariuszu (uważanym przez niektórych współczesnych badaczy za późny przykład literatury utopijnej), że: „Mieszkają tam ludzie przedziwni, bo ni to rolnicy, ni to rybacy. Ziemi prawie nie uprawiają – a wykupili się, jak powiadają z dumą, z powszechnego tu, haniebnego wprost i niewolniczego na wschodni istic sposób poddaństwa już przed wiekami, a i rybołówstwem się prawie nie zajmują, choć zdawać by się mogło, że to właśnie, z powodu bliskości morza, powinno być ich głównym zajęciem. Słyszałem nawet, iż doszło do tego, że ryby kupują od rybaków z innych wiosek. Jak to mówią: szewc bez butów chodzi. Płacą za wszystko pieniędzmi albo innymi towarami, czasem bardzo egzotycznymi. Na własne oczy widziałem, jak chcieli kupić od kupców mi towarzyszących nieco korzeni wschodnich, za którymi przepadają, w zamian ofiarowując mechaniczną zabawkę, która jednak nie działała, a której naprawić nikt tu nie umiał. Był to słoń, pięknie z płytek macy perłowej wykonany, z brzuchem pełnym różnych zębatych kół. Można przypuszczać, że zanim się zepsuł, umiał chodzić na własnych nogach, a może i trąbą ruszać. Widziałem takie zabawki w Paryżu – drogie są bardzo. Kurioza takie, znacznie większe, bo naturalnej wielkości, mają też w Gdańsku, w Zbrojowni, gdzie dwaj mechaniczni rycerze straszą zwiedzających, przewracając oczami i potrząsając mieczami. A na piętrze w tejże Zbrojowni jest jeszcze jedna taka zabawka: też żołnierz, który do wchodzących strzela z muszkietu, nie robiąc im, ma się rozumieć, żadnej krzywdy; ale wrażenie jest silne i można naprawdę się przestraszyć. Napiszę jeszcze o tym szczegółowo, kiedy będzie mowa o Gdańsku. Wspomnianego słonia kupiec ów nie chciał, więc targu ubito, gdy ofiarowano mu tuzin par jedwabnych pończoch.

Ale wracając do tych wieśniaków, to przede wszystkim rzuca się w oczy ich odmiennosc rasowa: wrażenie jest takie, że można w nich dostrzec cechy wszystkich ras, jakie dotąd widziałem. Bardzo dziwna rzecz, ale w wielkiej harmonii pomieszała się w nich krew chrześcijańska z żydowską albo mahometańską, a wraz z nią różna barwa skóry, oczu i włosów, różne kształty nosów i w ogóle całego ciała. I tak to w rodzinie jasnowłosych i niebieskookich rodziców zobaczyć można było dzieci zupełnie

różne: małego mulatka, śniadą Cygankę i – dajmy na to – skośnookiego Tatarzyna. Mówiono nam również, że sporo w nich krwi szlacheckiej płynie, a nawet i książęcej; i królewskiej, bo niejeden wielki pan tu się w przeszłości rozbił z okrętem, a – wyciągnięty z topieli – noc tu spędzając, skorzystał z okazji, by posmakować urody tutejszych dziewcząt. Taki kaprys natury w tym mało szczurom ładowym znanym zakątku świata uważają tu wszyscy za rzecz normalną, a uroda i zdrowie, jakimi się powszechnie cieszą, utwierdza ich tylko w przekonaniu, że są wybranym ludem Matki Boskiej, w co też święcie wierzą. Pomieszanie krwi idzie tu w parze ze szczególnym rozwojem języka, który w przedziwny sposób przypomina zlepek wielu języków, bo prócz tego, że wszyscy tu mówią swoim rodzimym językiem, co go sławiańskim albo kaszubskim zowią, każdy umie się z cudzoziemcami dogadać, czego sam doświadczyłem. Nie żeby biegle obcymi językami władali, ale dzięki znajomości podstawowych słów i zwrotów nie mają trudności w porozumiewaniu się. Nie obywa się to zresztą bez śmiesznych nieporozumień, tak jak i to miało miejsce, gdy tam przybyłem. Pierwsza napotkana osoba uprzejmie mnie powitała, najprzód po łacinie, a później po francusku: «Dzięki Bogu, szczęście w nieszczęściu. Skąd płynęliście?» «Przybывamy ze Słupska, lecz drogą lądową» – odpowiadam na to, nie zważając na śmieszny język mówiącego. «Gdzie kapitan? Czy aby się uratował?» – pyta dalej. «Nie ma z nami żadnego kapitana» – odpowiadam zgodnie z prawdą, bo prócz mnie jeszcze tylko paru kupców zdecydowało się zboczyć z traktu, by tę dziwną wioskę odwiedzić. «Panie, świec nad jego duszą» – słyszę na to. «Ale nie bójcie się – mówi dalej. – Nic wam tu nie grozi, ani waszym towarom». Cała ta rozmowa bardzo nas zdumiała, tym bardziej że z jednym z mych towarzyszy rozmawiano w ten sposób po flamandzku, a jeszcze z innymi po szkocku.

Druga rzecz, jaka nas zaskoczyła, to przedziwny sposób ubierania się tamtejszych wieśniaków: jest ta, jak to się mówi, istny groch z kapustą, pomieszanie z poplątaniem. Panuje tu moda wszystkich nacji i można ją w pełnej krasie obejrzeć na jednej osobie, równie jak jej krew wielobarwnej. Kapelusze francuski – rzecz u chłopów niespotykana, choć pewien nie jestem, czy mieszkańców tej wioski można zwać chłopami – kryza hiszpańska, kaftan włoski, spodnie tureckie, pończochy angielskie, buty holenderskie. Kobiety tak samo – każda strojna jak papuga, a bywa, że bez butów chodzi. Niewiasty mają bardzo ładne, zalotne i była wśród nich jedna mulatka, co za mną wszędzie chodziła, której matka – jak mówiono – na Maura się zapatrzyła, gdy była ciężarna. Pokazywano mi też wielki dziw natury: dziecko o dwóch głowach, z tym że jedna była białego, a druga czarnego człowieka. Rzecz to nadzwyczajna doprawdy.

To były nasze pierwsze wrażenia, a później dowiedzieliśmy się, że cała wioska żyje z łupów, jakie wyrzuca na brzeg morze, choć trudno to łupami nazwać. Położona jest ona bowiem w pobliżu przylądka Rozewie, nie opodal wysokiej skarpy, jaka zbiegała w dół do plaży i do morza, a z której widać doskonale na kilka przynajmniej mil i w dzień zobaczyć można wszystkie okręty, które płyną do Gdańska, Elbląga i Królewca albo w drugą stronę, gdyż tu za Rozewiem muszą one zmienić kurs na bardziej południowy, by płynąć wzdłuż półwyspu, co go Helem zwą. Na skraju tej skarpy mieszkańcy wzniesli coś w rodzaju chatki czy solidnego szałas, gdzie nawet w czasie ulewnego deszczu i wichury czy chłodu można przebywać bez uszczerbku dla ciała, no i swobodnie można z niej obserwować morze. Trzymają tam straż w dzień i w nocy. W nocy palą wielkie ognie w wysokiej ruchomej latarni, szczególnie podczas niespokojnego morza, by ostrzec przepływające okręty przed wirami i zdradzieckimi prądami, jakie wokół przylądka się tworzą. Nie zawsze to jednak pomaga i wiele okrętów tu właśnie się rozbija. Z tego też, poniekąd, cała wioska żyje: Jak tylko zauważą, że jakiś okręt niesiony prądem znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie, zaraz alarm ogłaszają, bijąc młotkiem w żelazny trójkąt, przed ową chatą zawieszony, i kto żyw biegnie na plażę. Tam przygotowują się do ratowania tych, co na morzu. Mają specjalne łodzie, które podobno przy największej nawet fali nie przewracają się, a wioślarzy tak dzielnych i silnych, że potrafią nawet potężne wiry morskie przewyciężyć. Więc – jak mi mówiono – kiedy statek rozbija się na jakiejś przybrzeżnej mieliźnie, których tu wiele, czy na podwodnej skale, ci dzielni ludzie, z poświęceniem gdzie indziej niespotykanym, śpieszą podróżnym na ratunek. Dopóki okręt zupełnie nie zniknie pod falami, ratują ludzi, dobytek i towary. Uratowanych topielców kobiety czym prędzej prowadzą do ciepłych chat, gdzie dają im suchą odzież i ciepłą strawę. Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Lud to prawdziwie chrześcijański i nie można właściwie powiedzieć – choć i z takim zarzutem się spotykają – że żyją z cudzego nieszczęścia. Nie można jednak pominąć i tego, że mają tu odwieczny przywilej na zatrzymanie wszystkiego, co morze wyrzuci, i jak się wnet

domyśliliśmy jest to źródło ich względnej zamożności, dziwnych strojów, języka, a także i tego, że nie żyją z roli ani z rybołówstwa.

Mówiono mi także, ale to już w Gdańsku, gdzie pytał o tę wioskę, że słynie ona również z nadzwyczajnych zdolności paru ludzi, których nurkami zowią. Otóż mają oni specjalny ubiór z odpowiednio wyprawionej skóry, a także kaptur na głowę, bardzo przemyślny, z okularami ze szkła; od tego kaptura odchodzą dwie rurki, łączone nie znanym gdzie indziej sposobem z mniejszych kawałków i przez te rurki można oddychać.

Nurek taki, obciążony na łodzi ołowiem, spuszcza się na linie w głąb morza, a do wystającej ponad powierzchnię rurki co rusz doczepia się nowe, aż nie osiągnie dna. Dzięki temu może on chodzić swobodnie po dnie, co jest – jak łatwo można się domyślić – sprawnością niezwykle przydatną, zwłaszcza jeśli chce się coś z dna morskiego wydobyć albo z wraku jakiego statku. Jak tylko taki nurek znajdzie co na dnie, to zaczepia to hakiem, który ma przy sobie na końcu drugiej liny (do pierwszej on sam jest przywiązany dla większego bezpieczeństwa, gdyż bywały w przeszłości tragiczne wypadki), ciągnie za nią parę razy, dając znak, a ci na łodzi wyciągają to, co on zaczepił, dajmy na to: pakę angielskiego sukna albo wełnę, albo kufer. Strzegą tej umiejętności w wielkiej tajemnicy, posiadłszy ją przed wiekami. Naród to bogobojny, wierny katolickiej wierze; a już ze szczególną czcią odnoszący się do Matki Boskiej. Jest tam niewielki kościółek z czerwonej cegły, tuż przy wysokiej skarpie, ze starą rzeźbą z białego marmuru, przedstawiającą Przenajświętszą Panienkę. Jest to, jak mówią, ich Matka Boska, która czuwa nad ich losem, tak jak i nad losem podróżnych. Są całkowicie przekonani, że wszystko, co robią, jest świętym nakazem: zarówno nadzwyczajne wprost poświęcenie w ratowaniu rozbitków, jak i «nagroda» za to w postaci towarów, które morze wyrzuci czy też nurkowie wydobędą. Jak już wspomniałem, uważają oni bowiem, że są wybranym przez Nią narodem. Żyją szczęśliwie, z nikim zwady nie szukając, pochłonięci całkowicie swą chrześcijańską powinnością. Wzbogacić się naprawdę nigdy nie było im dane, bo łakomy stanowią kąsek dla maruderów wojsk i pospolitych rabusiów. Dobytku swego nie bronią, pogodzeni z wyrokami bożymi, dzięki czemu udaje im się często cało wyjść z napadu i tylko ich niewiasty padają ofiarą nieczystych żądz złoczyńców. Również i one są z tym pogodzone, gdyż przetrwał u nich pogański chyba przesąd, że jeśli kobiety obcych odtrąca, to oni wszyscy zamieniają się w potworne karły”.

Tyle zaobserwował wspomniany podróżnik, Francuz zapewne. O ile dla historyków sztuki opis pięknej Madonny jest zbyt zdawkowy, by mógł ich zainteresować, dla etnografów niezwykle ciekawa w tej relacji jest wzmianka o dziwnych strojach noszonych przez mieszkańców wsi.

Godzi się w tym miejscu zauważyć, że już na początku piętnastego wieku kronikarz polski Jan Długosz zwrócił uwagę na powszechnie widać znaną, dziwną modę panującą wśród Kaszubów i posunął się nawet do tego, że twierdził, jakoby nazwa „Kaszuby” wywodziła się właśnie od sposobu noszenia się. Pisze uczony kronikarz: „Kaszubianie [nazwę swą biorą] od składania fałd w odzieży, w którą początkowo zwykli się stroić („huba” bowiem po polsku czy słowiańsku oznaczała [łacińskie] „ruga” – fałdę, a „kas” zaś oznacza w trybie rozkazującym fałd)”. Natomiast inne cechy miejscowych wieśniaków, które tak zaskoczyły anonimowego podróżnika, to znaczy „wielorasowość” i język, będący pono zlepkiem wielu innych, zaginęły prawie całkowicie w ciągu ostatnich dwustu lat. Dalekim ich echem był natomiast niecodzienny obyczaj – wielka zagadka etnografii – który jeszcze do niedawna napotkać można było w nadmorskich wioskach kaszubskich. Otóż na każdym weselu [dlaczego właśnie na weselu? – przyp. aut.] pojawiał się tam cudaczny przebieraniec, który w trakcie swego „występu” wielokrotnie się przebierał, wcielając się w różne postaci, a to w wikinga, a to w żołnierza szwedzkiego, a to w księdza, to znów w Żyda, Hiszpana albo kupca, marynarza czy też zamorskiego księcia. Przebieraniec ten, zwany „Rozewiakiem”, śpiewa i tańczy, odgrywa najrozmaitsze scenki, których znaczeń – przypuścić można – sam nie rozumie, a których nauczył się od swego poprzednika. Opowiada też różne dykteryjki i legendy po kaszubsku, ale nie tylko: posługuje się on bowiem, w zależności od przebrania, stosownym językiem, a właściwie to niezdarne naśladuje pewne cechy fonetyczne danego języka (np. szwedzkiego, hiszpańskiego, angielskiego, jidysz itp.), co dla słuchających jest nic nie znaczącym, ale zabawnym bełkotem.

Chociaż nie jest to sprawa do końca przez naukę rozstrzygnięta, mamy powody sądzić, że echo zwyczaju palenia ognia zachowało się w pewnych do dziś odprawianych obrzędach północnych Kaszubów, związanych ze świętem Matki Boskiej, czyli połową sierpnia. Oprócz uroczystej mszy, modłów i całego odświętnego ceremoniału liturgii katolickiej, w kilku stałych punktach wybrzeża, z

reguły na skarpach – a są to zawsze z jakiegoś względu „święte” miejsca – rozpala się wielkie ogniska „dla tych, co na morzu”. Dla ścisłości: najpierw podpala się beczki z drewnem nasyconym smołą, wkopane w piasek na brzegu, czyli – jak to mówią miejscowi – na strądzie. Połączone to jest z pieśniami i tańcami, a także z popisami zręcznościowymi młodych. Kiedy beczka wypala się, przenosi się rozgrzane węgielki na tradycją uświęcone miejsca, gdzie rozpala się nimi ognisko z chrustu. Nie może ono zgasnąć przed północą i wokół niego odbywają się tańce aż do brzasku. W tańcach tych wyróżnić można pewne stałe elementy; dla młodzieży dzisiaj niezrozumiałe, jak „zniewolenie morza”, „taniec statku na falach”, „śmierć w odmętach”, „ratowanie tonących” i tak dalej. W przeszłości ogień podtrzymywany był przez kilka dni, od świętego Jacka, zwanego przez niektórych Hiacyntem. I chyba nie bez powodu. Otóż, jak wiadomo, nie kto inny a święty Jacek założył zakon dominikanów w Krakowie (1223), a później – rzecz dla nas istotna – w Gdańsku (1227). Odbył on też kilka podróży misyjnych i niektórzy badacze twierdzą, że to on ochrzcił północnych Kaszubów i zaszczerpił kult Matki Boskiej wśród wieśniaków spod Rozewia. Wiąże się to być może z fundacją kościółka pod wezwaniem świętej Barbary, co miało miejsce w tym właśnie czasie, za rządów Świętopelka. Inni wszelako utrzymują, że nastąpiło to znacznie wcześniej, gdyż pierwszym misjonarzem w tych stronach miał być nie kto inny a sam święty Wojciech, Adalbertem wówczas zwany. Brak autorytatywnych źródeł uniemożliwia jakieś wiążące rozwiązanie tej kwestii. Jedynym źródłem pośrednim, nie znanym w literaturze przedmiotu, jest siedemnastowieczna relacja pewnego Szweda, zachowana po dziś dzień w dziale rękopisów biblioteki uniwersyteckiej w Uppsali, z której dowiadujemy się o „cudzie”, jakiego ów Szwed był świadkiem podczas kampanii polskiej, zwanej również potopem, a związanym pośrednio z kultem świętego Wojciecha (który jednak w tych stronach nie przetrwał do naszych czasów, w przeciwieństwie do kultu świętej Barbary).

A było to tak: autorem relacji był oficer gwardii królewskiej, dość dobrze wykształcony szlachcic, który pod koniec wojny został przydzielony do eskorty przeróżnych zrabowanych w Polsce dóbr, które zamierzano wywieźć do Szwecji. Były to głównie – jak byśmy to dziś nazwali – dobra kultury, a więc biblioteka królewska, biblioteki zakonne, seminaryjne i miejskie, obrazy, rzeźby, meble, lektyki, a nawet karety, nie mówiąc już o drobnych przedmiotach, broni ozdobnej, zegarach, uprzęży, strojach i najrozmaitszych bibelotach. Były tam też zrabowane naczynia liturgiczne ze złota i srebra, a wśród innych drogocennych przedmiotów znajdował się również relikwiarz z głową świętej Barbary, pochodzący z katedry oliwskiej. Wszystko to zapakowano starannie do skrzyń i kufrów, zabezpieczono, spisano jak najdokładniej (choć nie obyło się bez kradzieży, o czym Szwed w swej relacji wspomina), załadowano na barki i Wisłą przewieziono do Torunia i dalej do Elbląga, Gdańsk bowiem nie poddał się Szwedom i przez całą wojnę zachował wierność Koronie. W Elblągu przeładowano wszystko na kilka okrętów i po paru dniach przygotowań eskadra wyruszyła na północ. Kapryśna pogoda sprawiła, że ledwie wpłynięto na Zalew Wiślany wybuchł sztorm, a wichry i potężne fale rozdzieliły galeony i każdy z nich musiał sam toczyć walkę z żywiołem. Tak się złożyło, że okręt, którym żeglował ów z nazwiska nie znany szwedzki oficer, zniosło w okolice Rozewia, gdzie pechowo, bo jak się później okazało na krótko przed ustaniem sztormu, porwał go ostry prąd morski i z dziecinną łatwością rozbił na przybrzeżnej mieliźnie.

„Śmierć nam zajrzała w oczy, a powiadam wam – najstraszniejsza śmierć ma oczy koloru morskiego. Nasza dzielna «Różdzka Aarona», pochylona tak, że z ćwierć pokładu znalazło się pod wodą, dzielnie broniła się przed zalewającymi ją wściekle falami. Nigdy nie przypuszczałem, że w wodzie jest tyle huku. Przerażeni, zbici w drżącą gromadkę, szepieni razem dla dodania otuchy, traciliśmy nadzieję, że uda nam się z tego ująć z życiem. Nawet na pokład nie można było wyjść, bo i utrzymać się na nogach nie było sposobu, a każdego śmiałka – znalazło się paru takich – fale natychmiast porywały i uderzając nimi jak bezwładnymi kłodami drewna, miażdżyły o wystające części okrętu. Modlitwom towarzyszył głośny płacz i lament, lecz wraz z upływem czasu przerodziły się one w zlorzeczenia. Przeklinano przede wszystkim kapitana, który niepomny na złe wróżby, o których już pisałem [ta część rękopisu, niestety jest nieczytelna – przyp. aut.] zdecydował się jednak na wyjście z portu. Dalej przeklinano skrzynie, które wieźliśmy do Szwecji, a w których pełno było obrazów z piekła rodem, potępionych papieskich wizerunków Boga Ojca, Chrystusa, Matki Boskiej i wielu świętych. Okręt trzeszczał przeraźliwie i zdawało się, że lada chwila pęknie jak łupina orzecha, a nas pochłonie ta przerażająca nawałnica. Błogosławieni jednak niech będą nasi skutnicy, którzy zbudowali – jak nam wcześniej z dumą opowiadali marynarze – «Różdzkę Aarona» wedle nowych pomysłów jakiegoś zmyślnego

budowniczego. Dzięki temu okręt, rzucony «na jedno kolano», bronił się dzielnie przed atakującym go zewsząd wrogiem, niczym Dawid przeciwko Goliatowi. Jednak wciąż zaglądaliśmy śmierci w oczy, tej nie chcianej kochance, a ona przyglądała nam się z pienistym uśmiechem. Ktoś wtedy, nie pomnę kto, rzucił pomysł, by wyrzucić za burtę wszystkie te katolickie obrazy, a może Bóg się nad nami ulituje, widząc, że złotego cielca czcić nie zamierzamy. «Diabła wieziemy! Precz z szatanem! Belzebub naszym balastem! Do morza z kurwą babilońską!» – krzyczano wokół. W ludzi wstąpił jakby nowy duch, iskierka nadziei zabłysnęła w ciemnościach tej strasznej nocy, przez co nabraliśmy sił i wiary. Z trudem utrzymując równowagę pobiegliśmy do ładowni i następnie, gdy już rozbito skrzynie, utworzyliśmy szereg, podając sobie przedmioty z rąk do rąk. Ostatnia osoba stała przy drzwiach i zrzuciła wszystko, co jej tylko podano, na pochylony pokład, a stamtąd porywały to fale. W ten sposób pozbyliśmy się wielu bluźnierczych obrazów, malowanych na płótnie albo rzeźbionych w drewnie czy w marmurze. Niektóre były tak wielkie i tak ciężkie, że tylko z wielkim trudem, ba, nadludzkim wysiłkiem udało nam się ich pozbyć. Wyrzucono też rozliczne relikwiarze, co je dla złota, a nie dla stęchłych kości, pozabierano ze świątyni antychrysta. Jak teraz pomyśleć, to tego złota dużo poszło za burtę i zapewne niejednemu serce by się ścisnęło, gdyby nie przekonanie, które szczęśliwie na nas spłynęło, niczym natchnienie dane od Boga, że jak się tych fetyszów pozbędziemy, to zdołamy się uratować. Trudno powiedzieć, ile to trwało – pod tym względem zdania były podzielone – ale w każdym razie, kiedy już padaliśmy ze zmęczenia, wśród huku fal usłyszeliśmy dochodzące z zewnątrz głosy ludzkie, jakieś nawoływania. Nie były to żadne duchy, jak z początku niektórzy myśleli, jeno miejscowi rybacy, co nam z pomocą przyплыnęli, nie bacząc na wzburzone morze. Ze swych rozkołysanych, lecz świetnie utrzymujących się na falach łodzi zarzucili na okręt kotwiczki z mocnymi linami i po nich można się było, przy ich pomocy, zsunąć do łodzi. Dzielni ci ludzie nie spoczęli, płynąc na brzeg i z powrotem, dopóki wszystkich nie uratowali. W pobliskiej wsi, dokąd nas zaprowadzono, a niektórych to i zaniesiono, bo z sił z wycieńczenia opadli, przebrano nas, ogrzano i nakarmiono, tak że następnego dnia – a dzień był piękny i słoneczny – można było odnieść wrażenie, że przeżycia ostatniej nocy to jakiś koszmar senny, którego tak naprawdę nie było. Okazało się, że wyrzuciło nas na mieliznę u przylądka Rozewie, niedaleko Pucka, jeszcze wówczas w polskich rękach. Tym większa była nasza wdzięczność dla wieśniaków, że niepomni faktu, iżesmy byli Szwedami udzielili nam pomocy, i to z narażeniem własnego życia. Nie wiem, czy nasi, co się prawdziwymi chrześcijanami mienią, podobnie by postąpili wobec wroga. Dlatego też rozkaz mym ludziom wydałem, by krzywdy żadnej naszym wybawicielom nie czynili i trzymali się od ich kobiet z daleka. Wysłałem paru żołnierzy, by pomoc sprowadzić i uradzić wspólnie, jak okręt z mielizny ściągnąć. Tak! Nasza «Różdżka Aarona» nie poddała się falom, co wszyscy za cud poczytali. Mieli więc rację ci, którzy twierdzili, że wraz z katolickimi obrazami szatana z sobą wieźliśmy: jak tylko się ich pozbyliśmy, wyszliśmy z opresji cało. Niech to będzie przestroga dla przyszłych pokoleń, by z daleka od widziadeł antychrysta się trzymali, żeby gniewu Wszechmogącego na siebie nie sprowadzić. Czekając na pomoc, odpoczywaliśmy beztrudnie, pijąc piwo, którym nas częstowano, i gwarząc wesoło z wieśniakami, co – rzecz to dziwna – trochę po szwedzku mówić umieli, a nawet z wiejskimi dziewczuchami, które – o dziwo – żołnierzy w ogóle się nie bały. Była w tych ludziach jakaś dziwna wiara, przekonanie, że z rąk innych nic złego ich spotkać nie może. Część marynarzy popłynęła na okręt, by zorientować się w uszkodzeniach i dokonać niezbędnych napraw. Gdyśmy wraz z nimi zeszli na brzeg, okazało się, że morze wyrzuciło na piasek część malowideł i połamanych ram. Miejscowi chcieli nam je oddać, a gdyśmy odmówili z odrazą i obrzydzeniem, jakimi nas te obrazy napawały, zanieśli je z wielką czcią do kościoła, do którego – przez wdzięczność za uratowanie – jednak nie wchodziliśmy, chociaż bardzo nas poruszyło, że na powrót obrażają naszego Pana i część oddają złotemu cielcowi. Najdziwniejsza rzecz zdarzyła się jednak nieco później, kiedy miejscowa dzieciarnia krzyk podniosła na plaży i okazało się, że w wodorostach znaleźli ludzką głowę równiutko od szyi odrąbaną. Zbiegliśmy się wszyscy, przyglądając się twarzy nieszczęsnej kobiety – a nikt nie wątpił, że była to jedna z kobiet nam towarzyszących – tylko że nikt, dosłownie nikt nie mógł jej rozpoznać, chociaż twarz nie była pokaleczona czy też zniekształcona. Po prostu – nikt jej nie znał. Druga dziwna rzecz: to fakt, iż ktoś odrąbał jej głowę i to ostrym narzędziem, mieczem albo toporem. Gdyby to żywił głowę od korpusu oderwał – ślady byłyby zupełnie inne. Była to dość ładna kobieta w średnim wieku, o długich, mocno przerzedzonych włosach i pustych oczodołach. Ta ostatnia cecha też była dziwna. W końcu jeden z marynarzy odważył się i chcąc ją podnieść, szarpnął głowę za włosy. Okazały się one tak słabe, że wyszły garściami, a głowa ani nie drgnęła. Gdy chwycił za czaszkę, okazało się, że jest mocno zaryta w

piasek, jakby przytwierdzona do czegoś. Gdyśmy go odgarnęli, okazało się, że ta twarz – teraz podwójnie upiorna, gdy o tym pomyśleć – wysunęła się z częściowo rozbitego złotego relikwiarza i spęczniała od wody, przez co na powrót przybrała ludzki wygląd. Zrobiło nam się niedobrze, ktoś zaczął wymiotować, kto inny dostał napadu histerycznego śmiechu. Z wielkim trudem udało się w końcu oddzielić głowę od relikwiarza – złoto postanowiłem zabrać do Szwecji, by uniknąć podejrzeń, iż je ukradłem. Wieśniacy patrzyli na to wszystko z wielkim przejęciem, a gdy się dowiedzieli ode mnie, że to głowa świętej Barbary (zapamiętałem to z czasu, gdyśmy robili spis wszystkich rzeczy, bo w końcu głowa świętej to nie palec czy włos), padli na kolana, potem na twarz i tak przeleżeli przez dzień cały, aż w końcu zniknęli z głową, którą pozwoliliśmy im zabrać. Jeden z wieśniaków tłumaczył mi później, gdym go o to nagabnął, że to właśnie święty Wojciech ich przed wiekami ochrzcił i że spełniwszy swą misję, obiecał jeszcze do nich powrócić osobiście albo przez wysłannika, by im jakąś tajemnicę wyjawić albo przed Złem ostrzec. Przez dłuższy czas wydawało się, że obietnicy nie spełnił i nie spełni, bo go Prusowie zamordowali, a ciało za furę złota Polakom odsprzedali. Ale kiedyś uratowali ci prostaczkowie w tym samym, co nas, miejscu innego biskupa, który wiozł relikwiarz z głową świętej Barbary i ta głowa – w cudowny sposób – miała im przekazać to, czego święty Wojciech nie zdążył. I na tym przykładzie widać, że u katolików ilu świętych, tyle zabobonów. Z tego, co mi ten wieśniak dalej mówił – a nie przerywałem mu, bo przecież od śmierci nas wybawili – wynikało, że to również święta Barbara sprawiła, że księżę [puste miejsce w rękopisie – przyp. aut.] ufundował im kościół i nadał specjalny przywilej. Przero powtórnie znalezienie głowy świętej Barbary (dam własną głowę, że to nie była ta sama) na tej właśnie plaży i właśnie tutaj, gdzie nawet ich kościół jest pod jej wezwaniem, poczytali za kolejny znak niebios. Gdym go zapytał, czy już im ta nowa głowa wyjawiała jaką tajemnicę, odrzekł jakby ironii nie zauważając, że nawet gdyby tak było, to i tak nie byłoby to dla moich uszu. **A może źle go zrozumiałem** [podkr. – J.L.], bo szwedzki i łacinę znał bardzo słabo. W każdym razie wieśniacy z wielką wdzięcznością się do nas odnosili, jakbyśmy to my im, a nie oni nam, życie uratowali. Pomogli później statek z mielizny ściągnąć, a jeden z nich, nurek specjalnie szkolony i ubrany w przemysłny skafander, wyłowił z dna morskiego kilka złotych przedmiotów, cośmy je nieopatrznie podczas burzy falom oddali. Dziwny to naród, doprawdy: Z jednej strony żyje w kulcie antychrysta, w ciemnościach egipskich papieżstwa, wielbi bałwany, z drugiej zaś niesie bliźniemu iście chrześcijańską pomoc. Mówili nam, że wiele statków tu się rozbija i dlatego takiej wprawy nabrali w ratowaniu rozbitek. Mieli w sobie coś z dawnych chrześcijan. I niech to zdarzenie dla innych będzie przykładem”.

Tyle anonimowy Szwed. Na marginesie można dodać, że na podstawie przytoczonych źródeł nie sposób ustalić, jak to było naprawdę: czy to święty Jacek, czy też święty Wojciech pierwszy nawrócił ten naród na wiarę katolicką i zaszczerpił w wiosce na rozewskim cyplu niespotykany gdzie indziej kult Matki Boskiej oraz przekonanie, że są wybranym narodem.

Nie wiadomo również, czy można relacji Szweda w pełni we wszystkim zawierzyć. Czy aby na pewno „głowa z relikwiarza” była głową świętej Barbary? Wiemy z całą pewnością, że relikwiarz ten Szwedzi rzeczywiście zrabowali z katedry oliwskiej i że trafił on w końcu do Szwecji, gdzie go przypuszczalnie przetopiono, nie figuruje bowiem dziś w żadnym spisie zabytków ruchomych. W każdym razie nam nie udało się na jego ślad natrafić. Zachował się natomiast jego szkic, odnaleziony niedawno w bibliotece miejskiej w Leydzie przez dr. Willema Stocka, dzięki uprzejmości którego możemy zacytować jego pracę na ten temat; zanim jeszcze ukaże się ona drukiem [do tej pory praca ta nie ukazała się – przyp. J.L.]. To właśnie ten autor pierwszy zidentyfikował anonimowy szkic ze skradzionym relikwiarzem. Opisuje go w następujący sposób: „Relikwiarz z całą pewnością datować można. na pierwszą połowę siedemnastego wieku. Zbliżony on jest stylowo do monstrancji. Sześcioboczny nodus zwieńczający sześciokątne stopę jest wprowadzicie w kształcie kapliczki gotyckiej, niemniej jest to gotyk «fantastyczny», wykorzystujący wiele elementów architektonicznych i ornamentów w gotyku w ogóle niespotykanych. Na przykład ażurowe wieżyczki tej kapliczki, flankujące puste słońce monstrancji (gdzie umieszczona była głowa świętej), wsparte są na kręconych kolumnkach, a ich ściany zewnętrzne a nawet skarpy, pokryte są delikatnym ornamentem okuciowym. Zwieńczenie relikwiarza ma formę altany, oplecionej winoroślą, w której stoi figura Madonny, również nie gotycka, lecz barokowa, choć do gotyku nawiązująca poprzez lekki kontrapost i sztywny, blaszany modelunek szaty. Po jej bokach dwie postacie – jedna to przypuszczalnie sam święty Wojciech, wynurzający się z głębi na dziobie czółna i trzymający w wyciągniętej ręce krzyż; druga postać to święta Barbara, stojąca na tle wieży zamkowej. Jest to układ w ikonografii baroku właściwie nie znany: nigdzie

nie napotyka się razem Madonny, św. Wojciecha i św. Barbary. Być może stanowili oni przedmiot szczególnego kultu w miejscu, gdzie relikwiarz wykonano (najprawdopodobniej był to gdański warsztat Piotra van der Rennena) bądź skąd pochodziły osoby, które go zamówiły. W żadnym przypadku nie można się zgodzić z tezą, że jest to pierwszy relikwiarz, jaki dla głowy świętej wykonano.

Szkic ten, sporządzony przez anonimowego artystę w Szwecji około 1670 roku, zgodny jest we wszystkich szczegółach z opisem relikwiarza, dokonany z pamięci przez jednego z kanoników oliwskich w 1662 roku. Autor opisu twierdzi stanowczo, że relikwiarz z głową świętej znajduje się w katedrze «od wieków» i że ofiarowany został przez żonę księcia Świętopelka. Z naszej jednak analizy wynika niezbicie, że nie tylko nie mógł on być wykonany na początku trzynastego wieku, ale w wiekach średnich w ogóle. Wiemy również z innych źródeł, że co najmniej dwa inne ośrodki twierdzą, bądź twierdziły w przeszłości, że są w posiadaniu głowy świętej.

W każdym razie omawiany przez nas relikwiarz jest pusty i nie wiadomo właściwie, czy został on «okradziony», czy też «skradziony», zanim jeszcze umieszczono w nim głowę świętej...”

Jak wynika z dalszych wywodów doktora Stocka, o relikwiarzu z głową świętej żadne inne źródła nie wspominają. To znaczy – szwedzkie źródła, w Polsce bowiem wielokrotnie pisano o skradzionym relikwiarzu przy okazji wyliczania dóbr kultury bezczelnie zrabowanych przez Szwedów i do dziś będących dumą niejednego muzeum po tamtej stronie Bałtyku. Ale nawet jeśli to rzeczywiście była głowa świętej Barbary i jeśli – za milczącym przyzwoleniem Szwedów – pozostała ona w wiosce, to co się z nią stało? Nie ulega przecież wątpliwości, że gdyby wieść o cudownym ocaleniu głowy dotarła do władz kościelnych, to sprawa stałaby się głośna, a relikwia wróciłaby na swe właściwe miejsce, to znaczy do Oliwy. Jeśli natomiast wieśniacy ją ukryli, to i nie można się dziwić, że słuch o niej zaginął, gdyż po pierwsze – jeśli umieścili ją w kościele – to należy pamiętać, iż w dziewiętnastym wieku na skutek silnej abrazji skarpy morze pochłonęło świątynię, a po drugie, w tym samym mniej więcej czasie wieś przestała istnieć, część mieszkańców, wyemigrowała do Kanady (wątpić należy, czy władze celne Kanady zezwoliłyby na wwóz uciętej głowy ludzkiej, choćby i świętej), a część rozproszyła się po okolicznych wioskach i chociaż żyją ich potomkowie, to wciąż ponawiane próby wywiadu środowiskowego spełzły właściwie na niczym. Nawet najstarsi ludzie niczego takiego sobie nie przypominają.

III

Trzeba przyznać, że piękna Madonna przyniosła szczęście wielu pokoleniom mieszkańców wioski. Również w sensie materialnym. Wraz z rychłym upadkiem potęgi krzyżackiej nastąpił gwałtowny rozwój Gdańska i handlu zamorskiego w ogóle, dzięki czemu coraz częściej z wysokiej skarpy na przylądku zobaczyć było można przepływające w jedną i drugą stronę statki, które w pękatych ładowniach przewoziły rozmaite towary. Mieszkańcy wioski już z doświadczenia wiedzieli, że te, które płynęły w stronę Gdańska, wiozły coraz to bardziej luksusowe, egzotyczne i wymyślne towary z całego, coraz większego świata, zamawiali je bowiem bogaci mieszczenie oraz lubująca się w zbytkach polska magnateria i szlachta. W drugą stronę, natomiast, przeważnie płynęło polskie zboże, którym żywiono – jak to się z dużą przesadą mówi – „pół Europy”, a także i różne „strategiczne” – jak byśmy dziś powiedzieli – towary, jakimi były na przykład cisy, z których wyrabiano maszty okrętów. Czasem, a jesienią i wiosną to nawet często, statki te rozbijały się, i to z reguły w pobliżu przylądka Rozewie i wzdłuż wybrzeża w stronę Helu. Dzięki temu miejsce to cieszyło się złą sławą wśród marynarzy całej Europy i nawet ci bodaj najdzielniejsi w tamtych czasach, Anglicy, ochrzcili je mianem Piekła. Stąd też cały półwysep zaczęto tak nazywać: Piekło, a raczej z angielska: Hell. Z czasem nazwa ta powszechnie się przyjęła, straciwszy jeno drugie „l” i tylko niektórzy, co bardziej szowinistyczni językoznawcy niemieccy starali się wywieść etymologię nazwy „Hel” z mitologii germańskiej. [W rzeczywistości nazwa „Hel” pochodzi z anglosaskiego „héle fease”, co oznacza „pięte”; za tę cenną informację dziękuję dr. Andrzejowi Chojeckiemu – przyp. J.L.] Z pewnych – dla nas zrozumiałych – przyczyn to nie samo Rozewie nazwano „Piekłem”, lecz położony dalej na południowy wschód półwysep.

Główną przyczyną tego było to, że – jak opisane powyżej przykłady mogą zaświadczyć – na samym cyplu rozewskim rozbitekowie mogli liczyć na pełną poświęcenia pomoc wieśniaków, co gdzie indziej wcale nie było takie pewne, a na Helu przez wiele wieków wręcz nieprawdopodobne. Tak się bowiem złożyło, że pod tym względem Hel bardzo niechlubnie zapisał się w historii, nie będąc oczywiście wyjątkiem. Rozliczne przekazy mówią nam, że brzeg morski bywał dla rozbiteków bardziej niebezpieczny niż rozszalały żywioł. Powszechnie stosowane było prawo nabrzeżne, w myśl którego wszystkie rzeczy wyrzucone przez morze na strąd stawały się własnością znalazcy. Czasem dotyczyło to i ludzi, którzy popadali w niewolę. Przeto powszechnie, szczególnie w pobliżu wielkich miast portowych, wznoszono modły do jakichś bogów o „błogosławiony brzeg”. Co „błogosławiony brzeg” miał oznaczać, można się z łatwością domyślić. Były to, trzeba jeszcze raz podkreślić, praktyki od najwcześniejszych czasów potępione przez Kościół, a także – niekiedy – i przez prawa świeckie, lecz trudno je było zwalczyć, o czym świadczyć może dekret oświeconego zaborcy Fryderyka Wielkiego jeszcze z 1773 roku, w którym pod groźbą surowych kar zabrania się tego rodzaju modlitw jako praktyk odrażających i niechrześcijańskich. Nie można bowiem pominąć faktu, iż zagarnięciu dóbr kupców i żeglarzy towarzyszyło niekiedy wymordowanie prawowitych właścicieli, jeśli tylko zdołali się oni uratować. W jednym ze średniowiecznych zbiorów prawa zwyczajowego, Roles d’Oleron, napomyka się, w artykule dwudziestym ósmym, że „zdarza się w niektórych miejscach, że ludzie są bardziej nieludscy i okrutni niż psy lub wściekłe wilki i zabijają biednych nieszczęśników, aby zawładnąć ich pieniędzmi, ubraniami i innym dobrem... [za karę] należy ich pławić w morzu, tak aby byli na wpół utopieni, a potem wyciągnąć ich z morza i ukamienować, tak samo jak by się zrobiło z psem lub wilkiem”. Tak się złożyło, że – jak chce tego legenda – częściowo uznana przez historyków za prawdę – pierwszymi osadnikami na Helu byli rozbójnicy morscy, którzy za pomocą fałszywych ogni zwabiali kupieckie statki na mielizny, by je – wymordowawszy najprzód załogę – obrabować. To tam wznoszono modły do pogańskich bożków, kiedy całe już Pomorze było chrześcijańskie. To tam wreszcie zmuszeni byli wyprawić się Krzyżacy, by położyć kres tym barbarzyńskim praktykom. Ich katagoryczna akcja przyniosła tylko częściowe

powodzenie, chociaż pobożni rycerze wycięli w pień wszystkich, dużych i małych, żyjących w rozbójniczym gnieździe, a na jego zgliszczach założyli nowe miasto. Jednak nowi mieszkańcy, jak na wyspiarzy przystało [Hel staje się półwyspem dopiero na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku – przyp. J.L.] nie przejmując się wielce prawami obowiązującymi gdzieś tam na kontynencie, podjęli równie nieczne praktyki, co ich pogańscy poprzednicy. To o tych przybrzeżnych rabusiach pisał Stefan Żeromski w „Miedzymorzu” potwierdzając przy okazji nasze powyższe ustalenia etymologiczne: „...Gdy w ciemną noc listopada morze poczęło ze swej głębi i dali wydawać najbardziej ponure łoskoty i ryki; gdy od niestrzymanej potęgi huraganu wyspa drzeć poczęła w posadach, skoki wysokich bałwanów przesadzały wały wysokie, ryły jamy, pruły brzegi i nowe w miedzymorzu wbijały wąwozy, a siwy, w swej straszności przeraźliwy żywioł morski wokoło suszę obiegał – człowiek na wyspie rozpałał nad zdradzieckimi pułapkami wielkie ognie, bujne stopy na najwyższych wzniesieniach.

Dawał niby to ratownicze i zbawcze sygnały braciom ludziom... Zdarzało się, że sternik na korabiu, szaloną burzą miotany, zawierzył ludzkiemu pobratymcowi na suszy.

Nie wiedział, iż czeka nań u wybrzeża schowanego w ciemnościach bardziej złowieszczą zasadzką niżli burzy szaleństwo w otchłaniach. Gdy statek zwiedziony a zwabiony do brzegu fałszywymi ogniami, ni to ryba bezmyślna, worał się w piachy, stanął w biegu albo padał na boku – pod pozorem ratunku czerń półwierzgą wdzierając się na pokład od żądy dysząca. Z mroku nocy migotały wściekłe oczy i maczuga wyślizgana w napaściach, a do wichrowego poświstu dołączył się świst oszczepu ostrym nabitego kamieniem.

Toteż żeglarz węgierski [?] i brytyjski nadawał temu miejscu w swojej mowie nazwę «Hell» – czyli Piekło”.

Tyle Żeromski, który tym bardziej nas interesuje, że jako pierwszy z polskich pisarzy natrafił na ślad kaszubskiej Madonny. Ale o tym za chwilę.

To właśnie w sprawie Helu interweniował jeszcze Stefan Batory w liście do Rady Miejskiej w Gdańsku z 19 lipca 1580 roku: „Jeżeli nie jest w mocy ludzkiej odwrócić rozbicia okrętów, to niegodnym jest ciągnąć z nich zyski. Jeżeli burza nieszczęśliwemu nie wszystko zabrała, dla czegoż mielibyśmy być okrutniejszymi od wichrów i mórz? Ani my, ani nasi poprzednicy nie inaczej uważaliśmy rozbitków, jak za ludzi, którzy w nieszczęściu większe do naszej opieki mają prawo. Upominam was przeto, bowiem doniesiono mi, iż złe prawo rodyjskie samowolnie egzekwujecie i nakazujemy wam towary rozbitków im powracać, a ludzi wolno puszczać...” Warto podkreślić, że list ten – pochodzący z prywatnych zbiorów markiza Orii, który jak widać interesował się nie tylko kwestiami religijnymi – wyprzedza o trzy lata bullę Grzegorza XIII „In Coena Domini”, której fragment przytaczamy z osiemnastowiecznego przekładu polskiego: „...Wyklęci są wszyscy, którzy rzeczy Chrześcijańskie na okrętach, na morzu, albo rozbitych, albo z samych okrętów, albo na brzegach znajdujące się zabierają, w czym żadne Privilegium, zwyczaj, albo inny iaki pretext ekuzować nie może”.

Na koniec godzi się w tym miejscu przytoczyć zachowaną do naszych czasów legendę o siedmiu rybakach z Helu. Otóż tak się złożyło, że zamiast zająć się uczciwą pracą, trudnili się oni rabunkiem rozbitych statków. Pewnego razu uratowali oni Chrystusa, który z wdzięczności dał im prawo sprzeciwiania się każdemu, podyktowanemu przez innych, nakazowi słowami „nie chcemy”. Kiedy umarli po pewnym czasie, znaleźli się podstępnie w niebie, lecz gdy zorientowano się, ile mają na sumieniu, nie było już sposobu, by ich stamtąd usunąć, bo zawsze odpowiadali: „Nie chcemy”. Długo debatowano w niebie, co z tym fantem zrobić, aż w końcu jeden z aniołów wpadł na świetny pomysł i w porozumieniu ze świętym Piotrem użył fortelu. Kiedy rybacy przechodzili koło bramy niebieskiej, niczego się nie spodziewając, anioł ów zakrzyknął znienacka: „Bajty na strądzie! ”, co miało efekt piorunujący – starzy rabusie pędem pognali na helski brzeg. I tyle ich w niebie widziano.

Pochodzenie nazwy „Rozewie” nie zostało przez naukę jednoznacznie wyjaśnione. Podejrzewa się, że może się ono wywodzić z jakiegoś zupełnie obcego słowa, a najbardziej prawdopodobnym zdaje się słowo etruskie znaczące „urwisko”. Dlaczego właśnie etruskie, a nie – dajmy na to – celtyckie czy pruskie, nie wiadomo. Być może, wiąże się to z powstaniem i rozwojem olbrzymiego, międzynarodowego miasta na wyspie Wolin, gdzieś w bardzo ciemnym okresie wczesnych wieków średnich; owej tajemniczej Winety [o której będziemy pisać gdzie indziej – przyp. aut.; o Winecie nie ma mowy w pozostałej partii tekstu, więc autor – być może – ma na myśli jakieś inne swoje dzieło, nad którym zamierza(ł) pracować – przyp. J.L.], która utrzymywała kontakty handlowe z całym znanym wówczas światem. Ponieważ dla mieszkańców wioski miejsce, które wybrała sobie Przenajświętsza

Panienka, by przyjść między ludzi, nie mogło być niczym innym jak „Rajem”, w ten to dziwny sposób w ich mniemaniu „Raj” fizycznie graniczył z Piekłem, gdzieś w okolicach dzisiejszego Chłapowa i Władysławowa, które w dawnych czasach nazywało się Wielka Wieś. Piekło wiązało się, oczywiście, z miastem, a Hel stał się miastem jeszcze bardziej w roku 1526, kiedy to Zygmunt I nadał go Gdańskowi. Przez to uniknął Hel pierwszego rozbioru Polski, a także i wspomnianego dekretu Fryderyka Wielkiego, dzięki czemu jeszcze przez wiele dziesiątków lat wznoszono tam modły o błogosławiony brzeg. Nic więc dziwnego w tym, że wieśniacy spod Rozewia z odrazą i oburzeniem patrzyli na poczynania swoich najbliższych sąsiadów. Tym też można wytłumaczyć ich osobliwą niechęć do jakichkolwiek kontaktów z mieszkańcami okolicznych miasteczek i do podróży. Tę charakterystyczną cechę oraz niechęć do obcych i wartości, jakie sobą reprezentowali, jako pierwszy odnotował w swej „Kronice sławiańskiej” z XII wieku niemiecki kronikarz Helmold: „Złoto i srebro za nic prawie sobie ważą. W futra obfitują u nas nie znane, a tych zapach [sic!] rozlał po naszym świecie śmiertelny jad dumy. Cenią je oni na równi z nawozem; my zaś na nasze, jak sądzę, potępienie do odzieży z kun wzdychamy jakby do jakiejś szczęśliwości... Aż do dnia dzisiejszego, jakkolwiek wszystko inne mają wspólne z nami, przystęp naszym do ich gajów i źródeł jest wzbroniony, te bowiem od zbliżenia obcych stają się, podług ich mniemania, nieczystymi... Ludzie tam mają błękitne oczy, cerę czerwoną [?], włosy długie. Prócz tego niedostępni z powodu błot, nie cierpią pośród siebie żadnego pana”. Poddąństwa jednak nie uniknęli, co nie było dla nich wielką udręką, bo poza granice swej wioski i tak nie mieli zamiaru się zapuszczać. Ich ciekawość świata i ludzi w pełni zaspokajały katastrofy morskie i to, co wyrzucało morze. To świat do nich przychodził i mogli go oglądać wśród wodorostów, wyrzucony na brzeg niczym ilustrowane stronicie olbrzymiej księgi. Tak, przez wieki całe wpatrywali się w morze niczym w wielką księgę natury, zaś fale odkrywały przed nimi wszystkie strony świata. Umieeli w morzu wyczytać znacznie więcej niż ludzie z głębi lądu, a ich szarobłękitne oczy poznały znaki na morzu jak jakieś tajemne pismo natury, dla innych nieczytelne i niezrozumiałe.

W tych bez wątpienia ciężkich chwilach, kiedy wieśniaków ciemnieli Krzyżacy, bezwzględni feudałowie i „reakcyjni” – jak chcą niektórzy – kler; ratowała ich jedynie nadzieja, że Matka Boska, do której tak się żarliwie modlili, jednak o nich nie zapomniła i – zgodnie z oczekiwaniami – przybędzie w te strony, by swój lud z niedoli wybawić. Niewysłowiona była więc ich radość, gdy Ją w końcu ujrzeli na brzegu, w cudowny sposób ocaloną z topieli. A gdy stanęła w ich kościółku, nie mieli już żadnych wątpliwości, że ich los się odmieni. Z jeszcze większym więc poświęceniem ratowali rozbitków, a z powodu coraz większego ruchu statków na Bałtyku, na brak zajęcia nie mogli narzekać. A ponieważ – jak już wspomniano wyżej – mieszkańcy wioski nie lubili podróży, a już ze szczególną niechęcią, ba, z odrazą traktowali wielkie miasta, jak Słupsk czy Puck, nie mówiąc już o Gdańsku czy Elblągu, nieszczęśliwe katastrofy na przybrzeżnych mieliznach i skałach stanowiły dla nich praktycznie jedyną okazję do kontaktu „ze światem”. To znaczy, dzięki nim poznawali nowych ludzi, dowiadywali się o dalekich krajach, o dziwnych obyczajach tam panujących, o co rusz wybuchających gdzieś wojnach, najazdach, podbojach, o heretykach wszystkich wyznań, o barbarzyńcach wszelkich cywilizacji, słyszeli o rzeziach niewińców i o walecznym wyplewieniu schizmy, o stosach i wymyślnych torturach, o obronie i zdobyciu miast, o okrucieństwie zwyciężonych i bezwzględności zwycięzców, o dziwnych prawach i bezprawiu, o głodzie i nędzy, o zarazach, o tchórzostwie i zdradzie, o rozpuszczeniu i o wielu, wielu innych sprawach tamtego świata, które tylko utwierdzały ich w przekonaniu, że są rzeczywiście wybranym narodem. Natomiast dzięki wyrzuconym przez morze towarom nie tylko uzupełniali swe skromne dochody, ale i poznawali bogatą różnorodność świata materialnego, wraz ze zmieniającą się modą, smakiem przednich win czy korzeni indyjskich (w których prawdziwie zasmakowali). Poznawali też nowe osiągnięcia ludzkiego umysłu, nowe wynalazki – najczęściej były to coraz zmyślniejsze i skuteczniejsze mechanizmy do uśmiercania i kalectwa innych. Dzięki wyrzuconym przez morze zegarom poznali również czas, przynajmniej teoretycznie, w praktyce bowiem zmoczone morską wodą mechanizmy odmawiały posłuszeństwa i wskazywały godziny, które już dawno minęły, co zresztą nikomu tutaj nie przeszkadzało. Z głębią lądu, unikając jak zarazy bliższych kontaktów, prowadzili jedynie sporadycznie handel wymienny: najwyżej parę razy w roku przyjeżdżali do wioski kupcy, i to z reguły ci sami. Tylko niezmiernie rzadko na to odludzie trafiał ktoś rzeczywiście obcy, pomijając – oczywiście – rozbitków.

W ten to sposób wieś bogaciła się i z czasem – jak już wspomniano – bardziej żyła z darów morza i handlu wymiennego niż z tradycyjnego w tych stronach rybołówstwa czy pracy na roli. Zapewne zgodnie

z obiektywnymi prawami materializmu historycznego wszystko potoczyłoby się normalnie, tak jak gdzie indziej, to znaczy wieś – dzięki akumulacji kapitału i wzrostowi warstwy kupieckiej – rozrosłaby się w miasteczko, a miasteczko – z tych samych względów – w miasto, które zapewniłoby szybsze powstanie i rozwój kapitalizmu w tych stronach, gdyby nie czynniki subiektywne, to znaczy przyziemna zawiść ludzka i pospolite zło, co to niczym morowe powietrze panoszy się po świecie. Rozniosło się bowiem daleko poza granice Raju, że wieś jest tak bogata, iż wieśniacy złoto i klejnoty w garncach zakopują i pracować im się nie chce, bo nie muszą, mając wszelkich dóbr pod dostatkiem. A że w tej części świata czasy są zawsze niespokojne (mówią, że to z powodu morza) i co rusz jakaś wojna się gdzieś w okolicy toczy, więc grasowały tam bandy maruderów czy też dezertów, rzeźmieszków i zbiegłych więźniów, które zwabione nadzieją łatwego łupu, raz po raz napadły na wiosnę, łupiły ją doszczętnie, nie szczędząc i kościoła, który ogałacano z naczyń liturgicznych i innych precjozów. Mieszkańcy nigdy swych dóbr nie bronili, ale i tak mordowano ich czasem „dla zasady”, a kobiety gwałcono. Efektem tego ostatniego była przedziwna mieszanka rasowa, jaka cechowała mieszkańców wioski, co później znacznie utrudniło pracę niemieckich antropologów, mających za zadanie wykazanie nordyckiego pochodzenia Kaszubów (ostateczne decyzje w tej materii podjęto dopiero pod koniec drugiej wojny światowej, kiedy postanowiono Kaszubami uzupełnić przereźdzone szeregi Wehrmachtu). Tak więc ci, którzy pozostawali przy życiu, musieli od nowa odbudowywać zasobność wioski. Kolejne sztormy przynosiły nowe katastrofy, więc zamożność wieśniaków wolno, ale systematycznie rosła. Nigdy jednak nie było im dane rozwinąć się materialnie na tyle, by w miejsce wioski założyć jakiś gród warowny, który mógłby i miasteczkiem, ba, miastem z czasem się stać. Jak tylko bowiem, jak to się mówi, „stawali na nogi”, ponownie napadano na wioskę, ogałacano ją i kościół ze wszystkich cennych rzeczy, przy krzykach mordowanych mężczyzn i jękach gwałconych kobiet. Tylko Madonna uchodziła z każdego pogromu cało – po prostu nikt z rabusiów nie uważał rzeźby za coś cennego, a nawet gdyby kto spróbował ją skrzywdzić, to umiała się obronić, czego wymowne przykłady przedstawione zostały powyżej. Dlatego kiedy świat uwierzył już, że „rozwój” czy „ekspansja”, czy też zwyczajnie mówiąc „bogacenie się”, jest wartością samą w sobie, celem, do którego należy z całą stanowczością dążyć, doświadczenia pokoleń nauczyły mieszkańców wioski czegoś wręcz przeciwnego i za naturalny rytm życia uważali zmienną fortunę. Naturalny, gdyż związany z wiosennymi i jesiennymi sztormami, a więc zgodny z prawem boskim, które sankcjonowała alabastrowa Madonna.

Tak, to dzięki morzu wieśniacy spod Rozewia poznawali świat, dowiadywali się o zmianach, jakie gdzieś tam, za horyzontem, się dokonały; w pianie fal przychodziły z daleka rozmyte wieści i nauczyli się odczytywać z niej – niby. z księgi – treści dla innych niewidoczne. Tak jak to robią wróżki czytające z fusów od kawy. Albo uczeni z wyblakłych rękopisów. Bardzo szybko stali się znawcami typów statków i natychmiast zauważali wszelkie innowacje w konstrukcji czy ożaglowaniu. Bardziej tajemnicze były ładownie, kryjące czasem wielkie niespodzianki albo tajemnice tamtego świata. Tak więc, dla przykładu, założenie kolonii w Wirginii fale obwieściły – z pewnym co prawda opóźnieniem – wyrzuceniem na brzeg fajki, której przeznaczenia mieszkańcy wioski przez dłuższy czas nie potrafili odgadnąć. Dopiero uratowany marynarz z innego okrętu wyjaśnił im, do czego fajka służy, a także pokazał, jak można w niej palić suszone liście (wraz z fajką znalezione w dużej pance), których dotąd bezskutecznie usiłowali używać w celach kulinarnych bądź – powiedzmy – higienicznych. Podbój Meksyku obwieściły bardzo wcześnie, bo już w 1525 roku indyki, które zamiast trafić na stół księcia Albrechta Hohenzollerna w Królewcu – wysłane tam w prezencie przez Henryka VIII z okazji sekularyzacji państwa krzyżackiego i powstania na jego miejscu pierwszego na świecie państwa luterńskiego – zatoniły wraz ze statkiem, którym płynęły, a wydobyte przez dzielnych wieśniaków, stały się natychmiast ich – zawsze z nadzieją oczekiwanym – przysmakiem. Godzi się przypomnieć, że tym samym statkiem płynął ów nadgorliwy kaznodzieja protestancki, o którym była na początku mowa. Natomiast tak się koleje losu potoczyły, że księżę Albrecht nie dożył, ażeby indyka skosztować; fakt przez historiografię dotąd nie odnotowany. [Czy tak jest w istocie – trudno powiedzieć; przyp. J.L.]

Podobnie było, już znacznie później, z kawą, którą próbowali najprzód zemleć na mąkę, by wypiekać z niej placki – ich smak przekraczał jednak tolerancję nawet niewybrednego podniebienia i ponownie utwierdził wieśniaków w przekonaniu, że życie hen-tam-gdzieś jest z wielu względów nie do zniesienia. Dopiero odpowiednie instrukcje uratowanych rozbitków oraz wyrzucony przez morze młynek sprawiły, że stali się kawoszami z prawdziwego zdarzenia, co zgoła zaskakiwało obcych, zwłaszcza że z czasem przyjęli się tu zwyczaj picia kawy z prawdziwej chińskiej porcelany. Ale poznawanie świata miało nie

tylko kulinarny charakter. Wielkim przeżyciem dla mieszkańców wioski było wyłowienie – gdzieś w połowie szesnastego wieku – wielkiej, malowanej kuli, która obracała się na przemyślnie skonstruowanej podstawie. Dopiero od uratowanych rozbitków dowiedzieli się, że jest to globus, przedstawiający Ziemię wraz z jej wszystkimi lądami i morzami. Pokazano im również miejsce, w którym zaznaczony był na globusie przylądek Rozewie, co jednak znacznie podważyło ich wiarę w rozumność tego, kto ten globus skonstruował. O ile można się jeszcze było zgodzić, że Anglia ma taki, a nie inny kształt, że czarna Afryka ma kolor zielony, to w przypadku ich przylądka, każdy przecież widział, że wygląda zupełnie inaczej. A na globusie nawet nie było widać ich kościoła. Wszyscy uważali, że Rozewie jest stanowczo za małe, nawet jeśli przyjąć, że globus rzeczywiście przedstawia cały świat. Podobnie nie mogli zrozumieć, dlaczego Gdańsk oddalony jest od nich o pół paznokcia, skoro każdy dobrze wiedział, że pieszo idzie się tam trzy dni, a wozem jedzie dwa. Gotowi byli zgodzić się z faktem, że Ziemia jest okrągła, lecz uważali, że w takim razie połowę globu powinno zajmować to, co wyznaczała z ich cypla linia horyzontu, a reszta świata – stąd niewidoczna – mogłaby wówczas zajmować całą drugą połowę. Wiedzieli dobrze, że karta ich świata miała tylko dwie stronicie.

Jak się można domyślić, niektóre znaleziska miały tragiczne następstwa. Tak było, na przykład, z bronią palną. Zawsze oglądali z zaciekawieniem wyrzucone przez morze hakownice, arkebuzy, muszkiety czy pistolety, aż kiedyś doszło do wypadku i niefortunny wystrzał odłupał pół głowy zaglądnącemu do lufy wieśniakowi, wywołał popłoch, ucieczkę i sprawił śmierć paru innych osób. Broń znajdowali zresztą bardzo często i szybko nabrali wprawy w dostrzeganiu coraz to nowych udoskonaleń. Do końca jednak nie potrafili zrozumieć, po co komu tyle narzędzi do zabijania i kaleczenia innych ludzi. Drugim takim niebezpieczeństwem dla życia i zdrowia mieszkańców okazały się wszelkie wyroby ze złota i srebra, a także kamienie, które przybysze z zewnątrz nazywali szlachetnymi. One to miały siłę prawdziwie magiczną, gdyż niczym magnes – którego działanie też przyszło im poznać – przyciągały z daleka bandy groźnych i bezwzględnych ludzi, którzy przybywali pieszo albo na koniach i ogałali wioskę ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Nie pomagało w takich przypadkach nawet dobrowolne przekazanie rabusiom wszystkich drogocennych rzeczy, nasuwało to bowiem podejrzenie, że skarbów musi być znacznie więcej, skoro aż tyle im się od razu ofiarowuje. Tak więc rychło wieśniacy zaczęli się bać złota, srebra i klejnotów, uważając je za zastygłe nasienie diabła, od dotknięcia którego rodzi się Zło. Podobno od kiedy zauważyli, że stają się one bezpośrednią przyczyną nieszczęść, zaczęli wywozić je daleko w morze i tam topili. Do dziś słyszy się w tych stronach opowieści o skarbach spoczywających na morskim dnie, a które czasem, przy odpowiedniej pogodzie, można zobaczyć. Mają one jednak nadal diabelską, magnetyczną moc i kto te skarby zobaczy z łodzi czy statku, nie może się oprzeć i skacze do wody, by już nigdy nie wypłynąć.

Nie mniejszym zaskoczeniem były dla nich książki, które od czasu do czasu znajdowali w skrzyniach wyrzuconych na brzeg (jak w przypadku książek markiza Orii). Szczególnie te pierwsze, jakie znaleźli, zdumiały ich bardzo, nie przyszło bowiem im nigdy do głowy, że jeszcze kto inny, oprócz ich księdza, mógłby mieć jakąś księgę. Ponadto, drugim zaskoczeniem było to, że wydobyte z wody woluminy nie były jak się okazało – Pismem Świętym. I w ten to sposób dowiedzieli się, że nie tylko Bóg napisał swoją księgę, ale że są również ludzie, którzy piszą swoje. Ponieważ niekiedy rozbitkowie czytali im fragmenty różnych książek, dowiedzieli się również, że mogą w nich być rzeczy nieobyczajne albo traktujące o sprawach, z jakimi do tej pory się nie stykali, ani o nich nawet nie myśleli, że mogą być rzeczy bardzo piękne, ale i pełne okrucieństwa i nienawiści, że mogą być bogobojne, ale i bluźniercze. Ponieważ wszystkie te księgi pochodziły z tamtego świata i tamten świat opisywały, z czytanych im fragmentów kronik, legend, mitów i baśni, romansów i opisów świata, wynieśli dość kuriozalny jego obraz, który jednak empirycznie potwierdzały przedmioty wyrzucane z rozbitych okrętów. Był to świat pełen okrucieństwa i zła, rządzony przez ciemieców i pogańskich bogów, przez czarnoksiężników, czarownice i wiedźmy, świat ludzi pokracznych, jakichś półzwierząt, półludzi, świat w którym dobro niszczone w zarodku niczym nie chciany chwast, świat zwyrodniały i zepsuty. Z mieszanymi więc uczuciami słuchali, gdy im czytano opisy dalekich królestw i miast, o których często nigdy dotąd nie słyszeli, nie potrafiąc przy tym rozróżnić opisów, „prawdziwych” od fikcji literackiej. Słuchając zatem o smokach, potworach, o wojnach, zdradach, zbrodniach, o skrytobójstwie i torturach, o zarazach i głodzie, przekonywali się raz jeszcze, że są jednak wybranym narodem, mieszkającym w prawdziwym raju na ziemi, podczas gdy zło panoszy się po reszcie świata, czego niepodważalnych dowodów dostarczało im morze, które w ten niecodzienny sposób stało się ich biblioteką, czy może raczej – mówiąc bardziej

współcześnie – encyklopedią świata, a ściślej – wyrwanymi z niej kartkami, o przypadkowej i ograniczonej liczbie pomieszanych haseł.

Tylko niezwykle rzadko jakieś większe fragmenty świata „stamtąd” zbliżały się ku nim na tyle, że mogli ten świat z bliska oglądać. Doświadczenia te zawsze napawały ich wielkim zdumieniem. Tak było na przykład w sierpniu 1511 roku, kiedy to cała zaalarmowana wieś zebrała się na szczycie skarpy, by podziwiać niecodzienne widowisko. Tak się złożyło bowiem, że w stosunkowo niewielkiej odległości od brzegu przepływała flotylla kilkudziesięciu – po porporcach sądząc holenderskich – statków kupieckich, biorąc kurs na północny zachód, zapewne ku odległym cieśninom duńskim. Pięknie wyglądały ciężkie kogi o wydętych, kolorowych żaglach, rozcinające granatowe tego dnia morze rozbryzgującą się pianą. Sunęły ociężale, majestatycznie, o pełnych widać ładowniach. Nie zdążyły jednak przededefiniować wszystkie przed urzeczonymi widokiem wieśniakami, kiedy na horyzoncie pojawiły się nagle rozliczne maszty i żagle, które zbliżając się rosnącym w oczach klinem sprawiały wrażenie, że zaczepiły przez nieuwagę o linię horyzontu i ciągnąc ją za sobą, napinając jak cięciwę olbrzymiego łuku, zaraz sprawiły, że pęknie i morze wypłynie jak jajko z wydmuszki. Wkrótce obce statki zbliżyły się na tyle, że można w nich było rozpoznać szybkie karawele najnowszy krzyk wojennej mody. Na ich najeżonych działami pokładach i kasztelach widać było kręcących się marynarzy i połyskujące jak rozsypana, ruchliwa rybia łuska zbroje żołnierzy. Biało-czerwone proporce nie pozostawiały żadnych wątpliwości: była to wojenna flota lubeczan albo hamburczyków. Ciężkie kogi Holendrów próbowały zawrócić, lecz w gorączkowym pośpiechu statki zgubiły wiatr i kołysały się niezdarnie na wodzie, jakby w nerwowym niezdecydowaniu przestępując z burty na burtę. Szybkie okręty nie miały przyjaznych zamiarów, o czym patrzący przekonali się, gdy tamte podpływały blisko i utworzywszy burtami coś na kształt muru warownego zamku, oddały w kierunku kupieckich statków salwę ze wszystkich dział. Następnie z gracją obróciły się o 180° i oddały salwę z drugiej burty. Z brzegu widać było, że większość pocisków nie trafiła celu, huku jednak było co niemiara, przez co wielu straciło ducha i na niektórych z napadniętych statków wybuchła nieokiełznana panika. Jeden czy dwa zostały silnie uszkodzone i zaczęły tonać, na parunastu porwano na strzepy żagle, bądź ścięto maszty, przez co nie mogły już dalej płynąć, ale reszta zawróciła i z trudem walcząc z przeciwnym wiatrem, usiłowała uciec napastnikom. Na nic jednak zdały się te próby, bo zwrotne karawele zakosami podpływały zupełnie blisko i strzelając z falkonetów najwyraźniej przystępowały do abordażu. Wkrótce do tego doszło i wieśniacy z zapartym tchem oglądać mogli prawdziwą rzeź, bowiem nie spodziewające się widać ataku statki kupieckie były znacznie słabiej uzbrojone, a ich załogi mniej liczne. Ci, którzy wyszli z życiem z ostrzału artyleryjskiego, skakali do morza, usiłując płynąć w stronę zbawczego brzegu. Strzelano do nich z muszkietów, z kusz i łuków. Niektóre niezdatne już do żeglugi statki podpalono, zostawiając na pokładzie rannych, na próżno wołających o pomoc. Inne statki przechwycono, załogę wycięto w pień, a jeńców powieszono na rejach. Znęcano się przy tym na nieszczęśnikach w nieludzki, zwyrodniały wprost sposób. Ich wycia i rżenia były świetnie słyszalne z brzegu. Nazajutrz morze wyrzuciło wiele okrutnie pokaleczonych ciał ludzkich. Po paru godzinach było po wszystkim i powiększona flota napastników zawróciła w kierunku, z którego przybyła, by rozpląnąć się na horyzoncie, wzdętymi żaglami zgarnawszy z nieba światło dnia.

Wieśniacy odczekali, aż się statki oddały, po czym żwawo ruszyli do swych łodzi i wypłynęli w morze, by sprawdzić, czy aby się ktoś nie uratował. Po żmudnych poszukiwaniach; utrudnionych zapadającymi ciemnościami i niespokojną falą, udało im się wyłowić zaledwie paru na pół żywych marynarzy. Cała reszta, to znaczy kilkuset ludzi, poszła pod nóż, utonęła albo też zginęła w płomieniach. Ze statków prawie nic nie ocalało; po wodzie pływały jakieś zwęglone kikuty, które nazajutrz zaległy wraz z ciałami ponurym zwałem na brzegu: Jak się od uratowanych marynarzy dowiedziano, załogi rzeczywiście składały się z Holendrów, a także z gdańszczan, natomiast ich flotylla wynajęta była przez niemiecką rodzinę kupiecką Fuggerów. Wieśniacy dowiedzieli się również, nie za bardzo co prawda rozumiejąc, że przyczyną rzezi i przechwycenia statków był spór między Hanzą a Fuggerami, którzy zmierzali do utworzenia monopolu na handel miedzią, w czym wspomagał ich częściowo Gdańsk i król duński. „To przez miedź wymordowano tylu ludzi?” – pytali z niedowierzaniem wieśniacy, a gdy otrzymali twierdzącą odpowiedź, uradzili, że w obliczu szaleństwa świata należy oczyścić całą wieś ze wszystkich mosiężnych i miedzianych przedmiotów, by nie dawać pretekstu do napadu.

O ile złoto i srebro czy też naczynia miedziane było stosunkowo łatwo ze wsi usunąć, jej mieszkańcy szybko zorientowali się, że nie oznacza to wcale zupełnego zażegnania niebezpieczeństwa. Czyhało ono co rusz z niespodziewanie innej strony. Zrozumieli wówczas, że są rzeczy, których nie można się ot tak

pozbyć, nie można ich wyrzucić, zniszczyć czy nawet schować, tak jak nie można wyrzucić czy schować własnego sumienia. Są to rzeczy, bez których człowiek żyć nie może, a które u innych ludzi wywołać mogą nienawiść. Nie mogli, dla przykładu, wyrzec się własnej Madonny z kościółka, a przecież to właśnie z Jej powodu wielokrotnie znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przekonali się bowiem na własnej skórze, że na świecie żyje wielu ludzi, którzy nie tylko nie modlą się do Przenajświętszej Pani i hołdu Jej nie składają, ale sam Jej widok wyzwała w nich zwierzęcą nienawiść i okrucieństwo. Tak właśnie było w 1627 roku podczas wojny ze Szwecją, kiedy przejeżdżający przez wioskę rajtarzy zabili wszystkich, którzy schronili się w kościele, modląc się żarliwie do swej Madonny. Była to ledwie zapowiedź jeszcze gorszych czasów i kiedy latem 1655 roku wieśniacy oglądali ze skarpy desant całej armii szwedzkiej, jaki miał miejsce w pobliskim Lisim Jarze, dobrze wiedzieli, co ich może czekać. Obserwując tysiące miniaturowych z odległości żołnierzyków, małe konie, działa i tabory, które ze statków przewożono na łódź wielkimi łodziami, wieśniacy zastanawiali się, czy to aby nie przyplynie cała armia „tamtego świata”, nie rozumiejąc, czego ci wszyscy ludzie (tylu na raz nigdy nie widzieli) szukają w tych stronach, gdzie nie tylko nikt ich nie zapraszał, ale gdzie i miejsca dla wszystkich nie było. Okazało się, że Szwedzi „rajem” nie byli zainteresowani, a może po prostu o nim nie wiedzieli, i cała armia przeszła bokiem, kierując się na południe. Dopiero parę miesięcy później pojawili się ponownie w tych stronach, a to z powodu oblężenia Pucka. Dali się Szwedzi poznać z jak najgorszej strony, rabując, mordując i gwałcąc w całej okolicy. Szczególną nienawiścią pałali do księży i zakonników, a także i do Matki Boskiej, co wieśniaków ostatecznie przekonało, że tamten świat wypowiedział wojnę Przenajświętszej Pani.

Tak jak wyrzucane przez morze książki były właściwie wyborem zupełnie przypadkowym, a znalezione przedmioty – jak to się określa – kultury materialnej stanowiły jedynie cząstkę tego, co wymyślił i wytworzył człowiek, tak i obraz niewidzialnego świata za horyzontem, jaki sobie mieszkańcy wioski utrwaliли, był wycinkowy, tak jakby w ich ręce wpadła tysiączna, a może raczej milionowa część olbrzymiej układanki (na wzór tych dzisiejszych), a przy tym tylko kilka z tych klocków pasowało do siebie, tworząc ledwie fragment fragmentu, co oni jednak brali za całość. Dlatego też zawsze ich dziwiło, ilekroć morze wyrzucało im nowy element układanki, gdyż uważali ją dawno za skończoną. Takie wydarzenie było każdorazowo na swój sposób obrazoburcze, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Tak więc, dla przykładu, kiedy przed wiekami dowiedzieli się od żeglarzy, że oprócz ich morza są jeszcze inne, nawet większe, ba, że są oceany tak wielkie, że ich morze przy nich to jak Jezioro Żarnowieckie przy Bałtyku, obraz ich świata, który dotąd ogarniali wzrokiem, został skorygowany i rozbudowany przez wyobraźnię. A to, co tworzyło ten niewidzialny i w dużym stopniu wyobrażony świat, stałe przypominało o swoim rzeczywistym istnieniu: to stamtąd, spoza horyzontu, który wyznaczał granicę tych światów, przepływały statki, wioząc ten nie znany we fragmentach – niczym stronicie olbrzymiej księgi, przywoząc w swych ładowniach całą jego różnorodność, całą zagadkowość, całą jego grozę. Świat za horyzontem był potężny i zły, ale – na szczęście – cała jego siła była niczym w porównaniu z potęgą ich morza, ich wichrów. Dowodem tego były statki coraz to nowego typu, coraz to większe, z wieloma masztami i coraz wspanialszym ożaglowaniem, z wieloma piętrami kaszteli, najeżone groźnie armatami, prowadzone przez doświadczonych kapitanów i dzielną załogę, a jednak jakże bezradne i bezbronne w walce z falami, wirami, prądami w okolicach przylądka Rozewie. Obnażała się w ten sposób ułomność tego tajemniczego świata i ujawniała się jego istotna cecha: nie był to świat niezwykły. Mógł napawać grozą, ale nie był wszechmocny. Jego kruchość odnajdywali na brzegu. Wybebeszone żebra, szkielety i kikuty statków.

Tak było do dnia, kiedy ogłoszono we wsi alarm i okazało się, że w oddali płonie statek. Wydarzenie to miało miejsce już w okresie ostatecznego upadku wioski, już po zawaleniu się kościółka i zniknięciu alabastrowej Madonny. Dzień był pogodny, słoneczny, morze prawie gładkie, tylko gdzieniegdzie pomarszczone jak źle napięta tkanina, powietrze czyste, więc i widoczność świetna. Stojąc w niewielkiej grupce na skarpie, ostatni mieszkańcy wioski patrzyli na unoszący się nad horyzontem, po północno-zachodniej stronie, wysoki słup dymu. Chociaż ognia nie było widać, ba, nawet statek był jeszcze niewidoczny, wieśniacy wiedzieli z doświadczenia, że nie ma skutku bez przyczyny, czyli dymu bez ognia, i nie mieli żadnych wątpliwości, że to jakiś statek płonie. Zastanawiać się zaczęli na głos, czy dopłynie, czy nie. Przeważały głosy na nie. Z powodu znacznej odległości wydawało się, że statek stoi w miejscu, co byłoby rzeczą naturalną, jeśli spaliły się żagle. Słup dymu nie szedł jednak pionowo w górę, lecz ukosem, na zachód, co było o tyle dziwne, że wiał właśnie lekki, zachodni wietrzyk. Świadczyło to

niezbicie o tym, że statek jest jednak w ruchu. Wyglądało to tak, jakby ciągnął za sobą sieć pełną czarnych, skłębionych chmur, które zgarznął z nieba gdzieś za horyzontem, i tylko patrzeć, jak je rozpuści i zmaci czysty do tej pory błękit. Po godzinie czy dwóch nikt już nie miał żadnych wątpliwości: dym przesunął się na horyzoncie co najmniej o trzy, cztery wyciągnięte dłonie i stało się rzeczą oczywistą, że jednak statek płynął. Dziwne jednak było i to, że nie można go jeszcze zobaczyć, nawet przez lunetę, i że płynął wzdłuż linii horyzontu, zamiast ją przeciąć i obrać najbliższy kurs w stronę zbawionego lądu. „Pewnie stracili kontrolę nad sterem” powiedział ktoś, a inni przytaknęli. Nadal jednak nie było wiadomo, jakim cudem płonący statek w ogóle płynie, tym bardziej że po paru następnych godzinach przesunął się daleko na wschód, znacząc na czystym niebie swój dymny ślad niczym pełznący powoli ślimak, a potem – wbrew wszelkiej logice – zaczął się oddalać. Ślad na niebie malał, rozmywał się w błękicie, aż w końcu pod wieczór znikł zupełnie. „Zatonął” – domyślili się wieśniacy, lecz nocą warty na skarpie i brzegu nie trzymali – nie było już komu, a ponadto władze pruskie im tego zabroniły.

I chociaż ten niecodzienny przypadek zastanowił wieśniaków, to zapewne wkrótce by o nim zapomnieli, gdyby po paru dniach nie zdarzyło się coś podobnego. Tym razem słup dymu pojawił się po wschodniej stronie horyzontu, mniej więcej w tym samym miejscu, w którym ten poprzedni zniknął. Ponownie wyglądało to, jakby bóg wicherów i burz przeciągał sieć pełną czarnych, skłębionych chmur w jakieś wybrane przez siebie miejsca, by tam je rozpuścić, zasłonić niebo, zagrzmiąć piorunami, lunąć deszczem, dmuchnąć huraganem i wzburzyć morze. W identycznie zagadkowy sposób dym przesunął się w ciągu dnia na zachód, by tam zniknąć zupełnie, jakby go horyzont wessał. „Zatonął” – zgodnie stwierdzili wieśniacy, choć w duszach ich została zasiana niepewność i strach przed nieznanym i tajemniczym, które kryły się za horyzontem.

Dopiero parę miesięcy później zagadka płonących na horyzoncie statków została rozwiązana. Tego późnojesiennego dnia, przy bezwietrznej pogodzie zapadka gęsta, aż puszysta od bieli mgła. Było to, oczywiście, niezwykle groźne dla statków, niemniej brak wiatru stwarzał nadzieję, że każdemu uda się tę mgłę przeczekać. Na wszelki wypadek zapalono dodatkowe światła w latarni morskiej, a także w regularnych odstępach czasu bito w wielki gong, którego przeciągły dźwięk przenikał najgęstszą nawet mgłę. I wówczas, około południa, ciemnego z powodu gęstości mgły, zdarzyło się coś dziwnego. Zbiegli się wszyscy na skarpe, na próżno wyężając oczy. W mlecznym powietrzu niczego nie było widać. Natomiast dobiegał ich z oddali jakiś dziwny łoskot, dźwięk jakiegoś do tej pory nie słyszeli na morzu, przypominający sapanie wielkiego zwierza albo raczej jakiegoś potwora, połączone z rytmicznymi uderzeniami jakby olbrzymich wiosł, czy może – płetw o wodę, a wszystko przy akompaniamencie zgrzytów, rzeżeń i kłaskań. Strach wszystkich ogarnął, bo przecież wiedzieli, że morza i oceany za horyzontem zamieszkują straszne potwory, które czasem i w te okolice przybywały, a ponadto takich odgłosów to jeszcze nigdy nie słyszeli. Kiedy już brali nogi za pas, dobiegł ich nagle złowrogi, przeciągły trzask, jakby pękło jakieś olbrzymie drzewo, połączone z zupełnie bliskim jękiem oraz krzykiem dziesiątków niby ludzkich głosów, a mgłę przebił snop iskier i czarnego dymu. Uciekający w panice wieśniacy nie mieli już żadnych wątpliwości – to był ten zapowiedziany w przeszłości diabeł, który miał przybyć na miejsce ich Madonny.

Zapowiedź tę znamy jedynie z legendy, którą na początku dwudziestego wieku zanotował niestrudzony badacz kaszubszczyzny, F. Lorenz. Jest w niej mowa o przebiegłej i na szczęście wcześniej i w samą porę wykrytej próbie zmylenia miejscowych wieśniaków przez samego Belzebuba, który nie ustaje we wciąż ponawianych zakusach na dusze ludu Matki Boskiej. Ostrzec ich miał przed tym sam święty Wojciech i być może przepowiednia ta ma pewien związek z „tajemnicą”, jaką wyjawić miała wieśniakom głowa świętej Barbary. Przy pierwszej próbie miał diabeł przybrać postać św. Wojciecha, wiedząc o tym, że w tych stronach oczekiwano na ponowne przybycie biskupa-misjonarza. Przybrawszy szaty biskupa, wypłynął z morskich głębin, gdzie się zwykle czai (ma się rozumieć – za horyzontem), na brzeg w okolicach Rozewia. Ostrzeżeni w porę wieśniacy nie dali się zwieść, tym bardziej że pod biskupią szatą wykryli rybią łuskę. Schwytali więc diabła i zarąbali go siekierami. Odcięli upiorną, rybią głowę, by odkryć, że zamiast krwi, to śmierdząca żółć płynęła w jego żyłach; wypruli mu trzewia, po czym ohydne szczątki wrzucili do kosza latarni morskiej i tam je spalili, potrząsając od czasu do czasu, by wiatr rozwiął gorący popiół jak najdalej. Warto dodać, że w legendzie tej nie brak i elementu prawdy: stare kroniki odnotowały, że latem 1438 roku rzeczywiście wyłowiono w tych okolicach „morskiego

biskupa” – dziwnego potwora, przypominającego człowieka odzianego w szaty biskupie. Pokonany tym razem Belzebub nie dał, oczywiście, za wygraną, o czym wieśniacy jeszcze nieraz mieli się przekonać. W tych stronach wojna ze Złem toczy się zresztą do dziś.

Tak więc kiedy mieszkańcy wioski usłyszeli we mgle potwora, kiedy ujrzeli iskry i dym – nie mieli żadnych wątpliwości: było to ponowne przybycie diabła. We wsi wybuchła panika: w gęstej mgle wieśniacy wpadali jeden na drugiego, przewracali się, ranili; w ucieczce do pobliskiego lasu rodziny pogubiły się, dzieciaki darły się wniebogłose i jeszcze przez całą tę straszną noc słychać było płacz, lament i nawoływania. Dopiero następnego dnia, kiedy mgła opadła, wrócili do swych domów, bo przecież i tak nie mieli dokąd uciekać, a najbliższy kościół, w którym przed Złem można by się schować, był w Strzelnie. Po pewnym czasie, ośmieleni ciekawością, zbitą gromadką poszli na skraj skarpy. To, co ujrzeli, zdumiało ich niezwykle: na jednej z pobliskich mielizn leżał przechylony na bok, wciąż sapiący cicho potwór. Był to statek, jakiego jeszcze dotąd nie widzieli. Miał on wprawdzie maszty, ale żagli nie było widać. Pośrodku śródokręcia natomiast sterowały dwie wielkie okopcone rury, z których niczym z nozdrzy potwora wylaływał, dym, wzbogacany czasem snopem iskier. Po zwyczajnym pokładzie krzątali się jednak zwyczajni ludzie, więc można było odetchnąć z ulgą, bo to był ludzki, a nie diabelski statek. Po obu stronach przy burtach statek ten miał dwa olbrzymie koła, podobne do młyńskich, z których jedno – jak się można było tego domyślić – zaryte było w piachu, a drugie, podniesione przez przechył, obracało się niezdarnie w powietrzu, nie mogąc sięgnąć wody. Wnętrze statku dudniło i sapało, a cały kadłub trząsał się, jakby więził jakąś potężną siłę. Z ruchu na pokładzie wieśniacy zorientowali się, że załoga zajęta była przenoszeniem ładunku na jedną stronę, tę wysuniętą nad powierzchnią morza. I rzeczywiście, sposób ten sprawdził się, gdyż po paru godzinach statek jakby odzyskał równowagę, zadudnił z dodatkową energią, koła załopotały szybciej, gwałtownie bijąc łopatkami o wodę, z „nozdrzy” sypnęły iskry i poszedł czarny dym, po czym statek drgnął i powoli uwolnił się z mielizny. Wieśniacy nie wierzyli własnym oczom: dymiąc, dudniąc i sapiąc statek płynął do tyłu! Następnie stanął i obierając właściwy kurs ruszył w kierunku Helu, zostawiając za sobą spieniony kilwater i ukośny skup gęstego dymu, który wkrótce owionął stojących na skarpie wieśniaków.

Początek końca wioski przypadł jeszcze na czasy przed pojawieniem się statków parowych. Tak się złożyło, że dzięki przypadkowej zachciance czy kapryswi przejeżdżał przez tę wioskę – latem 1772 roku – nowy pan tej ziemi, jeden z rozbiorców Polski, Fryderyk II. Ponieważ w podziale ziem Rzeczypospolitej (sąsiadom Polski weszło to w nawyk) przypadło mu również Pomorze Gdańskie (lecz bez Gdańska, a co za tym idzie i bez części Półwyspu Helskiego), niedługo po podpisaniu układu rozbiorowego w Petersburgu, wyruszył Fryderyk – już jako król pruski, a nie „na Prusiech” – na objazd zdobycznych prowincji. Chociaż wielu intelektualistów tej oświeconej epoki, z Wolterem na czele, rozbiór Polski uznano za zbawienny, za dyplomatyczne arcydzieło króla-filozofa-poety, to jednak przejazd Fryderyka przez wioskę leżącą w pobliżu przylądka Rozewie nie wywołał tam ani szczególnego entuzjazmu, ani nawet jakiegokolwiek zainteresowania. Być może przeszedłby w ogóle nie zauważony, tym bardziej że nie wiązał się z żadną katastrofą, gdyby nie nagła decyzja króla, żeby zatrzymać się w tej wiosce, wyróżniającej się wśród innych dziwnym strojem i rasą mieszkańców. Wystarczyło to w zupełności, by zaciekawić jadącego kareta, znudzonego Fryderyka, dla którego zarówno sprawy celne (np. import sukna i strojów z zagranicy), jak i rasowe (był w tym prekursorem szkoły niemieckiej), miały wielką wagę. Król wysiadł z karety i w otoczeniu świty – w której mógł również być Daniel Chodowiecki, który ze szpicownikiem w ręku rejestrował objazd króla na wzór dzisiejszych fotoreporterów – spacerował się po wiosce w swym nieodłącznym, jasnoniebieskim wojskowym fraku i z trikornem na głowie (tak więc swym strojem niczym nie wyróżniał się od wieśniaków, a nawet mógł uchodzić za jednego z nich). Doszedł na sam skraj skarpy, gdzie stała mocno już przekrzywiona latarnia morska, której los był przesądzony: nie ulegało bowiem wątpliwości, że przy najmniejszym obsunięciu się urwiska, runie i ona. Obejrzał też punkt obserwacyjny „morskich ratowników”, kościółek i cmentarz, którym też groziła już wówczas zagłada. Na koniec zażyczył sobie pogawędkę z wieśniakami, których zgoniono przed królewski majestat. Mówili oni dość dziwnym językiem, którego nikt z otoczenia króla nie rozumiał. Na szczęście okazało się, że wieśniacy znają trochę niemiecki, choć zapytani przez króla, odpowiadali bez sensu, pytając najpierw o jakiegoś kapitana, a następnie zapewniając Fryderyka, że jemu i jego towarom nic tu nie grozi. Zapytali również króla, kiedy ten

zażywał tabaki, czy aby nie ma korzeni indyjskich na sprzedaż, za co mogą mu dobrze zapłacić. Król kichnął donośnie i wypowiedział głośne później słowa: „Biednych tych Irokezów będę się starał oswoić z cywilizacją europejską”.

Historycy niemieccy (i nie tylko) chętnie cytowali i cytują to właśnie zdanie, sądząc, że porównanie do „Irokezów”, czyli nieokrzyszczonych dzikusów, dotyczy wszystkich Polaków i że w tych słowach wyraziła się z jednej strony bezgraniczna pogarda Fryderyka dla nich, z drugiej zaś jego wola uczynienia z nich (tj. Polaków pod zaborem pruskim) ludzi cywilizowanych poprzez zbawienny wpływ kultury niemieckiej. Jest jednak rzeczą oczywistą, że Fryderyk miał tu na myśli tylko mieszkańców tej wioski, którzy na skutek swej rasowej odmierności [jak pamiętamy, Helmold już w dwunastym wieku pisał o „czerwonej cerze” tego właśnie ludu, patrz wyżej, s. 90 – przyp. aut.] – i być może strojów – skojarzyli się mu z „Irokezami”. Natomiast nie jest rzeczą oczywistą, czy król zaszedł do kościółka i czy zobaczył kaszubską Madonnę, a jeśli tak, to czy wywarła ona na nim jakiegokolwiek wrażenie (Fryderyk nie miał słabości do pięknych kobiet). Wiadomo jedynie, że stała w tym samym od wieków miejscu jeszcze latem następnego roku. Wiadomo również, że narzędziem krzewienia kultury i cywilizacji wśród „Irokezów” miał być zgodnie z dalekosieżnymi planami Fryderyka –język niemiecki, poparty wprowadzaną na siłę uprawą kartofli (Polska do dziś jest największym na świecie ich producentem). Oczami wyobraźni widział Fryderyk „Irokezów” wszystkich nacji mówiących nie we własnym narzeczu, nie po angielsku ani nawet po francusku, lecz właśnie po niemiecku. Nie wziął tylko pod uwagę tego, że kaszubska Madonna nie będzie się chciała uczyć niemieckiego.

Jak już wspomniano wyżej, intelektualna elita Europy z radością i uznaniem zareagowała na pierwszy rozbiór Polski, którego mózgiem był niewielki człowiek pragnący wielkich Niemiec. Również i akcja cywilizacyjna, jaką Fryderyk natychmiast zainicjował, znalazła poparcie wielu świątłych ludzi i nie kto inny, a sam Johann Wolfgang Goethe napisał entuzjastyczny tekst pod tytułem „Vorschlag zur Einführung der deutschen Sprache in Polen...”, będący pochwałą konieczności zgermanizowania Kaszubów. Natomiast mieszkańcy wioski nie bardzo orientowali się w tym, co zaszło, nie mówiąc już o tym, że nie byli w stanie przewidzieć konsekwencji polityki nowych władz wobec ludności na zagarniętych ziemiach. O wiele wcześniej poczuły to na własnej skórze święte mniszki z Żarnowca, którym odebrano prawie wszystkie uprzednie nadania w ramach sekularyzacji dóbr kościelnych (jeszcze w 1772 roku). W 1810 roku wprowadzono zakaz przyjmowania nowych postulantek, w 1834 zgromadzenie skasowano, a ostatnia siostra umiera w 1866, po dziesięciu latach samotnego życia na łasce wsi [obecne benedyktynki pochodzą z Wilna, skąd przybyły w 1946 – przyp. J.L.]. Natomiast wieśniacy spod Rozewia żyli przez pewien czas po dawnemu, nie wadząc nikomu i z wielkim poświęceniem pełniąc swoją powinność. Dlatego też pierwsze zetknięcie z nowymi prawami spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Otóż w ramach zaprowadzenia nowego porządku publicznego, co było konieczne na tych dzikich terenach, nakazał Fryderyk schwytywanie wszystkich włóczęgów, żebraków i tak zwanych ludzi luźnych, czyli głównie Cyganów i Żydów (tych ostatnich chorobliwie wprost nienawidził). Oddziały policji i żandarmerii zaczęły przeczesywać całą prowincję, zwaną już Prusami Zachodnimi, no i jak tylko wkroczo do tej właśnie wioski, żniwo było obfite, natychmiast bowiem pojmano wszystkich o śniadej karnacji jako ukrywających się Cyganów i Żydów. Potwierdzeniem podejrzeń policmajstra, który dowodził niewielkim oddziałem z Pucka, była pstrokata odzież tych osobników, pochodząca niewątpliwie – jak sądził – z kradzieży. Na tych, którzy schronili się w lasach urządzono później obławę. W ten to bezceremonialny sposób uwięziono blisko połowę mieszkańców i wśród lamentu i płaczu wywieziono ich w nieznanym kierunku w trzech wozach z kłatkami, w jakich zwykle, przewoziło się bydło. Można przypuszczać, że nieszczęśników tych, a także wielu innych z całej prowincji, dla wyższych, cywilizacyjnych celów zamieniono w niewolników i zatrudniono przy budowie kanału bydgoskiego, gdzie ludzie, a zwłaszcza dzieci, marli jak muchy. W każdym razie słuch po nich zaginął.

Po tym ciosie wyludniona wioska nigdy już nie przyszła do siebie, ale i tak co rusz spadały na nią następne klęski, które na myśl przywieść mogą jedynie los biblijnego Hioba albo plagi egipskie. Z całą pewnością mieszkańcy nie rozumieli, jak do tego mogło dojść. Fale nie mogły im tego wytłumaczyć, z księgi morza nie potrafili niczego wyczytać, a ich Madonna milczała alabastrową ciszą i tylko brakująca dłoń błogosławieństwa stawała się coraz bardziej widoczna. Nagłą ingerencję świata zewnętrznego, której do tej pory nie brali nawet pod uwagę, uznali za sygnał rychłego końca świata. Ten nastąpił nieco

później, gdy wraz z zawaleniem się starego kościółka, który runął w dół skarpy, zniknęła kaszubska Madonna.

Jeszcze w osiemnastym wieku wspomina o niej Daniel Chodowiecki w liście z lata 1773 roku do swej wielkiej przyjaciółki, księżnej Christiany von Solms-Laubach. Jest to właściwie impresyjny opis rzeźby, która zachwyciła tego znanego i dziś artystę w ubogim kościółku na przylądku Rozewie, będący *de facto* załącznikiem do rysunku, niestety zaginionym (chcemy jednak wierzyć, że znajdzie się on kiedyś w zbiorach rodzinnych wspomnianej księżnej, o ile wiadomo do tej pory nie skatalogowanych). W opisie tym czytamy między innymi: „...powiadam ci, droga przyjaciółko, czegoś tak pięknego jeszcze nie widziałem. Jest to twarz, która urzeka wprost dziewczęcym wdziękiem. Twarz ślicznej dziewczyny, jaką i tu, na tym odludziu, można – ku mojemu zaskoczeniu – czasem napotkać. Jej przymknięte, jakby nieco wstydlive oczy; te loki, wystające spod chusty, opadające na ramiona i ten jeden, co figlarnie wychylił się spod chusty na czoło. Gdyby nie dość sztywne, blaszane potraktowanie szat; byłbym przysiągł, że to dzieło któregoś z wielkich mistrzów sprzed, powiedzmy, 200 lat, ale miejscowy ksiądz zapewniał mnie, że ta Madonna stoi tu – w tym dość ponurym kościółku, na samym skraju wysokiej, zżeranej przez morze skarpy – od połowy czternastego wieku! Wierzyć się nie chce, bo jest to piękno na wskroś współczesne! Trochę mi przypomina tę Marię z Dzieciątkiem z katedry w Lubece, cośmy ją razem podziwiali, pamiętasz? Ale ta twarz jest nie tylko ładniejsza, ale i jakby bardziej... ludzka. Wiesz, w jakimś dziwnym sensie jest ona też... słowiańska, w tym dobrym znaczeniu, jak ta piękna Polka z Bambergu, w której kamiennym uśmiechu artysta uchwycił całe ciepło słowiańskiej miłości. Nie, nie będzie bluźnierstwem powiedzieć, że to twarz bardzo ludzka. Wiesz, droga przyjaciółko, to nie jest twarz idealizowana, to portret, a nawet więcej: to portret wykonany przez znakomitego i zakochanego artystę. Ciekawe, kim on? Ksiądz mówi, że wedle tutejszej legendy, rzeźba ta przyplłynęła zza morza, a wiozł ją jakiś wielki królewicz, co to do Krzyżaków podążał. Matce Boskiej wcale się ten pomysł nie podobał – nie chciała do Krzyżaków, no i pozbawiony Jej łaski okręt rozbił się, właśnie w okolicach Rozewia, a piękna rzeźba w cudowny sposób przeniesiona została na ląd. W obliczu cudu królewicz – który jednakowoż ocalał – pozostawił ją w darze mieszkańcom wioski, którym Matka Boska się wnet ukazała sama i nakazała, by nigdy nie zaniedbali swej powinności, tzn. ratowania rozbitków. No i tym się zajmują od wieków, z prawdziwie – jak słyszałem – chrześcijańskim poświęceniem, bo wiele statków w czasie niepogody tutaj się rozbija. A i zysk z tego czerpią niemały, choć król tego ostatnio zabronił i słyszałem, że skarby zakopane mają, ale może to tylko takie ludzkie gadanie, bo żyją bardziej niż skromnie i wyróżnia ich tylko dziwaczny ubiór i równie dziwna mowa. Mniejsza z tym. Przypatrz się, proszę, dobrze temu rysunkowi, jak już wspomniałem, czegoś tak cudownego jeszcze nie widziałem i ten czar – prawdziwie niebiański – z wielkim trudem udało mi się uchwycić. Ciekaw jestem, jak by sobie z tym Cuningham poradził, bo on to niby specjalista od pięknych kobiet...” Tyle Chodowiecki. Z jego relacji zupełnie nie wynika, żeby w życiu mieszkańców wioski zaszły w osiemnastym wieku jakiegokolwiek istotne zmiany. Widzenie artysty okazało się w tym przypadku bardzo powierzchowne. A kryzys właśnie wtedy przyszedł, a jego zwieńczeniem stała się fizyczna zagłada wioski i jej mieszkańców.

O ile utrata niepodległości przez Polskę przeszła prawie niezauważenie, to nowe prawa oświeconego zaborcy okazały się bardziej niż dokuczliwe. Pomijając już zdziesiątkowane wioski w ramach akcji oczyszczania Prus Zachodnich z ludzi „luźnych”, to równym zaskoczeniem był pobór do wojska – przymus za czasów Rzeczypospolitej szlacheckiej w tych stronach nie znany. Od tego czasu Kaszubi brali udział we wszystkich ważniejszych wojnach europejskich, i to pod różnymi banderami. Na domiar złego mężczyźni z wojska prawie nigdy nie wracali, chyba że mieli na tyle szczęścia, że zanim zdążył ich ktoś zabić, udało im się na wojnie stracić nogę albo rękę, że wybito im oczy albo odrąbano szczękę. Wówczas wracali, wynędzniali, kalecy i wioska w coraz większym stopniu przypominała jakiś ponury lazaret, panoptikum świata, gdzie nikomu już niepotrzebni ludzie, a właściwie to odrażająco zniekształcone ciała, w których przez czyjeś zapomnienie tliło się jeszcze życie, czekali na litościwą śmierć. Ponieważ wiedzieli, że podobnie jak słońce, śmierć mieszka w morzu, można było tych ludzi zdeformowanych na bitewnych polach dalekiego świata zobaczyć, jak czekają na jej nadejście na brzegu, jak z szumu fal wyczytują jej miłosny szept.

Zanim jeszcze byt wioski i jej mieszkańców definitywnie przekreśliły parowce, okrutne prawo zachwiało ich wiarę w możliwość przetrwania i doczekania ponownej łaski kaszubskiej Madonny. W tym przypadku padli ofiarą nieporozumienia, ściślej – przeoczenia, Fryderyk Wielki bowiem wydając

dekret przeciw modłom o „błogosławiony brzeg”, ludności nad morzem mieszkającej zakazał również organizowania wszelkich akcji „ratowniczych” (żeby uniknąć rabunków), chyba że będą o to proszeni przez wyznaczonych do tego celu strażników. Oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko przekreślenie wielowiekowej tradycji, a co więcej, dla mieszkańców wioski było równoznaczne z utratą wolności (ta była im przecież dana przez Świętopełka i Kazimierza Jagiellończyka tylko pod warunkiem, że będą nieść pomoc potrzebującym). O ile powstaniu statków z żelaza i maszyn parowych miejscowi przeszkodzić nie mogli, to jednak przeciw tak radykalnemu ograniczeniu tradycji i dla ratowania własnej wolności stawili mężny, choć desperacki opór. W tych stronach zresztą zawsze walczy się mężnie i desperacko. Choć wcióż ponawiane próby nawrócenia ich na protestantyzm i zastąpienia rodzimego języka niemieckim, a także zmuszanie ich do uprawy i spożywania kartofli były z góry skazane na niepowodzenie, to jednak wszelkie próby łamania prawa miały daleko idące konsekwencje.

Dość niefortunnie złożyło się, że powołany w okolice Rozewia strażnik morski pochodził z Pucka i natychmiast zwietrzył święty interes. Otóż zamiast zorganizować ekipę ratowniczą składającą się z miejscowych mieszkańców, zorganizował on szajkę najwykleszych rabusiów, którzy nie tylko nie wypływali na morze, by ratować tonących, ale i uratowanych rozbitków topili, ażeby nie mieć świadków. Ci bezwzględni ludzie zabronili mieszkańcom zapalać ogień w latarni, a gdy zakazy i groźby nie pomogły i ci nadal czynili swoją powinność, pochylił już ze starości latarnię, której nie miał kto naprawić, a tym bardziej obronić, po prostu zepchnięto ze skarpy. Skargi, z jakimi poszli do Pucka, nie zostały wysłuchane, a stare dokumenty, pokazane urzędnikom, zostały zatrzymane i przypuszczalnie zniszczone. Doprowadzeni do desperacji, gdy już nic nie pomogło, uciekli się do ostateczności – obcego strażnika zabito, a jego zdeorientowanych obrotem spraw rzezimieszków przegoniono. Przez pewien czas był spokój i mieszkańcom zdawało się, że wreszcie ich los się odmieni i Przenajświętsza Paniienka ponownie weźmie ich pod swoją opiekę. Na powrót palono wielkie ogniska (wobec braku latarni, bo tę zbuduje się dopiero w 1821 roku), a w razie potrzeby ratowano z podziwu godnym poświęceniem rozbitków na morzu. Po pewnym jednak czasie przybyło z Pucka czterech policjantów, którzy aresztowali większość zdrowych mężczyzn, z których później kilku – jako winnych „barbarzyńskiego zabójstwa królewskiego strażnika” – osądzono i powieszono. Opisano to również w niemieckiej prasie jako przykład zacofania i bezprecedensowego okrucieństwa wykazanego przez „ofiary ucisku polskiej ciemnoty szlacheckiej” (czytaj: chłopów), szczegółowo rozpisując się na temat bestialstwa, z jakim owego strażnika zabito. Jeśli wierzyć tym relacjom, a są one do wglądu w Czytelnicy Naukowej Biblioteki Gdańskiej, to łotrzyka tego najpierw topiono parokrotnie w morzu, ale w ten sposób, by go przy życiu utrzymać, a następnie ukamienowano na plaży (do dziś w Rozewiu kamienistej), gdzie też ciało pozostawiono. Żaden oczywiście z oburzonych pismaków (za którymi zdarzenie to wykorzystywali dla swych celów historycy) nie wpadł na to, że kara poniesiona przez strażnika-złoczyńcę była całkowicie zgodna w szczegółach egzekucji z odwiecznym prawem zwyczajowym (patrz art. 28 Roles d’Oléron, cytowany na s. 86).

Wobec działań represyjnych wieśniacy zrezygnowali z czynnego oporu, natomiast z biernego – nigdy. W tym kontekście jeszcze donośniej i wymowniej brzmiały słowińskie czy kaszubskie modły wznoszone do pięknej Madonny, której niepełny, bo przecież odłamany gest błogosławieństwa nabierał zupełnie nowego znaczenia, nie, bójmy się rzec – symbolicznego. Tak, Jej lud został wystawiony na wielką próbę, do dziś nie zakończoną, której kres – jak wierzą – tylko Ona może przynieść ponownym objawieniem swej obecności i łaski.

Parowce, jak wiadomo, miały znacznie większą moc od żaglowców, nie mówiąc już o tym, że były od wiatru niezależne, więc ich coraz potężniejsze, stalowe kadłuby bez trudu przebijają się przez największe nawet bałtyckie fale. A ponieważ nocą i podczas mgły wspomagała je z daleka widoczna latarnia morska, o katastrofach w dawnym stylu właściwie nie mogło być mowy, z wyjątkiem małych przybrzeżnych żaglowców i łodzi rybackich, dla których morze wciąż było groźne. Trudno się więc dziwić, że bieda z nędzą zadrzały do stosunkowo zasobnej dotychczas wioski i zamieszkały tam na dobre. Brak „bajtów” – jak w tych stronach nazywa się wszelkie „dary” wyrzucone przez morze – nie był jednak czymś szczególnie dokuczliwym. Owszem, zabrakło nowych strojów, lecz stare można było załatać czy zesztukować. Najstraszniejsze było zerwanie odwiecznej tradycji, przez co wieśniacy stracili poczucie sensu życia, podobnie jak kiedyś rycerze, kiedy zabrakło już pogan. Wprawdzie doskwierał im brak kawy, tytoniu i wschodnich korzeni, w których tak bardzo zasmakowali, ale można przecież było wyżywić się z tego; co dawało morze, ziemia i las. Znalezione bursztyny też można było czasem

wymienić z coraz tu rzadziej przyjeżdżającymi kupcami. Jednak o wiele bardziej dokuczliwe było poczucie osamotnienia oraz pogłębiającej się izolacji od świata. Wprawdzie świat dał się im poznać z jak najgorszej strony i czuli do niego głęboką niechęć, to jednak przywykli do tego, że ten czasem tak przerażający świat przypominał o swym istnieniu i jego okrucy wyrzucały na brzeg morskie fale. Przywykli też do rozbitków, ludzi, którzy przybywali „stamtąd”, spoza horyzontu, i swymi opowieściami uzupełniali wiedzę wieśniaków na temat bieżących wydarzeń i zmian w tym coraz bardziej skomplikowanym świecie. Teraz to się urwało i o istnieniu „tamtego” świata przypominały jedynie dymy statków przesuwające się po horyzoncie. Pograżeni w rozpacz i biedzie, powoli zapominali o tym, co już im o tym świecie opowiedziano, a ze strzępów pamięci układali legendy i mity o ludziach i potworach żyjących gdzieś tam.

Może należało o tym wcześniej wspomnieć, ale rozgraniczenie świata, w którym żyli i tego za horyzontem, znalazło ciekawe odbicie w ich języku. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez amerykańskiego językoznawcę B.T.Thatawaya, w „rozewiańskim” powstały dwa różne pojęcia „ludzi”: pierwsze („ludze”) oznaczało tylko mieszkańców wioski i było – wbrew zasadom w innych językach – rzeczownikiem policzalnym, natomiast drugie („topacze”) oznaczało przede wszystkim „topielców” bądź „rozbitków”, tych faktycznych i – co ciekawe – tych, co dopiero nimi być mogą, a więc *eo ipso* wszystkich innych ludzi poza miejscowymi. Był to, ma się rozumieć, rzeczownik niepoliczalny i jak wynika z badań wspomnianego uczonego, używany był synonimicznie z określeniami potworów z baśni, a także wszelkimi stworami czelkoksztalnymi, a nawet nieżywoymi – jak lalki. W zasłyszanej przez Thatawaya opowieści o uratowanym z katastrofy szympanse czy gorylu (który płynął do Królewca) miejscowy latarnik również użył określenia „topacz”, podobnie jak w odniesieniu do wspomnianego już potwora, ryby-biskupa.

Najdziwniejsza jednak rzecz, świadcząca o zatrważająco szybko postępującej izolacji wieśniaków od świata, wydarzyła się na początku dziewiętnastego wieku, ściślej – jesienią 1807 roku, kiedy to na skutek gwałtownej burzy zatonięło w okolicach przylądka Rozewie kilkanaście [sic!] statków francuskich. Prawdę mówiąc, to w 1807 roku wykryto coś, co zdarzyć się musiało znacznie wcześniej, ale współczesnych źródeł po prostu nie ma. Otóż powszechnie wiadomo, że często archeolodzy – przy braku ściślejszych danych – określają minione cywilizacje czy kultury według techniki grzebania zmarłych. W tym przypadku, gdyby na czas znaleźli się na miejscu, z całą pewnością stanęliby przed nie lada zagadką. Kto wie, czy – gdyby zdążyli, zanim morze zatarło wszelkie ślady – ich odkrycia nie byłyby rewelacją na skalę światową. Szansa na to została jednak raz na zawsze zaprzepaszczona.

Jest rzeczą oczywistą, że wielu uratowanych rozbitków było tak wycieńczonych walką z żywiołem i strachem, a także przerażającym widmem śmierci, że wkrótce po wyjściu z opresji cało – umierało. Inni, z kolei, byli już martwi, zanim ratunek przybył. Ich spuchnięte ciała, oplecione wodorostami niczym cmentarnym bluszczem, wyrzucało czasem na brzeg morze, niekiedy nawet po parunastu dniach od katastrofy. Sprawą mniej oczywistą jest to, że tych wszystkich nieszczęśników grzebano na cmentarzu przy kościółku, gdyż tylko ciała nielicznych zabierała rodzina, krewni czy przyjaciele, by je pochować w mieście czy na cmentarzu innego wyznania. Tradycja miejscowa bowiem nakazywała – za podszeptem kaszubskiej Madonny – by każdemu „topaczowi”, bez względu na wyznanie i rasę, sprawić taki sam pochówek. Leżeli więc obok siebie i żydzi, i mahometanie, i chrześcijanie, leżał też Chińczyk i Murzyn i Indianin, w skromnych grobach z drewnianymi krzyżami spoczywali Rosjanie, Szwedzi, Holendrzy, Polacy, Szkoci i Hiszpanie, i wielu, wielu innych. To właśnie z tego powodu cmentarz był o wiele większy, niż można się było tego spodziewać po względnie niewielkiej wiosce i w pewnym sensie – jak to niejeden z rozbitków zauważył – to cały świat był tam pochowany. W ich stosunku do zmarłych rozbitków również zaznaczała się odmiennosc mieszkańców tej wioski. Należy bowiem przypomnieć, że w wielu miejscach na świecie odmawiano chowania rozbitków w święconej ziemi, a to przynajmniej z dwóch powodów: po pierwsze, wierzono, że rozbicie statku spowodowane jest „grzechem” pasażerów czy załogi, a po drugie, ci, którym nie udało się wyjść z katastrofy z życiem, nie otrzymali również ostatniego namaszczenia, przez co porównać ich można było z samobójcami. Prowadziło to do częstych konfliktów z władzami kościelnymi, które zalecały jednak, ażeby – mimo wszystko – chrześcijan chować w ziemi poświęconej. Tu chowano w niej wszystkich.

Wraz z zawaleniem się kościółka, którego spękana bryła rozpadła się któregoś dnia (dokładnie kiedy – nie wiadomo) i z wielkim hukiem i łoskotem stoczyła się po klifie, wbijając się olbrzymimi blokami cegieł w piasek i wodę, zniknęła kaszubska Madonna, a także przyszedł kres na cmentarz. Można przypuszczać, że obsunięcie północnej ściany kościoła spowodowało zawalenie sklepienia, którego resztki wraz z południową ścianą sterczały jeszcze przez czas jakiś jak mur zburzonej fortecy z wyszczerbionymi blankami, lecz i na to gruzowisko nadszedł koniec i śladu nie pozostało po kościółku, a dzisiaj to nawet i resztek cegieł nie można przy brzegu znaleźć. Najdłużej abrazji opierał się cmentarz. Osuwający się piasek odsłaniał coraz to nowe szeregi grobów, a zmurszałe trumny sterczały najprzód niczym podziemne belkowanie wspierające trawiasty i zakrzewiony, mocno nachylony strop, po czym wraz z zawartością zsuwały się po stromiźnie, koziółkując i roztrzaskując się o kamienie i wystające korzenie. Trwało to, oczywiście, latami i wyznacza okres ostatecznego upadku wioski, w której nie było już nikogo, kto by zdołał temu nieszczęściu zapobiec, czy choćby sponiewierane szczątki uprzętać. Od strony morza wyglądało to dość upiornie: wysoka, stroma skarpa, z odsłoniętymi na szczycie komorami grobów, z których niektóre były już puste niczym oczodoły, inne zaś straszyły sterczącymi trumnami; natomiast cała stromizna usłana była ludzkimi szczątkami, które wysuwając się z rozlatujących się, koziółkujących trumien, zahaczały o nierówności terenu, chwytaly się szerniałymi członkami o korzenie, tworząc w ten sposób jakiś potworny wodospad czy kaskadę rozkładających się zwłok, nagich szkieletów, piszczeli, czaszek, połamanych kości. Na samym dole utworzyło to wszystko cały stos, który cierpliwie wciągały w głąb morza fale, zgarniając tych, których im kiedyś wyrwano.

Ostatni z mieszkańców chodzili jeszcze czasem na skarpe i patrząc z odrazą i przerażeniem na ponury widok poniżej, myśleli o końcu świata, który przyszedł zbyt nagle, gdyż przez jakąś kosmiczną, koszmarną pomyłkę groby otwarto za wcześnie, zanim jeszcze doszło do wskrzeszenia zmarłych. Tym jednak razem mieli złudzenie, że koniec świata już nadszedł. A było to tak: jesienią 1807 roku wybuchł straszny sztorm, taki jakich nawet najstarsi nie pamiętali. Podczas tej upiornej nocy zatonała cała flotylla francuskich statków, złożona z kilkunastu jednostek. Jeden czy dwa wyrzuciły bałwany na brzeg w okolicach Chłapowa, a jeden – o nazwie „Prorok Ezechiel” – zatonął tuż przy Rozewiu. W tym czasie wieśniacy nie trudnili się już ratowaniem rozbitków, nocnej straży też nie trzymali, a ogni nie było komu palić, więc o tej straszej katastrofie nawet nie wiedzieli. Kiedy następnego dnia poszli pod wieczór niewielką grupką na skarpe, ujrzeli widok, który uznali za cud, a właściwie za znak i omen nieuchronnego końca świata. Otóż wśród zwalonych w upiornym beładzie szkieletów i szczątków ludzkich z cmentarza ujrzeli paręnaście nagich bądź półnagich, obrośniętych już mięsem i skórą zmartwychwstańców. Wielka tarcza zachodzącego słońca rozpuszczała się w gładkim, srebrzystym morzu, zabarwiając wodę na złoty kolor i wkrótce morskie prądy i krótkie, szybkie fale przyniosły rozmazane słońce na brzeg, złoćąc szerokie połacie wilgotnego piasku. W tej złotej poświacie ciała i szkielety rozrzucone w zastygłych pozach wyglądały ze skarpy jak wielka kompozycja, jakaś olbrzymia ikona przedstawiająca Sąd Ostateczny. Padli więc wszyscy na kolana i modlili się żarliwie do nie widzianej już od dawna Matki Boskiej, czekając na wskrzeszenie reszty zmarłych i dopiero po długim czasie, kiedy na dole nie było żadnego ruchu, zorientowali się, że to morze wyrzuciło topielców. Nieszczęśników tych nikt już nie grzebał i po pewnym czasie upodobnili się do swych cmentarnych towarzyszy, a później pochłonoło ich na powrót morze.

Tak się jednak złożyło, że nie wszyscy rozbitkowie z „Proroka Ezechiela” zginęli. Trzech z nich, na przykład, śmiertelnie wycieńczonych i na pół przytomnych z przerażenia, dowlokło się do Chłapowa, skąd ich przewieziono na posterunek policji w Wielkiej Wsi, a stamtąd do Pucka. Jak zgodnym chórem ocenili policmajster i lekarz wojskowy, którego wezwano, straszne przeżycia odebrały biedakom rozum. Francuzi bowiem twierdzili w gorączce, że z morza wyciągnęła ich na brzeg kamienna Matka Boska i że cały pas wybrzeża, gdzie się znaleźli, usiany jest trupami ich towarzyszy, a także szczątkami ludzkimi z cmentarza na skarpie i przypomina bardziej piekło niż okolicę zamieszkaną przez ludzi. Twierdzili również, że na ich oczach potężny odcinek skarpy się zapadł i na dół spadły dalsze trumny, z których jednak zamiast ludzkich szczątków, wysypały się... manekiny. Policmajster nie bardzo wiedział, co to takiego te manekiny, a lekarz udawał, że wie, robiąc dobrą minę. Francuzi, przekrzykując się nawzajem, starali się wytłumaczyć, do czego wprowadzone ostatnio do salonów mody manekiny służą i jak wyglądają, ale ich próby spaliły na panewce, utwierdziły bowiem słuchających, że delikatne umysły francuskich paniczyków nieodwracalnie ucierpiały od tej specyficznie morskiej choroby. Wiemy o tym z raportu policmajstra do rady miejskiej, zachowanego w aktach Pucka w gdańskim archiwum (parę

kroków od Biblioteki). [Pomimo usilnych starań nie zdołałem tego raportu odnaleźć – przyp. J.L.] Z tego też raportu znamy również imiona i nazwiska tych trzech nieszczęśników, których po paru dniach przewieziono do Gdańska, a stamtąd najbliższym statkiem popłynęli do Francji.

Być może w tej historii nie byłoby nic szczególnego i można by ją w ogóle pominąć, gdyby nie fakt, iż jeden z tych młodych Francuzów, niejaki François Chappelle, został pisarzem i – jak się zdaje – przeżycia spod Rozewia stały się dlań natchnieniem dla opowieści grozy, jaką napisał około 1850 roku, a którą odkryto znacznie później i wydano dopiero w 1888 roku. Jest to dość typowa dla okresu „opowieść niesamowita”, jednak pewne jej cechy stylistyczne, a także i wyobrażenia autora, skłoniły krytyków do okrzyknięcia jej jako rewelację i dzieło „symboliczne”, zbliżone do utworów Kafki, Schulza czy też Borgesa. Ponieważ utwór ten, „Wioska manekinów”, został już szeroko i u nas omówiony, nie ma potrzeby wnikania w szczegóły. [Na ślad tej powieści nie udało mi się natrafić – przyp. J.L.] Przypomnijmy jedynie, że również i tam trzej rozbitkowie uratowani zostają z topieli przez tajemnicze morskie bóstwo, z wyglądu przypominające nieco gotyckie piękne Madonny, by znaleźć się w niesamowitej wiosce, zamieszkannej przez manekiny, które zamykają ich w klatkach i traktują podobnie, jak my traktujemy zwierzęta. Wszelkie próby ucieczki nie zdają się na nic. Zresztą nie ma dokąd uciekać: wioska otoczona jest zewsząd nieprzebytymi bagnami, a ucieczka przez morze nie wchodzi w rachubę. Powoli trójka przyjaciół oswaja się z niecodzienną sytuacją, poznają mowę i obyczaje manekinów. Po kilku latach spędzonych w niewoli przestaje ich już dziwić odrażający wygląd manekinów, które wraz z upływem czasu stają się coraz bardziej „ludzkie”. Nie byłaby to zapewne powieść francuska, gdyby nie mieścił się w niej wątek romansowy: jest tam wielka miłość jednego z rozbitków do pięknej manekinki. Kiedy trójce przyjaciół udaje się w końcu zbiec, a zdomowiwszy się tam, uciekają niejako „dla zasady” i w pewnym stopniu na przekór sobie, i docierają do ludzi, okazuje się, że ludzi, jakich znali z przeszłości, już nie ma i że cały rodzaj ludzki przeobraził się w manekiny, które ich – którzy zachowali przecież ludzkie twarze – traktują jak straszne, zwyrodniałe maskary, poddawane ciągłym oględzinom i badaniom lekarzy i urzędników. W końcu umieszcza się ich w klatce i obwozi po miastach i miasteczkach, gdzie za opłatą można ich obejrzeć jako dziw natury. Nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, trójka przyjaciół postanowiła odnaleźć wioskę manekinów, gdzie – jak dopiero teraz to zrozumieli – poznali, co to prawdziwe szczęście. Uciekają niewielką łodzią żaglową i po pełnej niebezpieczeństw podróży, ponownie naprowadzeni przez morskie bóstwo, trafiają do wioski i tam – ku ich zaskoczeniu – okazuje się, że wszyscy mieszkańcy mają ludzkie twarze, a uroczą manekinka – wiernie czekająca na powrót swego ukochanego – okazuje się piękną kobietą. Tak, mniej więcej, w dużym skrócie przedstawia się fabuła tej głośnej książki. Dla nas jednak najważniejsze jest to, że zarówno w raporcie policmajstra, Hansa Roppla, jak w „Wiosce manekinów” Chappelle’a powtarza się motyw bóstwa morskiego o wyglądzie przypominającym gotyckie Madonny oraz motyw ludzi przeobrażających się w manekiny i odwrotnie.

Pewnym uzupełnieniem powyższej historii jest fakt, iż w „Rejestrze katastrof” („Casualty Book”) Lloyd’sa znajdujemy statek angielski „Swift Arrow”, płynący z Hull do Gdańska, który w połowie listopada 1805 roku został zaatakowany przez nie zidentyfikowany okręt francuski i zatopiony dwie mile od przylądka Rozewie. Wśród uwidocznionych w spisie towarów wiezionych przez „Swift Arrow”, znajdujemy „120 manekinów, naturalnej wielkości, dla firmy Blaumana w Warszawie”. Można zatem przypuszczać, że przynajmniej niektóre z nich wyrzuciło na brzeg morze i to właśnie te manekiny ujrzeli dwa lata później Francuzi wśród cmentarnego wysypiska. Nie można wszakże odrzucić i takiej ewentualności, że odwykli od ludzi wieśniacy, zdziwaczeli tak bardzo, że i manekiny wzięli za „topaczy” i zgodnie z tradycją pochowali je na wykruszającym się coraz bardziej cmentarzu. Kiedy abrazja skarpy posunęła się jeszcze dalej, to wraz z ludzkimi szczątkami wysypały się również i manekiny. I ten to niecodzienny widok zaskoczył i przeraził Francuzów, którym później nikt nie dawał wiary. Natomiast w znanych nam recenzjach i artykułach na temat książki Chappelle’a wątek autobiograficzny jest zupełnie przemilczany, a fabułę interpretuje się jako „wytwór bardzo nowoczesnej wyobraźni autora”.

Tymczasem wiosce groziła szybko postępująca fizyczna zagłada. Głód doskwierał coraz bardziej. Nie pozostawało nic innego, jak szukać pracy mogącej przynieść chociaż skromne dochody. Ponieważ na miejscu żadnej pracy nie było, wielu mieszkańców w jej poszukiwaniu musiało opuścić wioskę, trafiając do okolicznych wiosek rybackich i do miasteczek. Niektórzy docierali aż do Gdańska. Większość z nich już do wioski nie wracała. Bo i prawdę mówiąc, nie było do czego. Okazało się bowiem, że silne więzy, jakie od wieków łączyły tych ludzi, nagle prysły i z roku na rok wieś pustoszała. Rozgoryczeni, nie

mogąc zrozumieć przemian, jakie się na świecie dokonały i nagle wtargnęły w ich życie, coraz częściej sprzedawali swój nędzny dobytek i emigrowali. Wielu popłynęło do Kanady, gdzie ich potomkowie do dziś mieszkają w niewielkim osiedlu nad brzegiem Atlantyku o nazwie New Roseve, co niektórzy błędnie wymawiają jako „roźiw”. I tak to wioska przestała praktycznie istnieć. Szacuje się, że mniej więcej połowa jej byłych mieszkańców osiedliła się w okolicy, gdzie ich potomkowie mieszkają do dziś. Wciąż czekają, oczywiście, na ponowne przyjście Madonny, która ma ich wyzwolić z niedoli albo wskazać, gdzie mają Jej szukać, by ponownie mogli żyć godnie. Wielokrotnie myśleli, że to już, że znaki na niebie i ziemi – których z utęsknieniem wypatrywali – mówią, że już przyszła, że jest z nimi i pozostanie na zawsze, ochraniając ich przed złem swym alabastrowym płaszczem. Za każdym razem czekał ich kolejny zawód.

IV

Trzeba podkreślić, że kaszubska Madonna intrygowała nie tylko artystów czy pisarzy, lecz również i przedstawicieli nauki. Pierwszym uczonym, którego zainteresowała (pomijając markiza Orii, który – jak się zdaje – pod koniec życia zaczął zbierać materiały na Jej temat) był sławista rosyjski, Aleksander Hilferding, który – w towarzystwie Floriana Ceynowy – latem 1856 roku odbył podróż po Kaszubach w celu zbierania materiałów do większej rozprawy naukowej. Dzieło to ukazało się sześć lat później w Petersburgu pod nieco mylącym tytułem: „Pozostałości Słowian „na południowym brzegu Bałtyku”. Jednak o Madonnie wspomina on w innej rozprawie, która była faktycznie drukowaną – z jakichś względów przez carską cenzurę okrojona – wersją odczytu, jaki Hilferding wygłosił w Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu po powrocie z Kaszub, a którego tytuł brzmiał: „O mitach i legendach północnych Kaszubów: wspomnienie z podróży naukowej”. Znajdujemy tam kilka ustępów świadczących niezbicie, iż autor odwiedził naszą wioskę i rozmawiał z jej mieszkańcami. Przytoczmy zatem istotne dla naszych celów fragmenty: „...Jadąc na zachód od Wielkiej Wsi, skręciliśmy nieco ku północy, gdzie – jak nas zapewniono – mieszkają jeszcze ostatni potomkowie dziwnego ludu, mówiącego jakimś osobliwym dialektem. Doktor Ceynowa też tam nigdy nie był i myślał, że narosła przez wieki legenda o tej okolicy jest po prostu legendą, niczym więcej. Zajechaliliśmy tam nie bez kłopotów, bo leśna droga, nie uczęszczana widać, była ledwie przejezdna. Gdy w końcu dotarliśmy na miejsce, oczom naszym ukazał się dość smutny, a nawet ponury widok: biedne, rozwalające się chaty, poletka leżące ugięte, zarośnięte chwastami ogródki przy domach. Po ruinie kościółka, o której nam wcześniej opowiadano; nawet śladu nie pozostało. Zawalił się on na skutek obsunięcia wysokiego klifu, przy którym wioskę kiedyś założono. Proszę sobie wyobrazić, że nawet cmentarz osunął się wraz ze skarpą, co wywołuje apokaliptyczne wprost asocjacje. Jedynie stosunkowo niedawno wybudowana latarnia morska wyróżniała się solidną konstrukcją. Bieda z nędzą, jak w wielu naszych wioskach. Doktor Ceynowa – gdyśmy z powozu wysiedli – próbował rozmawiać z mieszkańcami, lecz nie przejawiali większej po temu ochoty. Sporo czasu minęło, zanim przełamaliśmy ich nieufność. Przysłuchiwałem się stojąc z boku i ze zdumieniem stwierdziłem, że w języku ich jest niebywała wprost ilość zapożyczeń i to nie tylko z niemieckiego czy polskiego – co byłoby zrozumiałe – ale również z wielu innych języków. Słuchałem, przyznać panom muszę, zafascynowany, gdyż wychyciłem nawet pojedyncze słowa nieindoeuropejskie. Czytałem, że tę właściwość napotkać można u niektórych ludów koczowniczych albo wędrownych, jak Cyganie – którzy wędrując z kraju do kraju, podłapują i asymilują pewne cechy językowe. To, natomiast, jest ludek osiadły i to od wieków, który nie tylko, że nigdy nie wędrował, ale – jak sami mieszkańcy to nam mówili – nawet do najbliższych miasteczek nigdy albo prawie nigdy nie jeździł. Przyczyną tego ostatniego była – i jest – głęboka uraza do życia miejskiego i wszystkiego, co z miastem jest związane. Uważają oni bowiem, że całe zło tego świata właśnie w miastach ma swe źródło. To z miasta – czy to z Pucka, Wejherowa czy Słupska, czy innych – przyjeżdżali najpierw okrutni Krzyżacy, a później pruscy policjanci, którzy do nich strzelali, gdy upominali się o swoje prawa; to z miasta przyjeżdżali żołnierze, by zabijać, rabować i gwałcić, a ostatnio, by miejscowych mężczyzn siłą brać do wojska, skąd już nie wracali; to w mieście schwytano kiedyś miejscową dziewczynę i spalono jako czarownicę; to z miasta przyjeżdżali bezbożni lichwiarze, biorący w zastaw resztki ich dobytku; to z miasta przybył pastor, który ich na odszczepieńczy wiarę chciał nawrócić; to z miasta był nauczyciel, który chciał ich siłą zmusić do mówienia po niemiecku i zakazał śpiewania pieśni, które od wieków śpiewali, i tak dalej, i tak dalej. Litania krzywd i urazów mogłaby być znacznie dłuższa. Nawet świat za horyzontem uważają za jedno wielkie miasto. Ma to wszystko ciekawe odbicie w powtarzanych tu mitach i legendach, z których wiele dla mnie zanotował doktor Ceynowa, bym mógł je później opracować. W większości pojawia się tam Zło, które pochodzi z miasta i które może przybrać różną

postać. Może nim być maruder szwedzki albo zły poborca podatków, może nim być diabeł albo policjant czy urzędnik gnębiący nikomu nie wadzących mieszkańców tej wioski. Tak, proszę szanownych panów, regionalizm jest tu zawężony do jednej wioski, a obecnie do kilku rozlatujących się chałup. Być może, gdy wypowiadam te słowa, już ich w ogóle nie ma. Podobnie, przypuścić można – musiało być z Prusami, a będzie – jak mogłem się zorientować – i to w niedalekiej przyszłości, ze Słowińcami...

Wracając do legend i mitów, to pragnę dodać, że Zło, które się w nich pojawia, zwalczają jacyś miejscowi wieśniacy, czasem pojedynczo, czasem paru, ale zawsze – zawsze, powtarzam – przy pomocy siły wyższej, która niczym *Deus ex machina* w antycznym teatrze przybywa im z pomocą, i to w ostatniej chwili, kiedy już stracili wszelką nadzieję. Tą siłą wyższą jest Matka Boska, czyli Przenajświętsza Panienska. Czasem święta Barbara. I nie byłoby w tym, panowie, nic dziwnego, gdyż mieszkają tam, w całym regionie, przeważnie katolicy (choć germanizacja odnosi również sukcesy w szerzeniu protestantyzmu), lecz w tym przypadku nie jest to jakaś „niebiańska” – nazwijmy ją tak umownie – Matka Boska, jakieś bóstwo uniwersalne, powiedzmy – ogólnochrześcijańskie, lecz regionalne, by nie rzec – prowincjonalne, ponownie i na wzór pogańskich bożków „o ograniczonym zasięgu”. Jest to bowiem, jak sami powiadają, „ich Matka Boska”, która nie tylko wybrała sobie mieszkańców wioski za swój lud, co miało miejsce przed wiekami, ale i fizycznie zaznaczyła w wiosce swoją obecność: w cudowny sposób wypłynęła z morza w postaci białej, pięknej rzeźby, którą postawiono w miejscowym; nie istniejącym już, jak mówiłem, kościółku i która zasłynęła z cudów jako kaszubska Madonna. To właśnie Ona przewija się przez większość podań i legend, a nawet mitów. Stała tam przez wieki, lecz **jakiś czas przed zawaleniem kościółka** [podkr. aut.] – zniknęła. Kiedy to było dokładnie, nie bardzo nam umiano powiedzieć, tak jak i co właściwie się z rzeźbą stało. Mówili tylko ze łzami w oczach: «Opuściła nas. Opuściła. Ale nie na zawsze. Przyjdzie jeszcze do nas. Przyjdzie. Tylko musimy przetrwać». Obawiam się, panowie, że przetrwać jednak nie zdołają i że im, jak i Kaszubom w ogóle, grozi całkowita germanizacja, chyba że zdarzy się cud...

Zanotowano również kilka miejscowych legend związanych także z kultem świętego Wojciecha i jego znaną z innych źródeł misją do Prus. O ile omówione już przeze mnie legendy związane ze świętą Barbarą i jej kultem są rozpowszechnione wśród Kaszubów w ogóle, to te – chociaż częściowo z tą świętą się wiążą – mają ponownie bardzo ograniczony zasięg i znają je tylko mieszkańcy tej wioski. Według jednej z nich, święty Wojciech, kiedy wypłynął z Gdańska, by dotrzeć drogą morską do Truso [tj. w okolicy dzisiejszego Elbląga – przyp. J.L.], został porwany wraz ze statkiem przez nagłą, gwałtowną wicher i prądy morskie; statek zniósł z kursu aż do przylądka Rozewie, gdzie się roztrzaskał na mieliźnie, a biskup-misjonarz został uratowany przez miejscowych wieśniaków, pogańskich przodków tych biedaków, o których traktuje dzisiejszy odczyt. Na marginesie: z tego, co zorientowałem się z literatury przedmiotu, żywoty świętego Wojciecha nie mówią wprost, dokąd właściwie on z Gdańska wyruszył w roku pańskim 997 – historycy nie są co do tego zgodni i wiadomo jedynie, że wyjazd nastąpił wkrótce po Wielkanocy i po nawróceniu na chrześcijaństwo wielu gdańszczan. Korzystając z okazji, choć było mu nie po drodze, Wojciech nawrócił swoich wybawców, zapowiadając rychłe nadejście Matki Boskiej, która ich – prostych wieśniaków – miała wziąć pod swoją opiekę, oraz przyrzekł im, że jeszcze raz do nich powróci, osobiście albo przez swego wysłannika, by im wyjawić jakąś wielką prawdę czy tajemnicę. Wedle tej samej legendy, panowie, proroctwa te spełniły się w zupełności. Matka Boska przybyła do swego wybranego ludu jako biała, piękna rzeźba (co to nie chciała do Krzyżaków – ale to już inna legenda), a święty Wojciech również powrócił, a właściwie to przybyła tylko jego wysłanniczka: głowa świętej Barbary – ta sama, którą wiozł legat papieski Sedenza i którą przywłaszczył sobie książę Świętopełk. Trafiła ona w końcu do katedry oliwskiej, a stamtąd została zrabowana przez Szwedów podczas wojny, zwanej przez Polaków potopem, i wywieziona statkiem do Szwecji. Właśnie od rozbicia tego statku legenda się rozpoczyna. I tak, statek wiozący relikwię rozbił się u wybrzeża Rozewia, a głowę wyrzuciło morze w tym samym miejscu, w którym kiedyś wypłynęła Matka Boska, a przed Nią święty misjonarz. Że głowa świętej Barbary wyjawiała ową wielką prawdę czy tajemnicę, wynika bezpośrednio z legendy, ale co to była za prawda – nie wiadomo i chyba nigdy się nie dowiemy. Podobno szczegółowe informacje na ten temat znajdowały się w rękopisach Bonifacego markiza Orii – Włocha osiadłego pod koniec szesnastego wieku w Gdańsku – lecz część z nich została bezpowrotnie zniszczona przez niewątpliwie psychicznie chorego osobnika, który najbardziej nas interesujące fragmenty wydrapał ostrym narzędziem bądź zamazał atramentem. A może to pruska

cenzura wprowadza na siłę korektę historii? [W tym miejscu zaznaczona jest ingerencja carskiej cenzury – przyp. aut.].

Wiele legend związanych jest również z cudami, jakie zdarzyły się z okazji domniemanej bytności w tej wiosce Matki Boskiej i świętego Wojciecha. Nie sposób ich nawet tu streścić, ale nieodmiennie dotyczą one jakiegoś zagrożenia bytu całej wioski, z którego ratuje ich ingerencja sił nadprzyrodzonych. Nie możemy się przeto dziwić, panowie, że dzisiaj, kiedy większość mieszkańców wymarła bądź ruszyła na tułaczkę po świecie, albo też zginęła na wojnach prowadzonych przez germańskiego ciemięzcę, że kiedy wioska fizycznie chyli się ku ostatecznej ruinie, jej ostatni mieszkańcy jeno z trudem zachowują resztki wiary, jaka w nich została. Ale są nieustępliwi i z podziwu godnym uporem trwają przy wierze swych przodków. Wciąż przekonani, że są wybranym narodem, nowym Izraelem, Hiobem narodów, czekają na ponowne cudowne nadejście «ich» Matki Boskiej, kaszubskiej Madonny”.

Ostatnia wzmianka o pięknej Madonnie z czasów zaborów, na jaką udało nam się natrafić, pochodzi z 1860 roku; a jej autorem jest młody wówczas Amerykanin, Bernard Fredson Thataway. Otóż w trakcie poszukiwań materiałów do swej pracy doktorskiej z językoznawstwa, której tematem miał być język emigrantów na północno-wschodnim wybrzeżu Atlantyku, trafił do nie znanej mu wcześniej miejscowości o nazwie New Roseve. Spał tam dokładnie wszystkie cechy języka, jakim w New Roseve mówiono, i z wypiekami na twarzy doszedł do wniosku, że odkrył zupełnie nie znany język europejski, którego genezę postanowił ustalić. Do zupełnie innego wniosku doszła szacowna komisja do spraw dysertacji Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, która pracę uznała za hochsztaplerstwo albo plód chorej wyobraźni i jednomyślnie ją odrzuciła. Na szczęście pozostał jej rękopis, zdeponowany jakiś czas później przez rodzinę młodego uczonego w Bibliotece Kongresu. Również na szczęście on sam nie załamał się w nieustępliwym dążeniu do rozgryzienia prawdy i wyruszył w podróż po Europie w poszukiwaniu źródeł języka – jak go sam nazwał – „rozewiańskiego” (ang. „Rosevian”). Trafił oczywiście do Gdańska, a stamtąd przez Puck do Rozewia, gdzie jednak prócz paru rozlatujących się chałup niewiele z dawnej świetności pozostało. Żył tam jeszcze kilka rodzin w wielkiej biedzie, by nie powiedzieć nędzy. Był też ksiądz – staruszek, zdziwaczały, pozbawiony kościółka, pozostawiony przez władze pruskie na wymarcie, bez nowego przydziału, a przy tym głuchy jak pień i trudno się było z nim dogadać. To znaczy, stale coś mówił, ale nie na temat i jakby do siebie. Najczęściej powtarzał ze łzami w oczach: „Opuściła nas, Matka Boska nas opuściła!” i prowadził za rękę młodego uczonego na skraj skarpy i pokazywał jakieś miejsce przy brzegu poniżej: „O tu była! Tu była przez wieki! Teraz nas opuściła. O, tam był nasz kościółek. Ale przyjdzie jeszcze, przyjdzie – pocieszał się staruszek. – Tylko przetrwać musimy”.

Z pozostałymi mieszkańcami Amerykanin porozumiewał się bez trudu, z czego był bardzo dumny; zauważył przy tym, że wcale ich nie dziwiło, że z cudzoziemcem można się bez kłopotów dogadać, że uważali to jakby za rzecz naturalną. Poczytał na miejscu mnóstwo notatek, a gdy zauważył pewne różnice w rozewiańskim, którym mówiono w ojczyźnie i na obczyźnie, postanowił zabawić tu dłużej i wynajął pokój w jednej z chat. Z korespondencji wynika, że mieszkał tam kilka miesięcy, a może nawet cały rok. Obrażony na uniwersytety amerykańskie, postanowił przedstawić swą uzupełnioną przez nowe odkrycia dysertację na uniwersytecie w Królewcu. Niestety, żadne dokumenty związane z tą sprawą nie zachowały się, a to z powodu ostatnich zniszczeń wojennych. Być może znajdują się one w częściowo uratowanym archiwum królewieckim, zdeponowanym w Bibliotece Uniwersyteckiej w Getyndze. Tam jednak [z powodu nieotrzymania zgody na wyjazd – uwaga autora na marginesie – przyp. J.L.] nie udało nam się dotrzeć. Jest to rzecz do zbadania dla każdego, kto w przyszłości będzie się zajmował piękną Madonną. Na marginesie pragnę dodać; że i ten rękopis, który właśnie teraz powstaje, zostanie złożony w Bibliotece Gdańskiej Polskiej Akademii Nauk i być może ktoś po latach po niego sięgnie i będzie go czytał w Czytelni Naukowej pod czujnym okiem markiza Orii i wykorzysta w dalszych badaniach nad kaszubską Madonną. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że nasze ustalenia nie wyczerpią tematu i trzeba je będzie uzupełniać, a także kontynuować (trochę na zasadzie kroniki).

W każdym razie Bernard Fredson Thataway korespondował w sprawie swej dysertacji z profesorem uniwersytetu w Królewcu, Alexandrem Schmidtem, który rezydował często w Gdańsku i dzięki temu część tej korespondencji zachowała się w Dziale Rękopisów Biblioteki Miejskiej (bo tak się ona wówczas nazywała), ofiarowana – wraz z innymi papierami – przez wdowę po profesorze. W jednym z listów, datowanym 24 August 1860, znajdujemy następujący fragment: „...zgodnie z prośbą szanownego Pana Profesora; załączam transkrypcję modlitwy «Ojcze nasz», natomiast rozewiańskie, czy jak Pan

Profesor woli – słowińskie teksty modlitw i pieśni poświęconych Matce Boskiej, a nie znanych o ile wiem – w innych językach, załączę w odrębnym pakiecie; jest ich bowiem tak wiele, że będę mógł je przepisać dopiero, gdy uporam się z bieżącą robotą. Szkoda, że Pan Profesor nie mógł tego razem ze mną oglądać: cóż tu, się nie działo na święto Matki Boskiej! Po uroczystej mszy, odprawionej przed przydrożną kapliczką, odbyły się wspólne modły, a potem uroczysty festyn, który celebrowano nie w beztrudny ludowy sposób, lecz – mimo tańców i śpiewów, a nawet czegoś, co można by teatrem nazwać – z pełną skupienia powagą. Przy najbliższej okazji opowiem Panu Profesorowi w szczegółach. z powodu nawału pracy muszę kończyć, przeto łączę wyrazy głębokiego szacunku oraz ukłony dla łaskawej małżonki, Bernard Fredson Thataway.

Ps. A oto wspomniany tekst:

Wojczy nasz, chto te jes w niebie, swancone niech bandze imian tve, przyjdzie nom twoje królestwe jak w niebie, tak na zemi. Twój chłeb powszednam, mili Jezusku, dzys nom day, a wetpuse nom nasze wine, nasze grzész. A niewedze nas w poekuszenie, le nas webawi weto wszewo grzéch. Abe two jesta moc tro [trwo?] wetwieka dowieka, amen.

Dziwne to, Panie Profesorze, ale dopiero teraz, przepisując ten tekst zauważyłem, że nie ma w nim zwrotu «...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom». Nie przypuszczam, żeby ludzie mówiący tym językiem mogli «zapomnieć» słowa modlitwy. To się nigdy nie zdarza, a przynajmniej o niczym takim nigdy nie słyszałem. Przypuszczalnie tych słów nie było «od początku», bo nie chce mi się wierzyć, by je w jakimś momencie utraciono. Z drugiej jednak strony, w jakiś dziwny do wytłumaczenia sposób kojarzy mi się to z powszechną opinią o mściwości Kaszubów. Czyżby oni rzeczywiście «nie odpuszczali swoim winowajcom» i dlatego, prosząc Boga o grzechów odpuszczenie, siebie za przykład nie mogli podawać? Czy ktoś przeprowadził analizę porównawczą modlitw w różnych językach? Mam na myśli – tych samych modlitw? Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale nigdy z podobnym problemem się nie zetknąłem i myślę sobie teraz, na gorąco, że może warto by się tym zająć, jeśli rzeczywiście nic już nie pozostało do opracowania w językoznawstwie. Jeszcze raz dziękuję za Pańską zyczliwość i czekam z największą niecierpliwością na odpowiedź i ewentualne sugestie”.

Niestety, w pakiecie listów Thatawaya, związanym różową wstążką, nie ma wspomnianego przez niego „pakietu” z kaszubskimi modlitwami i pieśniami ku czci Matki Boskiej, które dla naszych celów byłyby z pewnością niezwykle interesujące, a już szczególnie te „nie znane w innych językach”. Z tego też względu trudno powiedzieć, czy były to teksty ogólnokaszubskie, czy też wyłącznie miejscowe, to znaczy z okolic Rozewia. Amerykański badacz-zapaleniec zdawał się nie wiedzieć zupełnie o wcześniejszej o parę lat podróży, jaką odbył w tych stronach Florian Ceynowa wraz z rosyjskim uczonym Aleksandrem Hilferdingiem (o czym była już mowa). Nie wiedział też, że w 1860 roku miały miejsce dwa istotne wydarzenia: po pierwsze, Hilferding złożył w Cesarskiej Akademii Nauk swoją rozprawę doktorską o języku północnych Kaszubów, a po drugie, w tym samym roku wygłosił odczyt, który już obszernie cytowaliśmy. Być może dowiedział się o tym dopiero, z listu, jaki napisał do niego profesor Schmidt z uniwersytetu królewieckiego. Jego pierwotna wersja, pełna poprawek i skreśleń, zachowała się wśród papierów profesora, zdeponowanych w Bibliotece Gdańskiej PAN-u. Nie wiemy jednak z całą pewnością, czy Schmidt ten list wysłał, chociaż potwierdza to w pewnym stopniu fakt, że Thataway wkrótce te strony opuścił na zawsze. W brudnopisie listu czytamy między innymi: „...ostatni jeszcze raz Panu ~~powtarzam~~ pozwalam sobie przypomnieć, że wedle informacji, jakie nadesłał mi znakomity mój przyjaciel, profesor Izmail Sriezniewski z Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu, ~~Pańska dalsza praca nie ma sensu~~, na ~~zbliżony~~ temat języka północnych Kaszubów napisano już znakomitą dysertację, która jest w druku, przeto ~~nie ma sensu~~, radziłbym Panu zmienić koncepcję całości, albo ~~w ogóle~~ zastanowić się nad nowym tematem. To, co Pan pisze o modlitwie «Ojczy nasz» jest ~~niedorzeczne~~, a raczej byłoby niezwykle ciekawe, gdybym miał pewność, że nie opuścił Pan – ~~eo w~~ ~~innych Pana tekstach~~ ~~nagminnie się zdarza~~ tego fragmentu przez nieuwagę.

Niebawem wyjeżdżam na dłużej, więc ~~jeśli będzie coś ważnego~~ już się pewnie nie zobaczymy.

Życzę przyjemnej podróży do Ameryki,

Aleksander Schmidt.”

Z powyższych źródeł wynika niezbicie, że niedługo później wioska przestała istnieć, a jej mieszkańcy – z wyjątkiem latarnika – rozproszyli się po okolicy i ich potomkowie mieszkają do dziś w Jastrzębiej

Górze, w Dębkach, w Chłapowie, a nawet i w odległych miastach, jak Gdynia i Gdańsk. Wraz z nimi rozproszył się również ten osobliwy kult Matki Boskiej. I jak się zdaje, wkrótce z księgi morza też nikt już czytać nie umiał.

Młody uczonec nie dał jednak za wygraną i jak wynika z jego dalszej korespondencji z innymi osobami, przez pewien czas prowadził jeszcze badania w Bibliotece Gdańskiej pod czujnym okiem markiza Orii. Warto w tym miejscu zacytować jeden z jego bardziej osobistych listów do rodziców (zachowany w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie), który nie tylko potwierdza nasze wcześniejsze ustalenia, lecz także rzuca ciekawe światło na atmosferę panującą w dziewiętnastym wieku w Czytelni Naukowej:

„Kochana Mamo i Tato,

piszę do Was po raz ostatni, bo zbliża się czas powrotu. Tak, już najwyższy czas pakować manatki i jechać do domu. Od mego ostatniego listu siedzę prawie nieprzerwanie w Gdańsku, a właściwie to w Czytelni Naukowej Biblioteki Miejskiej, ściślej – na miejscu numer 19. Zapewne zdziwi Was, dlaczego tak precyzyjnie określam miejsce, na którym siedzę – również i teraz, pisząc ten list – ale dla każdego, kto zetknął się z tą przedziwną czytelnią, podany przeze mnie numer miejsca jest niezwykle wymowny. Otóż miejsca 19 i 20 są jedynymi w całej sali, których nie widzi markiz Orii, fundator tej ze wszech miar szacownej instytucji, zmarły w 1597 roku. Nie, nie zwariowałem. Jeszcze nie zwariowałem, choć czasem wydaje mi się, że jestem tego bliski, właśnie z powodu tego cholernego Włocha.

Nie myślcie, kochani, że mam jakieś przywidzenia (jestem zupełnie zdrowy na ciele i umyśle), ale wszyscy stali bywalcy i bibliotekarze wiedzą, że portret markiza, który tu wisi na balustradzie galerii nade mną, ma cudowne, a może nawet: piekielne właściwości. Ma on bowiem zdolność śledzenia wszystkiego, co się w czytelni dzieje. Nie tylko śledzi, co kto czyta, ale i to wszystko, co tu kto na miejscu pisze. Jeśli tylko coś mi się nie spodoba, to – mówię wam – przeszkadza, jak tylko potrafi. Mówią, że jak się uprze, to nie można nawet zdania dokończyć. Wszyscy siedzimy do niego tyłem, więc na gorącym uczynku trudno go przyłapać: jak się tylko człowiek odwróci, to tamten ze śmiertelnie poważną miną udaje, że nic nie robi. Tymczasem wystarczy znowu zabrać się do pisania, a od razu człowiek poczuje jego świdrujący wzrok, z nerwów ręka zaczyna drżeć, zaraz kleks się robi albo pióro się łamie. Dlatego właśnie staram się siedzieć na miejscu 19 albo 20, gdyż te znajdują się bezpośrednio pod obrazem i ten świdrujący wzrok tu nie dociera.

Ale nie myślcie, że mam tu całkowity spokój. Nie mogąc mnie niepokoić wzrokiem, markiz przeszkadza mi nieznośnym szeptem. Zna trochę angielski, choć tylko ten szesnastowieczny, więc czasem trudno mi go zrozumieć. Uwziął się na mnie i głównie z tego powodu postanowiłem skrócić swój pobyt w Gdańsku. Nie daje mi spokoju, nawet teraz, gdy do Was piszę, szepcząc mi do ucha jakieś mrzonki, którymi chciałby, żebym się zajął. Doprawdy nie wiem, skąd się dowiedział, że czas jakiś spędziłem w tej nieszczęsnej wiosce nad morzem, o której poprzednio pisałem [list ten nie zachował się – przyp. aut.], i zamęcza mnie, powtarzając, bym skorzystał z nadarzającej się okazji i napisał pracę naukową o kaszubskiej Madonnie. Ona – powiada – ocaliła mu życie, więc w ten sposób chciałby się jej odwdziżyć. Nic nie muszę robić – zapewnia – tylko muszę słuchać uważnie i spisać to wszystko, co mi podyktuje. Bo zna tę całą przedziwną historię na pamięć. Nawet – powiada – zaginione bądź zniszczone źródła może z pamięci zacytować. Ponieważ są to ewidentne brednie, jakieś mrzonki wyssane z palca, urągające wszelkim zasadom pisania dzieł naukowych, bronię się jak tylko mogę, ale ten złośliwiec – nie biorąc nawet pod uwagę, że jestem kwakrem – nie daje mi się skoncentrować nad niczym innym. Dlatego też, wstyd się przyznać, ale z naukowego punktu widzenia prawie cały ten czas uważam za stracony.

No, nie będę Was już dłużej zamęczał swymi skargami. O szczegółach opowiem, gdy się zobaczymy. Mam nadzieję, że zdążę na Boże Narodzenie. Pogoda jak dotąd dopisuje, więc ostatnio – coraz bardziej zniechęcony do pracy naukowej – chodzę na długie spacerki. Upodobałem sobie piękną okolicę zwaną tu Królewską Dolinką, gdzie płynie Święte Źródło. Jest tam również wspaniały park, który pozwolono mi zwiedzić, z rzeźbami, fontannami, stawami, altanami, a nawet i ze sztuczną górą, z której rozciąga się piękny widok na zatokę. Jego właściciele stworzyli sobie prawdziwy raj na ziemi, choć miejscowa przepowiednia głosi, że barbarzyńskie hordy ten raj, kiedyś zniszczą. Ciekawe, co po tym parku zostanie i kto będzie tu mieszkał, jeśli w ogóle będzie ktoś mieszkał. W każdym razie dla mnie rajem jest każde miejsce, gdzie nie czuję na sobie świdrującego wzroku markiza Orii, gdzie nie słyszę jego szatańskiego szeptu. Podobno – tak mi mówił zaprzyjaźniony kustosz – poprzedni dyrektor Biblioteki zwariował z

tego właśnie powodu. Jednym z symptomów pogłębiającego się obłędu było to, że kazał zamalować markizowi oczy: naoryginale miał otwarte, a teraz zakrywają je domalowane powieki. Przyznać trzeba, że malarz świetnie to zrobił, choć jestem pewien, że markiz przez te powieki i tak widzi...”

Wbrew ustaleniom filozofii materialistycznych to, co rodzice Thatawaya wzięli za urojenia i początek choroby umysłowej, było *de facto* trzeźwym opisem pewnych mało postronnych znanych cech portretu wiszącego w Czytelni Naukowej. Jak widać z powyższego, nie od dziś zmieniające się dyrekcje biblioteki, a i władze miasta – aczkolwiek dumne z tej ze wszech miar szacownej instytucji – mają nie lada kłopoty z wybrykami markiza Orii. Jak się wydaje, Włoch uważa się za pana na swych włościach i wszelką ingerencję z zewnątrz traktuje jako pogwałcenie swych nienaruszalnych praw. A tak się jakoś w historii Gdańska układa, że Biblioteka zawsze kusiła władze miasta, by jednak kontrolować to, co się w niej dzieje. Tym właśnie zakusom stara się przeciwstawiać krnąbrny arystokrata. Nie jest to walka z góry skazana na przegraną, w swej pysze bowiem i pewności siebie władze wszelkiego autoramentu, świeckie i kościelne, policyjne, wojskowe i związkowe, legalne i nielegalne sądzą, że markiza można ot tak po prostu utrzymać w ryzach zarządzeniami, dyrektywami, nakazami i zakazami; sądzą, że można go poskromić drogą administracyjnych rozporządzeń. Kryje się za tym myśl następująca: skoro rzeczywiście markiz „grasuje” po Bibliotece i nie tylko tam straszy, lecz również i „podpowiada”, a nawet sam dopisuje różne „kawałki” do prac naukowych, jakie tam powstają, to niech już lepiej podpowiada i dopisuje po naszej myśli, skoro nie można go całkowicie uciszyć. A z wielu względów portretu nie można było zniszczyć ani nawet usunąć, aby – dla przykładu – nie dostarczyć dowodu własnej słabości czy też nie sprowokować niepożądanych domysłów i plotek, a opozycji (bo taka zawsze w tym mieście istniała) nie dać – jak to się po dziennikarsku określa – pożytki propagandowej. Nie, bezpośredni zamach na portret markiza byłby ze wszech miar krokiem nierozważnym i wszelkie ciągoty ikonoklastyczne należało w sobie w imię zdrowego rozsądku i własnych interesów – stłumić. Pewnym wyjściem z tej niewygodnej dla władzy sytuacji było zaprzeczenie, jakoby portret miał jakiegokolwiek nadprzyrodzone właściwości. Metoda ta stosowana jest i dziś z niewielkimi przerwami i dlatego o niecodziennych właściwościach portretu niewiele dotąd napisano, a jeszcze mniej wydrukowano. A przecież fakty są niepodważalne. Znają je dobrze nie tylko bibliotekarze – i to o różnej orientacji politycznej i światopoglądowej – ale i liczni stali bywalcy, którym markiz niejednokrotnie pomógł w pracy albo też ukończenie jakiejś rozprawy uniemożliwił. Stąd też szczególna i tradycyjna podejrzliwość władz wobec tego środowiska; z drugiej strony, tłumaczy to również nadzieje, jakie w dwudziestym wieku wiąże się ze stosunkowo młodą dziedziną sztuki i nauki, jaką jest konserwacja zabytków.

Jak już przy innej okazji wspomniano, praca naukowa w Bibliotece Gdańskiej, przebiegająca w dostojnej ciszy tylko od czasu do czasu maçonę cichymi krokami, szelestem przewracanych kartek czy skrzypleniem pióra, jedynie pozornie jest niezależna od tego; co dzieje się na zewnątrz budynku. Wie o tym każdy, kto zetknął się z teoriami materializmu historycznego, a niejeden uczony – nawet jeśli się z tymi teoriami nie zetknął – poznał to na własnej skórze. Łojenie skóry uczonym –i ludziom pióra w ogóle – ma długą tradycję w tym mieście i stanowi temat na odrębną monografię. Któż miałby ją napisać, jeśli nie markiz Orii? Słyszy się wszelako opinie, że niesubordynacja stałych bywalców ma swe źródło nie w nich samych, że głównej winy nie ponoszą poszczególni uczeni czy pisarze, których poglądy zmusiły władze do podjęcia niekiedy drażliwych kroków, ani też sama władza i jej mniejszy czy większy brak tolerancji (skalę tolerancji ustala się zresztą wciąż na nowo, w czym niemały udział mają uczeni do specjalnych poruczeń, również korzystający ze zbiorów Biblioteki). Głównym winowajcą ma być nie kto inny, a właśnie markiz Orii, który ciesząc się – jakby się mogło zdawać – fizyczną i intelektualną nietyknością, bez większego ryzyka zwalcza wszelkie próby ingerencji z zewnątrz w sprawy, które uważa za swoją wyłączną domenę, od wieków podsuwając uczonym i pisarzom nieortodoksyjne myśli, wnosząc ferment, wzbudzenie i wszystko to, co w zależności od epoki nazywano herezją, rewolucjonizmem, ateizmem, bolszewizmem, masonerią, żydokomuną, burżujskim liberalizmem, rewizjonizmem, idealizmem, klerykalizmem, anarcho-syndykalizmem i jeden markiz wie czym jeszcze, narażając ich tym samym na nieprzyjemności.

Od dawien dawna oczywiście wiedziano, że wszystkie te –izmy, które niczym bakterie zalegały (i zalegają) zakurzone półki Biblioteki, czekając tylko, by komuś wskoczyć do głowy, można by w zarodku zniszczyć i nie dopuścić do skażenia umysłów uczonych (potrzebnych choćby po to, by istnienie danej władzy historycznie uzasadnić: stąd historię Gdańska pisze się stale na nowo). Byłoby to możliwe, gdyby udało się wreszcie markiza ujarzmić, choćby siłą okiełznać, jeśli nie zupełnie, to przynajmniej w

takim stopniu, by szkody, jakie wyrządza, były jak najmniejsze i nie przedostawały się poza teren Biblioteki. Nie sposób tu wyliczyć wszystkich metod i sposobów, jakich się chwytało, by to uzyskać, ale warto chyba nawiązać w tym miejscu do cytowanego już listu Thatawaya, gdzie mowa była o udanej – pozornie przynajmniej – próbie zamalowania markizowi oczu. Ta niecodzienna decyzja szalonego dyrektora nie była jednak pierwszą tego rodzaju ani też ostatnią. Otóż, kiedy w latach dwudziestych (dla przypomnienia: Gdańsk był wówczas Wolnym Miastem) przeprowadzono pierwszą naukową ekspertyzę i konserwację obrazu, odkryto, że okolice rąk markiza zostały w przeszłości przemalowane, i to prawdopodobnie przez autora portretu; a po zmyciu wierzchniej warstwy farby, odsłonięto ni mniej, ni więcej tylko różaniec wpleciony między palce zmarłego. Ponieważ –jak powszechnie wiadomo – różaniec jest atrybutem katolickim, wśród konserwatorów zapanowała konsternacja. Wszyscy bowiem zdali sobie jasno sprawę, że w świadomości społecznej, a także i w napisanych do tej pory historiach Gdańska markiz Orii funkcjonuje jako gorliwy protestant, wytrwale zwalczający w swych pismach zepsucie Kościoła rzymskiego. Odsłonięty różaniec zadawał kłam wszystkim, co do tej pory o markizie wiedziano. Stawał też pod znakiem zapytania wiarygodność uczonych opracowań historii miasta, a tym samym mącił i zaciemniał tożsamość gdańszczan. Jak to Arystoteles powiedział: „Kiedy muzyk zmienia nutę, to nie zmienia melodii: on zmienia system”. Po krótkiej naradzie postanowiono rzecz zachować w tajemnicy, a różaniec na powrót zamalować. I ta prosta metoda stała się niejako miejscową tradycją.

Żeby bliżej wyjaśnić genezę tej tradycji, warto na chwilę wrócić do owego zagadkowego różańca. Przeprowadzone ostatnio badania archiwalne przyniosły ciekawe rezultaty. Otóż okazało się, że mamy powody sądzić, że w okresie między utratą wzroku a śmiercią markiz Orii bliski był przejścia, bądź też przeszedł, na katolicyzm. Wiadomo, na przykład, że nawiązał korespondencję z uczonymi jezuitami w Braniewie, co samo w sobie jest faktem wymownym. Jezuita, z kolei, zainteresowali się jego osobą i działalnością na tyle, by od czasu do czasu słać raporty do generała Towarzystwa Jezusowego w Rzymie. W Bibliotece Watykańskiej, gdzie zdeponowano niektóre archiwa jezuitckie, nie zdołano ich jednak odszukać, choć figurują w osiemnastowiecznym katalogu raportów ze wszystkich prowincji. Istnieje podejrzenie, że zostały one zniszczone przez jakiegoś fanatycznego badacza-protestanta, który za wszelką cenę starał się zatrzeć ślady konwersji markiza. (Swoją drogą należałoby sprawdzić, czy aby szalony dyrektor Biblioteki Miejskiej – wspomniany w liście przez Thatawaya – nie bawił kiedy w Watykanie). Natomiast w Bibliotece Uniwersyteckiej w Sztokholmie zachowała się część archiwum kolegium braniewskiego (zrabowanego przez Szwedów podczas wojny w 1625 roku), a wśród przeróżnych dokumentów znajduje się tam kopia ostatniego – jak się zdaje – raportu anonimowego jezuita w sprawie nieżyjącego już markiza. Raport ten pisany był zapewne wkrótce po śmierci Włocha, a więc pod koniec 1597 roku, i jest dla nas podwójnie interesujący: po pierwsze, mowa w nim jest o ostatnich chwilach arystokraty, a po drugie, wnosi on sporo szczegółów do naszej wiedzy o portrecie, do dziś – jak już wielokrotnie wspomniano – wiszącym w Czytelnicy Naukowej Biblioteki Gdańskiej. Czytamy tam między innymi (współczesny przekład łacińskiej kopii): „...markiz leżał spokojnie i tylko co pewien czas przez jego bladą, woskową twarz przebiegał skurcz śmierci, której obmierzłe dotknięcie powodowało lodowaty dreszcz. Jeśli zawierzyć relacji naszego człowieka, który z racji swej funkcji w Senacie był wśród dostojnego grona żegnającego markiza, umierający szeptał w takiej chwili: «O, Przenajświętsza Panienco, przebacz mi!», co wywoływało wielką konsternację pośród heretyków, którzy udawali, że tego nie słyszą, a między sobą mówili później, że to szatan próbował usidlić bezbronną w mąlgnie duszę. Tuż przed śmiercią markiz ocknął się i przytomnym wzrokiem rozejrzał się po komnacie, po czym słabym głosem pożegnał wszystkich oraz zażądał, by mu przyprowadzono księdza-sповідnika. Wywołało to powszechne oburzenie i heretycy wykazali całe okrucieństwo i bezwzględność w tym, że nie spełnili ostatniej woli umierającego, wiedząc dobrze, że chce umrzeć jak katolik. Również i to potraktowano jako podszept rozzuchwalonego szatana. Ale nikt nie mógł temu zaprzeczyć, że niedługo potem markiz oddał ducha z imieniem Maryi na ustach. Można więc sądzić, że przed śmiercią ujrzał w pełni swój grzech i odczuł skruczę za lata herezji, w jakiej tkwił, przeto – być może – dostąpił on zbawienia wiekuistego. ...Następnego dnia sprowadzono mistrza Hermana, który poczynił odpowiednie szkice, a potem namalował (w ciągu zaledwie paru dni) niewielki portret markiza. Podobieństwo doprawdy niezwykle. Ale portret ten okazał się dla heretyków «skandaliczny», bowiem – jak nikt tego przeoczyć nie mógł – zmarły trzymał na nim w ręku różaniec. Oburzenie było tak wielkie, że chciano Bogu ducha winnego malarza wygnać z miasta. Ten tłumaczył się jednak, gdy go pod strażą

przyprawiono do Senatu, że przecież kazano mu namalować tak, jak naprawdę na łożu śmierci markiz wyglądał, niczego nie dodając i niczego nie ujmując, bez upiększania, a przecież nawet na jego licznych szkicach widać, że zmarły rzeczywiście trzymał w rękach różaniec. Sledztwo nie wykazało, kto go markizowi – jak to określono – «podrzucił». W każdym razie, kazano różaniec zamalować, co też mistrz Herman nie bez oporów uczynił".

Nawet jeśli zawierzyć powyższej relacji, to nie wiadomo, czy domniemana konwersja markiza związana była z jego cudownym ocaleniem i utratą wzroku; czy też innymi czynnikami, a może nawet znaną skądinąd przewrotną naturą Włocha. W katolickiej ojczyźnie stał się dysydem, to czemu w luterańskim Gdańsku nie miał powrócić na łono Kościoła rzymskiego? Dla naszych jednak celów najważniejsze jest to, że już w momencie powstania portret markiza – jak to się potocznie mówi – „podpadł” władzy w tym mieście i administracyjnym nakazem doprowadzono do jego przemalowania. Po raz pierwszy, ale nie po raz ostatni – o czym wymownie mówią fakty.

W latach trzydziestych dwudziestego wieku portret markiza Orii ponownie znalazł się w centrum zainteresowania władz i uczonych: przeprowadzono nawet analizę antropologiczną, co doprowadziło później do drobnych retuszy nosa i uszu Włocha (dopiero po wojnie wykazało to zdjęcie rentgenowskie). Natomiast historycy sztuki wydobyli na światło dzienne wiele faktów z życia markiza niezbitnie świadczących o tym, że po pierwsze, miał on silne poczucie wyższości rasowej i kulturowo-cywilizacyjnej, a co za tym idzie – że w sile sojuszu aryjskiego, czyli rzymsko-italo-germańskiego widział on jedyną szansę dla ludzkości przetrwania zalewu barbarzyństwa ze wschodu, oraz po drugie, że żywił on bezgraniczną wprost pogardę dla Żydów, a zwłaszcza tych polskich. Jeśli chodzi o Żydów, badacze najchętniej cytowali domniemany list markiza, w którym miał on, między innymi, napisać co następuje: „Żydzi tłoczą się tu [tj. w Gdańsku] w wielkiej Ciźbie kilka razy w Roku, zwłaszcza gdy Polacy przywożą swe Towary... Są to najbrudniejsze i najohydniejsze Kreatury żyjące pośród cywilizowanych Narodów gdziekolwiek pod Słońcem. Ich uświnione i postrzępione Chałaty wiszą na nich do samych Pięt. Przystrzygają swoje Brody na różny Sposób, w zależności od tego Ludu, od którego – jak twierdzą – pochodzą, będąc w istocie jego odrażającą Hańbą”.

Jak wykazały szczegółowe badania, przeprowadzone po wojnie, list ten jest najzwyczajniejszym fałszerstwem, gdyż pochodzi nie ze spuścizny po markizie, lecz z anonimowego druku angielskiego z 1734 roku, a więc o blisko 150 lat późniejszego. Trudno dziś ustalić, który z badaczy Wolnego Miasta Gdańska jako pierwszy zacytował to źródło, i tylko jedno nie ulega wątpliwości: to również dzięki niemu kreowano markiza na świadomego germanofila i oświeconego antysemitę. Napisano na ten temat kilka uczonych rozpraw, drukowanych, między innymi, w „Baltische Studien”, a „rewelacyjny” artykuł ogłosił „Danziger Vorposten”.

Z jakichś względów markizowi nie udało się temu oczywistemu fałszerstwu zapobiec. Szczegółowych relacji na ten temat nie ma, gdyż tylko nieliczni pracownicy Biblioteki przeżyli wojnę, a z tych, którzy przeżyli, mało kto chciał czy mógł w Gdańsku pozostać. Przed wojną też głośno na ten temat nie mówiono, a nawet jeśli mówiono, to i tak głos ten był niesłyszalny przy powszechnym wówczas biciu w faszystowski bęben. Dopiero badania konserwatorskie portretu, podjęte w latach 1947–48, przyniosły prawdziwe rewelacje: okazało się bowiem, że właśnie w latach trzydziestych obraz gruntownie przemalowano. Nie od razu, lecz etapami. Ustalenia konserwatorów potwierdziło całkowicie zdjęcie rentgenowskie. Okazało się, że w pierwszym stadium zadowalano się drobnymi retuszami, o których już napomknęliśmy. Oprócz retuszu nosa i uszu, zajęto się również oczyma: powieki ponownie przemalowano, ale tym razem taką farbą, że się na trwałe związała z powierzchnią oka. Później zabiegi te okazały się niewystarczające, więc musiano dokonać wiele dalszych. I tak, usta związane nowym podkładem – gipsowym, a oczy wzmocniono specjalnym gruntem z domieszką bieli ołowiowej. Ponieważ jednak ślady konserwacji były zbyt widoczne, postanowiono na całą twarz markiza nałożyć jeszcze jedną, będącą wierną kopią tej pod spodem. Polscy konserwatorzy postanowili dokonać śmiałej operacji, polegającej na oczyszczeniu portretu ze wszystkich deformujących oryginał dodatków. Będąc przybyszami z głębi kraju i nie znając jeszcze specyficznych właściwości obrazu, nie umieli tylko udzielić odpowiedzi na zasadnicze pytanie, kto i dlaczego te wszystkie dodatki nałożył. Zanim jednak zabrano się do pracy, musiano uzyskać zgodę odpowiednich władz, a te zwlekały z decyzją tak długo, aż się któregoś dnia okazało, że analiza konserwatorska portretu jest zupełnie błędna, a zdjęcie rentgenowskie jest po prostu źle wykonane, wobec czego należy obraz pozostawić w stanie, w jakim jest, a co najwyżej można go na nowo przewerniksować. Kierownik zespołu konserwatorów został

upomniany na piśmie, a wkrótce potem przeniesiony na mniej odpowiedzialne stanowisko w innym województwie, a technik, który wykonał zdjęcie rentgenowskie, został skazany za sabotaż.

Kraj przechodził w tym czasie burzliwe przemiany, co znalazło również odbicie w pracach historyków sztuki. Rozpoczęte zaraz po wojnie badania nad kaszubską Madonną wstrzymano, a uzyskane wyniki – skromne co prawda – zostały skonfiskowane i już nigdy się nie odnalazły. Okazało się bowiem, że nie tylko nie ma Matki Boskiej, ale również nie ma Kaszubów, a ludność miejscowa mówi po prostu polską gwara. Straciwszy nadzieję, ale nie wiarę, wielu Słowińców i Kaszubów udało się na poszukiwania Madonny, jak na ironię – do kraju byłego zaborcy. Ale na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych to właśnie historycy sztuki ponownie zainteresowali się portretem markiza Orii, a także osobą tego rewolucyjnego – jak się okazało – arystokraty. Dzięki żmudnym poszukiwaniom, a także dzięki nowatorskiej interpretacji dostępnych źródeł, wydobyli oni na światło dzienne wiele nie znanych dotąd szczegółów i faktów świadczących ni mniej, ni więcej tylko o tym, że internacjonalizm markiza Orii polegał również i na tym, że zerwał on wszelkie związki z klasą wyzyskiwaczy widząc krzywdę ludu pracującego miast i wsi i przybył do Polski, by głosić idee wolnościowe. Kilka uczonych prac na ten temat ukazało się w „Biuletynie Historii Sztuki”, a „rewelacyjny” artykuł ogłosił „Głos Wybrzeża”. Natomiast prac konserwatorskich w tym czasie nad obrazem nie prowadzono, nie było bowiem – jak to komisyjnie stwierdzono – takiej potrzeby.

Dopiero w 1956 roku dokonano kolejnej analizy obrazu, która wykazała, że biel ołowiowa prawie całkowicie wyzarała markizowi oczy, a gips pod ustami się wykruszył, co grozi ich odprysnięciem. Postanowiono raz jeszcze przystąpić do realizacji projektu z 1948 roku, o którym na szczęście nie zapomniano. Sprowadzono z prowincji byłego kierownika zespołu konserwatorów oraz wypuszczono z więzienia i zrehabilitowano technika, który wykonał przed laty owo niefortunne zdjęcie rentgenowskie (ten jednak odmówił współpracy i musiano zatrudnić kogo innego). Związany na nowo zespół z wielką energią zabrał się do pracy: szybko i bez trudu zdjęto z portretu warstwę wierzchnią (tę „drugą” twarz markiza), lecz bardziej pracochłonne okazały się czynności związane z oczyszczeniem warstwy oryginalnej. Po wielu nieudanych próbach, przy wydatnej pomocy specjalistów z Politechniki Gdańskiej, udało się w końcu sporządzić taki rozpuszczalnik, który mógłby zmyć niepotrzebne dodatki na oczach, ustach i rękach, bez uszkodzenia tego, co było pod spodem. Zanim jednak zabrano się do pracy, ktoś nasłał na zespół komisję kontrolną, która butelkę z bezcennym rozpuszczalnikiem zapieczętowała w ramach rutynowych czynności. Po długich tygodniach komisja opuściła Pracownię Konserwacji Zabytków, a w raporcie wytknęła wiele uchybień prawnych, finansowych i merytorycznych, przez co zespół znalazł się na cenzurowanym. Na domiar złego, w czasie zamieszania spowodowanego kontrolą zawieruszyła się również butelka z rozpuszczalnikiem. We wspomnianym raporcie komisja wyraźnie stwierdza, że zespół „nakładem wielkich środków i czasu zajmował się tematem z punktu widzenia społecznego bezużytecznym. Przez wiele miesięcy cały zespół ludzi analizował i konserwował niewielki portret włoskiego arystokraty, zamiast szukać i zabezpieczać przed zniszczeniem ślady polskości w Gdańsku. Komisja stwierdza z całym przekonaniem, że portret ten – wbrew insynuacjom osób zbliżonych do kręgów klerykalnych – nie wymaga żadnych dalszych zabiegów konserwatorskich i może powrócić na miejsce, gdzie do tej pory wisiał...” W następstwie tego raportu kierownika zespołu upomniano pisemnie, lecz na prowincję nie zesłano, co świadczy o postępującej socjalistycznej demokratyzacji życia w mieście. Zgodnie z wytycznymi portret wrócił do Czytelni Naukowej Biblioteki Gdańskiej. Zgodnie z obawami konserwatorów, biel ołowiowa nadal wyzerała markizowi oczy, a usta zaczęły się kruszyć; odsłaniając bezwstydnie gipsowy knebel. Raziło to bibliotekarzy i stałych bywalców, ale nawet w prywatnych rozmowach wołano tego tematu nie poruszać. A o kaszubskiej Madonnie prawie już nikt nie pamiętał.

Do ponownych prac konserwatorskich przystąpiono dopiero na początku 1971 roku, co było ze względu na ogólny stan obrazu palącą potrzebą, tym bardziej że przypadkowa kula wystrzelona w kierunku robotników ze Stoczni wybiła szybę w Czytelni Naukowej, po czym przeszła na wylot portret markiza tuż w pobliżu jego głowy, by utknąć w... [w tym miejscu tekst się urywa – przyp. J.L.] Można więc mówić o wielkim szczęściu. Podczas burzliwego, nie w pełni legalnego „sejmiku”, jaki się podczas tych niespokojnych dni odbył w Bibliotece, konserwatorzy i bibliotekarze, a także delegaci stałych bywalców uradzili, żeby dziurę po kuli na obrazie pozostawić „jako ostrzeżenie”, ale jak tylko w pobliskim Komitecie Wojewódzkim zmieniono nadpalony dwuspadowy dach z czerwonej dachówki na płaski, przyszły stamtąd nowe dyrektywy i okazało się, że żadnej kuli nie było i postanowiono, że po

zacerowaniu płótna i uzupełnieniu ubytków dalsze prace konserwatorskie są zbędne. Zespół zdążył jedynie przemyć markizowi oczy i nieco uwolnić od gipsu usta. Konserwatorów i bibliotekarzy ogarnęło przygnębienie. Wkrótce zmieniono również kierownika zespołu. Na jego miejsce przyszedł człowiek nikomu w tym mieście bliżej nie znany; jak się okazało – młody, niezwykle rzutki i pełen zapału. Zaskoczył on całe środowisko swą zdecydowaną, odważną decyzją, by jednak – na przekór wszystkiemu – prace konserwatorskie kontynuować. Ponieważ obawiano się prowokacji, nie bardzo chciano z nowym kierownikiem współpracować, wobec czego zaskoczył on środowisko po raz drugi oświadczając, że konserwacji dokona sam, i to w czynie społecznym, po godzinach pracy. Jak zapowiedział, tak zrobił. Nie pytając nikogo o zdanie (tak się przynajmniej zdawało), zabrał obraz markiza z Czytelni Naukowej do domu i pracując nieprzerwanie przez dwa miesiące (od tego zależał przecież jego prestiż) dotrzymał danego słowa i – ku zdumieniu środowiska – odnowiony obraz zawisł na dawnym miejscu. Każdy mógł naocznie sprawdzić, jak wzorowo praca została wykonana. Radość była powszechna i wielu stałych bywalców i bibliotekarzy zapisało się do organizacji partyjnej.

Dopiero w 1980 roku, we wrześniu czy październiku, podjęto nowe prace konserwatorskie w ramach ogólnej odnowy i wkrótce okazało się, a zdjęcie rentgenowskie potwierdziło pewne wcześniejsze przypuszczenia, a mianowicie, że w wyniku ostatnich zabiegów wcale nie oczyszczono oczu i ust markiza ze zbędnych dodatków, lecz – jak to już poprzednio miało miejsce – na całą twarz nałożono jeszcze jedną warstwę, będącą jej doskonałą kopią, która w skuteczny sposób zamaskowała wszystkie ukryte pod nią deformacje. Wprawdzie już wcześniej pisał w tej sprawie ponownie przeniesiony na prowincję były kierownik zespołu, który tyle lat się obrazem zajmował, lecz jedyną konsekwencją jego listów było przeniesienie na jeszcze dalszą prowincję i na tak mało znaczące stanowisko, że jego kolejnych listów już nikt nie czytał, pomijając, oczywiście; rozgłosień o nazwie Radio Wolna Europa, która nie omieszkała wykorzystać sprawy markiza Orii do własnych i jakże plugawych celów. Tak więc, kiedy jesienią 1980 roku sprawa ta wyszła na jaw, wciąż jeszcze młodego i rzutkiego konserwatora natychmiast zwolniono, zarzucając mu (na zebraniu związkowym w Stoczni) między innymi przywłaszczenie talonu na kolorowy telewizor, bezgraniczną pychę i pogardę dla robotników. Kościół nazwał go „bezbożnikiem”, a nawet milczący dotąd Komitet (którego tym razem nie spalono) bąknął coś o „woluntaryzmie”. Rzadko się zdarza w tym mieście, by te trzy instytucje były jednomyślne. Niebawem z prowincji powrócił triumfalnie były kierownik zespołu, który – udzieliwszy wielu wywiadów – w błyskawicznym tempie dokonał nowej konserwacji obrazu, czemu w serii entuzjastycznych artykułów sekundował odnowiony „Głos Wybrzeża”. I w ten to sposób, po raz pierwszy po wielu latach zupełnie już „czysty” portret markiza Orii zawisł na tradycyjnym miejscu w Czytelni Naukowej Biblioteki Gdańskiej PAN-u. Tylko najbardziej sceptyczni stali bywalcy i bibliotekarze nie byli do końca przekonani, czy aby coś się za tym nie kryje. Ale ogólnie rzecz biorąc, entuzjazm był wielki i wielu wypisało się z partii i zaczęło chodzić do kościoła.

Obraz nie powisiał jednak długo w spokoju, gdyż pod koniec następnego roku, na skutek nieprzewidzianych okoliczności powołano komisarzy do spraw konserwacji, a ten – być może przez nadgorliwość albo i przez brak kompetencji – nakazał dokonania oceny prawidłowości dotychczasowych prac konserwatorskich portretu. Ocena ta wykazała wiele nieprawidłowości, które – pozostawione same sobie – doprowadzić musiały do ruiny obrazu: Odpowiedzialnego kierownika zespołu nawet nie ścigano, gdyż i tak został internowany wraz z paroma innymi delegatami na II Kongres Nauki Polskiej. W „internacie” miał też złożyć przysięgę, że już nigdy niczego nie będzie odnawiał ani konserwował. Markiza Orii ze zrozumiałych względów internować nie można było, choć byłoby za co, gdyż przez te paręnaście miesięcy wyrządził sporo szkód, lecz można go było ukarać nową konserwacją. Wrócił z niej – przynajmniej trzeba – w dość dobrej kondycji (Kościół podesłał farby z darów zagranicznych) i bez widocznych zmian. Tak. się przynajmniej na pierwszy rzut oka wydaje i tylko podejrzliwi z natury i przez nabyte doświadczenie stali bywalcy i bibliotekarze wietrzą w tym jakiś kolejny podstęp. Dopiero jednak następna konserwacja przyniesie odpowiedź na nurtujące wszystkich pytanie, ale kiedy ona nastąpi – nikt nie potrafi powiedzieć. [Pięć lat później przygotowując ten maszynopis do druku mogę dodać, że obraz ponownie wzięto do konserwacji w styczniu 1991 roku. Jak dotąd wyników ekspertyzy nie ogłoszono – przyp. J.L.]

Nakreślone tu pokrótce dzieje konserwacji portretu markiza Orii w pewnym stopniu tłumaczą stosunkowo niewielką liczbę dwudziestowiecznych prac, literackich czy naukowych, poświęconych kaszubskiej Madonnie. Przypomnijmy: większość źródeł Jej dotyczących znajduje się właśnie tam, w

Bibliotece Gdańskiej, gdzie – jak się okazuje – cisza nie musi być symptomem twórczego skupienia. Poza wspomnianym już Żeromskim, w okresie międzywojennym bodaj żaden inny pisarz nie natrafił na ślad kaszubskiej Madonny, a nawet jeśli natrafił, to nie stała się Ona dla niego natchnieniem. Zresztą nie był to temat modny. Warto w tym miejscu zacytować dość kuriozalny „dokument”, który jest *de facto* fragmentem artykułu z „Głosu Wybrzeża” z lata 1981 roku, sygnowanym inicjałami H.D., fragmentem – dodajmy – przez cenzurę (redakcyjną czy tę urzędową) „zdjętym”. (W archiwum zachowały się szczotki drukarskie przed pierwszą korektą). O dziennikarzu tym wiadomo jedynie, że w kregach stałych bywalców Biblioteki ma opinię plagiatora (udaje mu się czasem uspić czujność markiza Orii). Nie biorąc tego faktu pod uwagę, można by nawet przypuszczać, że H.D. wiedział(–a) coś na ten temat kaszubskiej Madonny, bo przecież napomyka o „Jej ponownym w te strony przybyciu”; z drugiej jednak strony wątku tego nie rozwija (również i w materiale wydrukowanym), przez co nasuwa się przypuszczenie, że natrafił(–a) na jakiś – nam nie znany – tekst o kaszubskiej Madonnie i bezmyślnie odpisał(–a) fragmenty potrzebne do artykułu publicystycznego na zawsze w tych stronach modny temat „błędów ekipy poprzedniej”. We wspomnianym fragmencie czytamy między innymi: „Tradycja wolontarystycznego widzenia problemu kaszubskiego sięga jeszcze czasów sanacji. Wszystko, co kaszubskie, wiązano z jak to wówczas nazywano – separatyzmem, a więc z elementem obcym albo nawet wrogim odrodzonej ojczyźnie. Podobnie, a może nawet gorzej, było po wojnie, kiedy wszystko, co kaszubskie wiązano z niemieckością bądź z reakcyjnym podziemiem, z elementem politycznie podejrzanym. Okres błędów i wypaczeń stał się gorzkim doświadczeniem nie tylko Kaszubów, ale i Słowińców, Mazurów czy Łemków. Młodej władzy ludowej, którą reprezentował element napływowy z innych stron kraju, bardzo nie podobała się zaciętość, z jaką Kaszubi pragnęli pozostać Kaszubami, no a już zupełnie nie podobała się ich niezachwiana wiara w Matkę Boską i w Jej ponowne w te strony przybycie. Niestety, od razu należy wyjaśnić, że rzeźba ta nie zachowała się do naszych czasów, gdyż ślad po niej zaginął gdzieś pod koniec osiemnastego wieku i jedynie należy sobie życzyć, by odnalazła się kiedyś w zbiorach jakiegoś bogacza-kolekcjonera w Dallas albo w Singapurze. Lata siedemdziesiąte nie przyniosły żadnej poprawy. Na niewiele jednak zdały się szykany, represje i próby zastraszenia. Wojna o kaszubskie dusze przeistoczyła się w do dziś nie zakończoną, zaciętą wojnę pozycyjną między zwolennikami cepeliowskiego folkloru a obrońcami regionalnej (i językowej) odrębności.”

O kaszubskiej Madonnie słyszał również pisarz gdański, Lech Bądkowski, o czym wiemy od jego przyjaciół, lecz nawet jeśli rzeczywiście – jak zapewniał – miał jakieś związane z nią plany twórcze, to przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu ich zrealizować. Nieprawdą natomiast jest, jakoby stan wojenny definitywnie przekreślił wszelkie szanse szerszego opracowania tego zagadnienia, czego oczywistym dowodem jest przecież niniejsza praca.

[Jednak z różnych przyczyn, w stanie wojennym nie udało się jej wydać „oficjalnie”. Dla wydawnictw podziemnych, z kolei, była ona zbyt „łagodna” – przyp. J.L.] To właśnie w stanie wojennym dziejami kaszubskiej Madonny zainteresował się inny gdański pisarz, Jerzy Limon., autor opowiadania na ten właśnie temat. Można odnieść wrażenie, że opowiadanie to, zatytułowane „Kaszubska Madonna”, oparte jest na wątkach autobiograficznych. Z braku miejsca nie możemy, oczywiście, całości tego krążącego po mieście w maszynopisach utworu przytoczyć, przeto wybraliśmy kilka fragmentów, dla naszych celów istotnych. [I chyba na tym skończę; dłużej już nie mogę... – dopisek autora na marginesie – J.L.]

W opowiadaniu Limona pojawia się czwórka młodych przyjaciół, którzy za namową głównego bohatera – pracownika Polskiego Radia w Warszawie – w sierpniu 1980 roku jadą nad morze, do Lisiego Jaru, który polecił im ktoś ze znajomych. Tadeusz chce przy okazji przeprowadzić wywiad ze znanym pisarzem kaszubskim, Janem. Narzeczona Tadeusza, Kasia, jest świeżo upieczonym historykiem sztuki i szczególnie interesuje ją rzeźba średniowieczna. Natomiast Jędrus i Tomenio to weseli kompani, którzy jadą nad morze, by odpocząć od duchoty miasta i nieco się rozerwać (co każdy z nich rozumie na swój sposób). Przyjechawszy na miejsce rozklekotanym samochodem Tadeusza, wynajmują pokoje u miejscowego rybaka, z którym jednak bliższych kontaktów nie udaje im się nawiązać. Mijają dni wypełnione słońcem, plażą i morzem oraz wieczornymi wypadami do jedyne-go w okolicy nocnego lokalu, w którym odbywa się dancin-g. Przychodzą tam się zabawić wyłącznie letnicy, a dla miejscowych jedynie w kącie ustawiony jest stolik, przy którym, bez wykupywania dla innych obowiązkowej konsumpcji, mogą wychylić jedną czy dwie „szybkie wódki”. Z nimi również nie można było nawiązać kontaktu, chociaż Jędrus – najbardziej w tych sprawach doświadczony – próbował „zakolegować się” z

nimi przy kielichu. Ale dni mijają szybko, chociaż prawie w zupełnej izolacji od „świata”, telewizji bowiem nie oglądają, radia nie mają, a po gazety nie można się do jedyne go w okolicy kiosku dopchać. Ktoś obcy przekazuje im pogłoski o strajkach w Gdańsku, wprowadzony zostaje zakaz sprzedaży alkoholu, ale miejscowi nic nie wiedzą i najbardziej przejęci są „cudem”, jaki się właśnie wydarzył: dzieciom z kolonii ukazała się Matka Boska; widziały Ją ponoć w morzu, całą w kwiatach. Przyjaciele nadziei się nie mogą, że w kraju jeszcze „taka ciemnota”. Dochodzi w końcu do spotkania z Janem; wywiad jednak zupełnie się nie udaje. Jan nie chce mówić o swojej twórczości, a w zamian tego ostro atakuje politykę prowadzoną przez władze wobec Kaszubów. Tadeusz, który niewiele miał czasu, żeby się do wywiadu przygotować, wtrąca niefortunne zdanie, że przecież „nakładem wielkich kosztów powstał skansen we Wdzydzach”, na co spokojny do tej pory Jan reaguje gwałtownie i dotknięty do żywego, mówi dobitnie: „To wy jesteście skansen”. Zapada kłopotliwe milczenie, które ratuje Kasia, wypytując Jana o okoliczne kościoły, zabytki i legendy. Nawiązują, jak to się mówi, kontakt, po czym umawiają się na następnego dnia na zwiedzanie okolicy. Kiedy czwórka przyjaciół jest już w domu, Kasia śmieje się z Jana, że między innymi zaproponował jej „nie lada atrakcję”, a mianowicie „pielgrzymkę” do pomnika żołnierza radzieckiego. „Słowo daję – mówi ze śmiechem Kasia – nikt mi w Warszawie nie uwierzy”.

Następnego dnia mężczyźni lecą kaca po wypiciu wszystkich „zapasów”, a Kasia jedzie z Janem na wycieczkę po okolicy. Jej zwińczeniem jest wizyta na pewnym cmentarzu, na którym właśnie stoi ów pomnik. Kasia, niechętna do tej pory, jest wyraźnie zafascynowana. „Wiesz – powiedziała z powagą – to bardzo dziwna rzeźba. Bardziej wygląda na odlew. A przecież kamień. To, bo ja wiem, jakiś hiperrealizm, jakiś niesamowity wprost weryzm. Jak maska pośmiertna. Zobacz, on nawet nie jest ogolony. Ta gęsta szczecina. Jak on to wyrzeźbił? Niesamowite”.

Jan patrzył na posąg, który znał od dzieciństwa, z pewnym zdziwieniem, jakby i on go pierwszy raz zobaczył. Był naturalnej wielkości, a padający żołnierz był jego, mniej więcej, wzrostu. „Na pobliskim cmentarzu zwraca uwagę pomnik Radzieckiego Żołnierza, w którym artysta w doskonały sposób uchwycił pełnię grozy śmierci” – pisano w przewodniku po okolicy.

„I zobacz – ciągnęła Kasia, przejęta jak dziecko, które w trawie odkryje nagle tajemny dotąd, nie znany świat – on ma różne buty. Każdy inny. Jak te wszystkie szczegóły są dopracowane! A w ogóle to on mi bardziej przypomina ekstazę świętej Teresy, niż taki ot, zwykły wojskowy posąg. Czy nikt nie badał pochodzenia tej rzeźby? Skąd właściwie się tu wzięła? Może to ktoś z naszej ASP?”

„Wszyscy się zastanawiali – Jan patrzył z uwagą na jej przejętą twarz – ale niczego nie wiadomo na pewno. Podobno, a żyją jeszcze świadkowie, którzy zaklinają się, że tak właśnie było, zostawili go tu sami Rosjanie, gdy przechodzili przez wioskę w lutym czy marcu czterdziestego piątego. Mężczyzn wtedy tu nie było, bo większość wzięto do wojska, tak, niemieckiego wojska, ale kiedy maszerowali na front, to śpiewali polskie ułańskie i legionowe piosenki; a „tu starcy tylko zostali, dzieci, no i kobiety, więc kiedy front przechodził, to wszyscy do lasu uciekli i dopiero jak wszystko ucichło, to wrócili do wsi, no i tam, w kościele znaleźli tego «Umierającego Żołnierza Radzieckiego». Naradzili się i w końcu zawieźli furmanką na cmentarz i tu, dokładnie w tym miejscu postawili... Te kwiaty to nie tylko od dzieci ze szkoły, bo wiesz, tam mają taką izbę pamięci, ale i miejscowe baby przynoszą, bo mówią, że ta rzeźba ma cudowne właściwości...”

„Tego jeszcze nie słyszałam – wybuchła śmiechem Kasia – żeby o cuda posądzić żołnierza radzieckiego?! Nie, w Warszawie naprawdę nikt mi nie uwierzy”.

„Może i nie uwierzy – powiedział Jan poważnie – ale to nieważne. Nie ty pierwsza tak wypytujesz o tę rzeźbę. Był tu kiedyś plener studentów ze szkoły plastycznej w Gdańsku. Łazili po okolicy, pili dużo, rozrabiali; ale miejscowi lubili ich. No aż kiedyś na ten cmentarz przyszli, a później przyprowadzili swego profesora, a ten patrzył i patrzył, ale nic nie powiedział, co by cokolwiek wyjaśniło; mruknął tylko: «nie do wiary» i nic więcej nie dało się z niego wyciągnąć. Ale wiesz, jest tu taka legenda, czy też proroctwo, że jak przyjdzie koniec świata, to ten żołnierz padnie na kolana i – uwolniony od kamienia – polecą do nieba, a za nim poszybują i inni, którym za życia łaska nie była dana albo nie wolno im było jej skosztować”.

„Dlaczego o tym nie napiszesz?” – spytała, gdy już wracali do domu trzęsącym trabantem, ale Jan – przejęty jazdą – nic jej na to nie odpowiedział...

[Tego samego dnia, pod wieczór, czwórka przyjaciół w towarzystwie Jana idzie do „kaszubskiego pubu”, który już wcześniej odkryli, ale w którym jeszcze nie byli. Słyszeli, że zakaz sprzedaży alkoholu jeszcze tam nie dotarł.]

„Minęli kościół po prawej, skręcając niebawem w pnącą się pod górę uliczkę, niczym nie różniącą się od pozostałych, gdyż stały przy niej równie szkaradne jak gdzie indziej, przeważnie nie otynkowane domy. Później skręcili jeszcze raz, przy krzyżu, obok którego sterczał drąg z «reklamą» czyli strzałką, na której namalowane było słońce oraz kufel piwa z wyciekającą pianą («zestawienie w ikonografii nie znane», żartowała Kasia). Przeszli jeszcze ze sto metrów i zatrzymali się przed piętrowym, betonowym domem, na którym wisiała przekrzywiona tablica z napisem: BAR PRZEKĄSKOWY V Kat. Wchodziło się po wąskich zewnętrznych schodach, prowadzących na półpiętro. A tam czekały otwarte drzwi, spoza których dobiegał głośny gwar, uchodzący wraz z mgiełką mdłego zapachu piwa i tanich papierosów. Milczący dotąd Jędrus ocknął się gwałtownie z zamyślenia i wykrzyknął radośnie: «O la la! Wrota raj! Ani się człowiek obejrzy, a już przed wrotami raj! Tylko gdzie ten święty Piotr? Może się biedak upił? No, chodźcie prędzej». Nie czekając na nikogo, sam wszedł, a właściwie wbiegł do środka. Za nim podążyła i reszta, bo wszyscy byli już znużeni jeszcze silnie prażącym słońcem. W środku panował półmrok i potworna duchota – mimo otwartych na oścież okien. Było ciemno od dymu papierosów. Podłoga śliska, zalana piwem, które roznoszono całymi pieniącymi się pęczkami kuflów od baru do zatłoczonych stolików. Przy barze panował nieopisany tłok, ale zapobiegliwy i doświadczony w tych sprawach Jędrus zajął już przezornie kolejkę, patrząc z zazdrością na tych, którym właśnie nalewano pienistą rozkosz. Gwar był niesamowity, urozmaicony krzykami i przekleństwami, które zlewały się z sobą we wciąż nowe akordy. Jednym słowem – mordownia. « O, Boże – szepnęła Kasia – może jednak pójdziemy stąd». Jej propozycja bardzo zaniepokoiła Jędrusia, który w sposób naukowy zaczął tłumaczyć, że kolejka posuwa się szybko i że zaraz dotrą do rajskiego źródła. Do perswazji przyłączył się Tomenio, który oświadczył, że umrze, jeśli się ambrozji nie napije, więc Kasia nie obstawała przy swoim.

Rajskie źródło obsługiwała młoda, ładna dziewczyna, o ciemnych lokach i równie ciemnych oczach, z dużym, ruchliwym biustem, który sprytnymi unikami wymykał się co rusz wyciąganym w jego stronę ręką, i o wesołym uśmiechu, w którym odsłaniała równiutkie białe zęby. Kłębiących się przy bufecie mężczyzn traktowała z żartobliwą wyższością jak nieznośne bachory albo niesforne psiaki, strofując ich co chwila, dając po łapach, grożąc, że powie żonie albo – co jeszcze gorsze – że im już więcej piwa nie należy. Była niezwykle sprawna: błyskawicznie myła kufle («na szczęście pod bieżącą wodą»), ucieszyła się Kasia, choć Jędrusiowi było wszystko jedno), nalewała do pięciu, sześciu, dolewając powoli z emaliowanego dzbanka, w miarę jak opadała w kuflach piana, pobierając przy tym pieniądze, odganiając natrętnym ręką, wydając resztę, no i rozmawiając z klientami, którym mówiła po imieniu tak jak i oni do niej. Jędrus miętosił niecierpliwie banknoty w rękę, jakby chcąc przyspieszyć ruch w kolejce i zanim skończył papierosa, mógł w końcu zamówić sześć dużych piw, z których jedno wypił, zanim jeszcze pani Basia, bo tak miał aniołek na imię, zdążyła mu wydać resztę. Szybkością, z jaką opróżnił kufel, wzbudził podziw paru mężczyzn z kolejki, z których jeden zaprosił Jędrusia do swego stolika, a za nim podążyła i cała gromadka. Nieznajomy zajmował wraz z kolegą niewielki stolik pod ścianą naprzeciw dużego okna, przy którym stał długi stół, chyba największy. Siedziało przy nim może z dziesięciu mężczyzn, pijących piwo i zawzięcie o czymś dyskutujących. Kolega nieznajomego spał i w pewnym momencie zleciał ze stołka, co dla obu stanowiło sygnał do wyjścia, przez co więcej przy stoliku zrobiło się miejsca.

Mężczyźni siedzący przy oknie zdawali się brać udział w niezwykle burzliwej debacie, przez co nie słychać nawet było wesołych komentarzy coraz bardziej ożywionego Jędrusia. Długi stół pod oknem zastawiony był pustymi kuflami, a mokry blat ścierały biorące żywy udział w dyskusji łokieć i rękawy. Mężczyźni sprawiali wrażenie już zupełnie pijanych, lecz co chwila jeden z nich chwytając pęk kuflów i chwiejnym krokiem podążał do baru po następną kolejkę. Palili dużo i chociaż siedzieli przy oknie, otwartym na oścież, to okrywała ich mgiełka błękitnoszarego dymu z tanich papierosów i tytoniu, który palili w szerniałych fajkach. Ich hałaśliwa debata, urozmaicona typowo pijacką retoryką, jak chwytanie za łokieć czy za kłapy marynarek, szturchanie, grożenie palcem czy pięścią, uniemożliwiała właściwie prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy przy stoliku zajęty przez przyjaciół. Nie pozostało nic innego, jak obserwować rozwój wypadków przy stole niezgody. Niektórzy z mężczyzn mieli na głowach marynarskie czapki z wymiętoszonymi daszkami, co nie pozwalało wątpić, że w towarzystwie

przeważały wilki morskie. Zresztą, prawie wszyscy w okolicy żyli z morza i większość mężczyzn pływała na kutrach rybackich.

Ponieważ gorączkowa i hałaśliwa debata przy długim stole przy oknie toczyła się po kaszubsku – i to zapewne w lokalnym dialekcie – warszawiacy niczego, oczywiście, nie mogli zrozumieć i rozumiał tylko Jan, który jednak zdawał się nie zwracać na tamtych żadnej uwagi i siedział spokojnie, uśmiechając się po swojemu, jakby przepraszająco. Jędrus nadal żartował, ale nie było go słychać, a Kasia powoli zaczynała mieć wszystkiego dość, a na domiar złego piwo zupełnie jej nie smakowało. Wrzawa przy stole narastała i przeradzała się właściwie w karczemną awanturę, której rytm wyznaczały groźne błyski zębów i klaszczące uderzenia pięści, na szczęście jeszcze tylko o mokry blat stołu. Nikogo zapewne by nie zdziwiło, gdyby nagle doszło do bójki. Napięcie wisiało w powietrzu, zbełtane gorączkowymi słowami i mogące w każdej chwili doprowadzić do spięcia. Na szczęście siedzieli w pewnej odległości od długiego stołu i ta przestrzeń, może dwóch, trzech metrów, dawała im poczucie bezpieczeństwa, tak jakby oddzielało ich nie powietrze, a jakiś inny wymiar czy inna realność, której byli przypadkowymi świadkami. W końcu Kasia, trochę jednak przestraszona, nie wytrzymała i starając się mówić jak najgłośniej, zapytała uśmiechniętego wciąż jakby z zażenowaniem Jana: «Słuchaj, o co oni właściwie się kłócą?» Jan zmienił uśmiech z zażenowanego na rozbawiony, po czym przedrzeźniającym tonem powiedział: «Słowo daję, nikt mi w Warszawie nie uwierzy!» «No, ale powiedz, nie daj się prosić» – nie da wała za wygraną. «Hm – mruknął Jan – jak by to powiedzieć... To właściwie trudno wytłumaczyć, to można przetłumaczyć, ale wówczas to nic nie znaczy, trzeba najpierw wytłumaczyć, hm, bo widzicie, cała rzecz idzie o... hm, no nie, inaczej powiem:..». «Rzeczywiście, mów inaczej – śmiała się Kasia – bo z tego, co mówisz, nic a nic nie rozumiem». «Dobrze, postaram się – Jan spoważniał, jakby przywołany przez kogoś do porządku – ale, wiercie mi, to jest bardzo niezwykle, tak niezwykle, że możecie nie uwierzyć, bo widzicie, oni mówią, kłócą się na temat Matki Boskiej i jak to właściwie było z tym cudownym poczęciem i porodem... Z tym, że zaszła w ciążę, Chrystusa urodziła i pozostała dziewicą...»

Tu Jan urwał; patrząc na resztę, starając się wychwycić przejawy niedowierzania w ich twarzach. Niczego takiego chyba jednak nie zauważył, więc się uspokoił, a pozostali – patrzyli na niego w osłupieniu i dopiero po dłuższej chwili parsknęli donośnym śmiechem, tak głośnym, że nawet długi stół przerwał teologiczną dysputę i zwrócił ku nim pijane twarze, które dopiero teraz zdawały się zauważać ich obecność. Jan poczuł się zakłopotany i cierpliwie czekał, aż skończą się śmiać, co jednak nastąpiło dopiero po dłuższej chwili. Powiedział wówczas, jakby się usprawiedliwiając: «Bo widzicie, wy w mieście nie rozmawiacie na takie tematy, więc to was dziwi, a nawet śmieszy. Dla nich jest to sprawa – jak by to powiedzieć – zasadnicza, jedna z tych niewielu naprawdę ważnych, zasadniczych spraw w życiu. U nich są to rzeczy, nad którymi się myśli całe życie, czasem i do końca się ich nie rozstrzyga. To jest właśnie tradycja, bo są to sprawy ważne od wieków. A u was, w mieście, stale się to zmienia, jedne sprawy odchodzą w czas przeszły, w niebyt, inne się pojawiają, bo to moda co rusz inna, a to znowu jakiś nowy wieszcz się pojawia i mówi ludziom, co jest ważne, a co nie, prawdę jakąś nową objawia. A to tutaj w ogóle nie dociera, nikogo to nie obchodzi, tego po prostu nie ma. Tak jak u was coraz mniej znaczą sprawy, którymi ci ludzie tu żyją. Dlatego ich nie rozumiecie i śmiejecie się. Dla was to rzeczywiście skansen».

Wszystkim zrobiło się przykro, bo widzieli, że Jan poczuł się dotknięty. Kasia – niezawodna w takich chwilach – objęła Jana przyjaźnie i powiedziała przepraszającym głosem małej dziewczynki: «Ależ, Janku, nikt nie chciał ciebie urazić, naprawdę nikt». «Też coś – zachnął się – mnie urazić. Żle mnie zrozumieście. Tu o mnie wcale nie chodzi. Rzecz idzie o sprawy ogólniejsze. Ech, chyba nie umiem tego po prostu dobrze wyrazić».

«A powiedz – wtrącił się Jędrus – dlaczego, jak sądzisz, dlaczego właśnie oni i właśnie tu, i właśnie o Matce Boskiej?»

«Dlaczego o Matce Boskiej? – powtórzył mechanicznie Jan, przenikając ich błękitem swych kaszubskich oczu – dlaczego o Niej? Hm, tego chyba nie zdołam wam wyjaśnić... Trzeba by od początku...»